

TOM 2
ZABÓJCZYCH MASZYN
ZEKRANIZOWANYCH
PRZEZ TWÓRCÓW
WŁADCY PIERŚCIENI
I HOBBITA

PHILIP REEVE
ZŁOTO
DRAPIEŻCY

ŚWIATOWY BESTSELLER PRZETŁUMACZONY NA 30 JĘZYKÓW


AMBER

ZŁOTO DRAPIEŻCY

PHILIP REEVE

Przekład
Jan Hensel



Redakcja stylistyczna
Izabela Sieńko-Cholewa

Korekta
Hanna Lachowska

Cover Illustration © Ian McQue, 2018
Cover Illustration reproduced by permission of Scholastic Ltd

Tytuł oryginału
Predator's Gold

Text © Philip Reeve, 2003
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2019 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6988-7

Warszawa 2019. Wydanie II

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Spis treści

Część 1

1. Skuta lodem Północ
2. Hester i Tom
3. Pasażer
4. Młoda Ameryka
5. Lisie Duchy
6. Nad lodami Północy
7. Miasto widmo
8. Pałac Zimowy
9. Baza
10. Komnata Cudów
11. Niepokojne duchy
12. Nieproszeni goście
13. Rezydencja Głównego Nawigatora
14. Miasteczko
15. Osamotniona Hester
16. Nocny lot
17. W pogoni za Hester
18. Złoto drapieżcy

Część 2

19. Komora pamięci
20. Nowy model
21. Kłamstwa i pająki
22. „Śrubodźdzownica”
23. W głębinach
24. Wujek
25. Laboratorium doktora Popjoya
26. Widok z góry
27. Schody
28. Chaos

Część 3

29. Żuraw

30. Anchorage

31. Z nożem w ręku

32. Córka Valentine'a

33. Cienki lód

34. We mgle

35. Lodowa arka

Podziękowania

Dla Sary i Sama



CZEŚĆ I

1. Skuta lodem Północ

Freya zbudziła się przed świtem. Leżała przez chwilę w mroku, czując, jak miasto sunące po skutej lodem ziemi drży i kołysze się, wprawiane w ruch pracą potężnych silników. Pograżona w półśnie czekała, aż zjawią się służące i pomogą jej wstać z łóżka. Dopiero po jakimś czasie przypomniała sobie, że wszystkie nie żyją.

Zrzuciła z siebie kołdrę, zapaliła argonowe lampy i omijając rozrzucone po podłodze stosy brudnych ubrań, poszła do łazienki. Już od kilku tygodni zbierała w sobie odwagę, żeby wziąć prysznic, ale tego ranka po raz kolejny skomplikowana aparatura do włączania natrysku ją pokonała. Freyi nie udało się puścić ciepłej wody. W końcu jak zwykle napełniła miskę i umyła twarz i szyję. Pozostał jej niewielki kawałek mydła, który wtarła we włosy, a potem zanurzyła głowę w wodzie. Jej służące użyłyby szamponu, odżywki i rozmaitych pachnących balsamów, ale nie było ich już wśród żywych, a wypełnione dziesiątkami buteleczek i flakonów półki wprawiały Freyę w nieprzyjemne zakłopotanie. Mając tak wielki wybór, postanowiła w ogóle nie wybierać.

Przynajmniej nauczyła się samodzielnie ubierać. Podniosła z podłogi jedną z wymiętych sukni, położyła na łóżku, przyklękła i

zanurkowała w nią od dołu. Po krótkiej szamotaninie udało jej się wsunąć ramiona we właściwe rękawy, a głowę w dekolt. Z długą, obszytą futrem kamizelką, którą włożyła na wierzch, poszło jej jeszcze łatwiej, chociaż wciąż nie radziła sobie z guzikami. Służki zawsze zapinały ją szybko i sprawnie, rozmawiając i żartując o nadchodzącym dniu, i nigdy, przenigdy nie zdarzyło im się wetknąć guzika w niewłaściwą dziurkę. Teraz jednak wszystkie nie żyły.

Klnąc pod nosem, Freya mocowała się z zapięciami przez bity kwadrans, a następnie obejrzała w popękany i zakurzony lustro efekt swoich wysiłków. Nie najgorzej, biorąc pod uwagę okoliczności, pomyślała. Może z biżuterią wyglądałaby jeszcze lepiej. Kiedy jednak weszła do garderoby, gdzie trzymała wszystkie ozdoby, odkryła, że większość jej ulubionych klejnotów zniknęła. Ostatnimi czasy z pałacu ginęło mnóstwo przedmiotów. Freya nie miała pojęcia, co się z nimi działo. Nie przejęła się tym jednak. Uznała, że brylantowy diadem i tak nie pasowałby do posklejanych mydłem włosów, a złoty naszyjnik z bursztynami nie prezentowałby się najlepiej na brudnej szyi. Oczywiście mama nie pozwoliłaby jej nigdy pokazać się poddanym bez biżuterii, ale mama też nie żyła.

W pustych i cichych korytarzach pałacu zalegały grube, puszyste jak śnieg warstwy kurzu. Freya zadzwoniła na kamerdynera. Czekając na jego przybycie, stanęła przy oknie i wyjrzała na zewnątrz, na oświetlone szarą poświatą arktycznego poranka oblodzone dachy domów na górnym pokładzie. Posadzka drżała pod jej stopami w rytm pracy olbrzymich tłoków w maszynowni, ale wrażenie ruchu było nikłe, ponieważ miasto podróżowało przez bezkresne śnieżne pustkowia dalekiej Północy. Nie było tu żadnych charakterystycznych elementów krajobrazu. Dookoła aż po horyzont rozpościerała się

jedynie biała równina odbijająca blask nieba.

W drzwiach komnaty zjawił się kamerdyner, przyklepując świeżo upudrowaną perukę na głowie.

– Dzień dobry, Smew – powitała go Freya.

– Dzień dobry, Wasza Promienistość.

Na chwilę owładnęła nią chęć zaproszenia kamerdynera do sypialni i powiedzenia mu, żeby zrobił coś z tym całym kurzem, bałaganem i zaginioną biżuterią; żeby pokazał jej, jak korzystać z prysznic. Jednak kamerdyner był mężczyzną i wpuszczenie go do prywatnych apartamentów margrabiny oznaczałoby złamanie pradawnej tradycji. Zamiast tego powiedziała to samo, co każdego ranka:

– Możesz odprowadzić mnie do jadalni, Smew.

Jadąc z nim windą na niższe piętro, wyobraziła sobie własne miasto mknące po lodowcu niczym mały czarny żuczek idący po olbrzymim białym talerzu. Pytanie brzmiało: dokąd? Właśnie tego pragnął się dowiedzieć Smew. Spostrzegła to w jego twarzy, w sposobie, w jaki na nią zerkał. Również Rada Nawigacyjna domagała się tej informacji. Ciągła ucieczka przed wygłodniałymi drapieżnikami nie mogła trwać wiecznie i nadszedł czas, by Freya ujawniła, jaka przyszłość czeka jej miasto. Od tysięcy lat ludność Anchorage oczekiwała od domu Rasmussenów takich decyzji. W końcu kobiety z rodu Rasmussenów były wyjątkowe. Czyż nie rządziły Anchorage od czasu, gdy rozpętała się wojna sześćdziesięciominutowa? Czyż Bogowie Lodu nie przemawiali do nich, gdy śniły, i nie podpowydali im, jaki szlak powinno obrać miasto, by spotkać uczciwych partnerów handlowych, uniknąć zdrażliwych lodowych pułapek i drapieżców?

Lecz Freya była ostatnią potomkinią rodu, a Bogowie Lodu wcale z nią nie rozmawiali. Ostatnimi czasy w ogóle mało kto się do niej

odzywał, a jeśli już, to tylko po to, by jak najłagodniej i najuprzejmiej zapytać o kierunek podróży. Dlaczego zwracacie się z tym akurat do mnie?! – chciała czasami krzyknąć. Jestem tylko zwykłą dziewczyną! Nie prosiłam o tytuł margrabiny! Zdawała sobie jednak sprawę, że poddani nie mogą się zwrócić do nikogo innego.

Dzisiaj w końcu udzieli im odpowiedzi. Choć wątpiła, by jej słowa spotkały się z radosnym przyjęciem.

Śniadanie zjadła w samotności, siedząc na krześle z wysokim oparciem przy długim czarnym stole. Zgrzyt noża o talerz i brzęk łyżeczki w filiżance z herbatą brzmiały nienaturalnie głośno w otaczającej ją ciszy. Z okutych półmrokiem ścian spoglądały na nią portrety szlchetnych przodków. Odnosiła wrażenie, że ich twarze krzywią się z lekkim zniecierpliwieniem, jakby oni także czekali na decyzję, jaką powinna podjąć.

– Nie martwcie się – szepnęła do nich. – Już wiem, dokąd pojedziemy.

Kiedy śniadanie dobiegło końca, do jadalni wszedł szambelan.

– Dzień dobry, Smew – powitała go.

– Dzień dobry, Zorzo Śnieżnych Pól. Rada Nawigacyjna oczekuje na spotkanie z Waszą Promienistością.

Freya skinęła głową, szambelan otworzył drzwi i wprowadził członków rady. Kiedyś było ich dwudziestu trzech, ale teraz zostali tylko pan Scabious i panna Pye.

Windolene Pye, wysoka, prosto trzymająca się kobieta w średnim wieku, nosiła włosy spięte w spłaszczony kok przypominający drożdżówkę. Kiedyś pracowała jako sekretarka świętej pamięci Głównego Nawigatora i zdawała się dość dobrze orientować w jego mapach i wykresach, ale w obecności margrabiny robiła się nerwowa

i dygała uniżenie za każdym razem, gdy Freya choćby kichnęła.

Drugi członek rady, Søren Scabious, bardzo się od niej różnił. Jego rodzina zarządzała maszynownią niemal od chwili, gdy miasto stało się pojazdem, i Scabious był jedynym obywatelem, którego Freya mogła jeszcze uznawać za równego sobie. Gdyby życie w Anchorage toczyło się normalnie, następnego lata wyszłaby za mąż za jego syna, Axela – margrabina często wybierała na małżonka inżyniera, żeby zyskać sympatię robotników z maszynowni. Jednak nic nie było już takie jak dawniej, a Axel nie żył. Freya cieszyła się w duchu, że pan Scabious, zgorzkniały, milczący ponurak, nie zostanie jej teściem. Jego czarne żałobne szaty wtapiały się w mrok jadalni niczym kamuflaż, a trupioblada twarz zdawała się unosić w powietrzu niczym nocne widmo.

– Dzień dobry, Wasza Promienistość – powiedział, kłaniając się sztywno, podczas gdy panna Pye dygnęła, trzepocząc rzęsami i oblewając się rumieńcem.

– Jaka jest nasza pozycja? – zapytała Freya.

– Och, Wasza Promienistość, obecnie znajdujemy się siedemset kilometrów na północ od gór Tannhauser – zaświergotała panna Pye.

– Jedziemy po mocnym, grubym morskim lodzie, a w pobliżu nie zauważono żadnego innego miasta.

– Maszynownia oczekuje na instrukcje, Zorzo Śnieżnych Pól – oznajmił Scabious. – Czy życzy sobie Wasza Promienistość zawrócić na wschód?

– Nie! – wzdrygnęła się Freya, przypominając sobie, jak niewiele brakowało, by zostali tam pożarci. Gdyby skręcili teraz na wschód lub udali się na południe, żeby pohandlować z innymi osadami na obrzeżach lodowca, Archangielsk na pewno by się o wszystkim

dowiedział, a jej miastu nie udałooby się drugi raz uciec przed tym wielkim drapieżnikiem. Tym bardziej że załoga maszynowni była niekompletna.

– Może powinniśmy skierować się na zachód, Wasza Promienistość?

– zasugerowała niepewnie panna Pye. – Kilka małych osiedli zimuje na obrzeżach Grenlandii. Może udałooby się trochę z nimi pohandlować.

– Nie – odrzekła stanowczo Freya.

– W takim razie może Wasza Promienistość ma na myśli jakąś inną trasę? – dopytywał się Scabious. – Czy bogowie przemówili do Waszej Promienistości?

Freya przytaknęła z powagą. Tak naprawdę pomysł, który zamierzała wyjawic, kołatał się jej po głowie od miesiąca albo dłużej i nie uważała go za dar od któregookolwiek z bogów. Uznała po prostu, że tylko w jeden sposób uda się ocalić Anchorage przed zarazami i drapieżcami raz na zawsze.

– Kurs na Martwy Kontynent – oświadczyła. – Wracamy do domu.

2. Hester i Tom

Hester Shaw powoli zaczynała oswajać się ze świadomością, że może być szczęśliwa. Po długich, pełnych znoju latach spędzonych wśród błota Wielkiego Terenu Polowań na pokładach brudnych osad padliniarzy wreszcie odnalazła swoje miejsce na świecie. Miała teraz własny statek powietrzny, „Jenny Haniver” (gdyby zadarła głowę, zobaczyłaby zarys czerwonej powłoki jej balonu, tuż za zanzibarskim frachtowcem na stanowisku numer siedemnaście) i miała Toma. Miłego, przystojnego, zaradnego Toma, którego kochała całym sercem i który – mimo wszystkich jej wad – również zdawał się ją kochać.

Przez długi czas nie wierzyła, że ich miłość ma szansę przetrwać, byli przecież tak różni. W dodatku Hester nie należała do piękności – wysoka, chuda jak patyk, pozbawiona wdzięku dziewczyna ze strzechą rudych, zaplecionych w warkocze włosów, o twarzy zeszpeconej ciosem miecza, który pozbawił ją oka, rozplątał nos i wykrzywił usta w ohydny półuśmiechu. Tom wkrótce mnie porzuci, powtarzała sobie, gdy czekali na Czarnej Wyspie, aż mechanicy naprawią „Jenny Haniver” zniszczoną podczas pożaru Londynu. Jest ze mną tylko z litości, uznała, kiedy lecieli do Afryki, a potem do Ameryki Południowej. Co on we mnie widzi? – dziwiła się, gdy coraz

bardziej się bogacili, dostarczając zaopatrzenie wielkim miastom wiertniczym wydobywającym ropę naftową na Antarktydzie, a potem stracili ten majątek, kiedy musieli wyrzucić ładunek za burtę, żeby uciec przed podniebnymi piratami grasującymi nad Kordylierami. Lecąc nad błękitnymi wodami Atlantyku w konwoju kupieckich sterowców, szeptała do siebie: „Na pewno ode mnie odejdzie”.

A jednak nie odszedł. Już od ponad dwóch lat byli razem. I teraz, siedząc we wrześnieowym słońcu na balkonie kawiarni Strefa Bezpieczeństwa w Airhaven, Hester po raz pierwszy dopuściła do siebie myśl, że ich miłość wytrzyma próbę czasu. Ścisnęła pod stołem dłoń Toma i uśmiechnęła się do niego swoim krzywym uśmiechem, a on spojrzał na nią z tym samym gorącym uczuciem co wtedy, gdy po raz pierwszy pocałowała go w oślepiającym świetle wybuchu, który zniszczył jego rodzinne miasto.

Tej jesieni Airhaven poleciało na północ i unosiło się teraz kilkaset metrów nad Mroźnymi Rubieżami. Małe miasteczka padliniarzy, które przebywały przez ostatnie miesiące na śniegu, stłoczyły się pod nim, żeby sprzedać swoje znaleziska. W powietrze wzbijały się balony wypełnione kolorowo ubranymi handlarzami, którzy zaczęli wykrzykiwać swoją ofertę, gdy tylko postawili stopę na aluminiowym pokładzie. Skute lodem tereny Północy kryły niespotykane skarby dla zbieraczy starej technologii i kupcy przywieźli ze sobą części Łowców, akumulatory działek Tesla, bezimienne fragmenty maszyn pozostałych po sześciu różnych cywilizacjach, a nawet szczątki starożytnego samolotu, którego wrak leżał pod grubą pokrywą śniegu od czasów wojny sześćdziesięciminutowej.

Pod Airhaven na wschód, zachód i południe aż po zamglony horyzont rozciągało się niegościnne kamieniste pustkowie, gdzie

Bogowie Lodu rządzą przez osiem miesięcy w roku. Na porośniętych śladami miejskich gąsienic i kół gruncie już pojawił się śnieg. Na północy wznosiły się czarne bazaltowe zbocza gór Tannhauser, łańcucha wulkanów, które wyznaczały granicę Wielkiego Terenu Polowań. Z kilku buchwały słupy szarego skłębionego dymu, które zdawały się podierać nieboskłon niczym gigantyczne kamienne kolumny. Pomiedzy nimi, za półprzezroczystą zasłoną wirującego w powietrzu popiołu Tom i Hester widzieli biel Lodowych Pustkowi oraz ciemny poruszający się kształt – wielki i zwalisty niczym ruchoma góra.

Hester wyjęła z kieszeni płaszczka lunetę i przytknęła ją do oka. Przez chwilę regulowała pokrętłem ostrość, aż nagle obraz stał się wyraźny. Patrzyła na wielkie miasto – osiem pięter fabryk, baraków dla niewolników, strzeliste dymiące kominy, wokół których latały pasożytnicze sterowce zeskrobujące z nich mineralny osad, a w dole pod najniższym pokładem otoczone tumanami wzbijanego śniegu i miażdżonych skał wielkie obracające się koła.

– Archangielsk!

Tom wziął od niej lunetę.

– Masz rację. W lecie trzyma się podnóża gór Tannhauser, pożerając miasteczka padliniarzy, które próbują się przeprowadzić na Teren Polowań. Pokrywa lodowa jest teraz znacznie grubsza niż dawniej, ale Archangielsk i tak za dużo waży, żeby jeździć po niej w lecie.

– Zawsze wszystko wiesz – roześmiała się Hester.

– Nic na to nie poradzę – odparł Tom. – Byłem czeladnikiem Cechu Historyków, pamiętasz? Musieliśmy wkuć listę największych ruchomych metropolii, a Archangielsk zajmował pierwsze miejsce, więc dobrze go zapamiętałem.

– Szpaner – powiedziała z lekkim wyrzutem Hester. – Szkoda, że to nie Zimbra albo Xanne-Sandalsky. Wtedy nie mógłbyś zgrywać mądrali.

Tom znowu przyłożył lunetę do oka.

– Najdalej za kilka dni uniesie koła, opuści żelazne płozy i ruszy na północ, żeby zapolować na lodowe miasta i osiedla śnieżnych nomadów.

Na razie jednak Archangielsk zadowalał się handlem. Ze względu na potężne rozmiary nie mógł się przecisnąć przez wąwozy przecinające góry Tannhauser, ale z jego portów lotniczych wzbijały się w niebo statki lecące na południe, w stronę Airhaven. Pierwszy z nich wykonał pełen aroganckiej buty slalom pomiędzy tuzinem unoszących się nad miastem balonów i zapikował, lądując na stanowisku szóstym. Tom i Hester poczuli lekkie wibracje, gdy żelazne uchwyty sterowca zacisnęły się wokół żerdzi. Był to smukły statek myśliwski o krótkim zasięgu. Na powłoce jego balonu widniał czerwony wilk, a pod nim wykaligrafowana gotyckim pismem nazwa: „Powietrzna Turbulencja”.

Z opancerzonej gondoli wynurzyli się rośli mężczyźni w futrzanych płaszczach i czapkach. Krocząc pewnie po płycie lądowiska, ruszyli po schodkach na górę, na High Street. Pod ich płaszczami połyskiwały srebrzyste kolczugi. Jeden z lotników miał na głowie stalowy hełm, na którym sterczały dwie wielkie gramofonowe tuby połączone kablem z mikrofonem ściskany w dłoni przez innego młodzieńca. Jego wzmocniony głos rozbrzmiał w całym Airhaven.

– Witajcie, lotnicy! Wielki Archangielsk, Postrach Północy, Pogromca Statycznej Kolonii na Spitsbergenie, Stolica Lodowych Pustkowi śle wam pozdrowienia! Mamy złoto dla każdego, kto wyjawi,

gdzie przebywają lodowe miasta! Trzydzieści suwerenów za informację, która doprowadzi do schwytania ofiary!

Mężczyzna zaczął się przeciskać między stolikami na tarasie Strefy Bezpieczeństwa, wciąż wykrzykując swoją ofertę, a lotnicy kręcili głowami, krzywili się z niesmakiem i odwracali ostentacyjnie wzrok. Ostatnio, gdy coraz częściej brakowało ofiar do pożarcia, kilka wielkich drapieżników zaczęło oferować pieniądze za informacje o miejscach pobytu łownych miast. Jednak rzadko który robił to tak bezczelnie i otwarcie. Uczciwi powietrzni kupcy obawiali się, że wkrótce handel z mniejszymi miastami Północy w ogóle ustanie, bo który burmistrz pozwoli na lądowanie sterowcowi, który następnego dnia może odlecieć i sprzedać informacje o kursie osiedla jakiegoś chciwemu miastożercy w rodzaju Archangielska? Jednak zawsze znajdowali się inni – przemytnicy, półpiraci i handlarze, którzy nie osiągali zysków, na jakie liczyli. Oni gotowi byli przyjąć złoto drapieżcy.

– Jeśli w lecie lądowaliście na pokładzie Kivitoo, Breidhaviku lub Anchorage i wiecie, gdzie te miasta zamierzają przezimować, czekam na was w zajeździe Balon i Gondola! – zachęcał przybysz. Był to młokos o wyglądzie bogatego i dobrze odżywionego paniczyka, a z jego oczu biły bezmyślność i arogancja. – Trzydzieści sztuk złota, przyjaciele. Dość pieniędzy, żeby starczyło na roczny zapas paliwa i luftgazu...

– To Piotr Masgard – usłyszała Hester słowa lotniczki Dinka, która siedziała przy stoliku obok i rozmawiała ze znajomymi. – Jest najmłodszym synem dyrektora Archangielska. Nazywa tę swoją bandę Wilczym Stadem. Podobno nie ograniczają się do kupowania informacji, ale lądują tym swoim sterowcem na pokładach pokojowo

nastawionych miasteczek, które są za szybkie dla Archangielska, i zmuszają mieszkańców do wjechania prosto w jego paszczę!

– Ale to niesprawiedliwe! – wykrzyknął Tom, który także przysłuchiwał się rozmowie i na nieszczęście dał wyraz swemu oburzeniu właśnie w chwili, gdy Masgard umilkł na moment. Dowódca Wilczego Stada odwrócił się, a na jego spasionej twarzy pojawił się lekceważący uśmiech.

– Co jest niesprawiedliwe? Miasto pożera miasto. Tak już jest na tym świecie.

Hester zdrętwiała. Nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Tom zawsze chciał, żeby wszystko było sprawiedliwe. Przypuszczała, że to przez jego wychowanie. Kilka lat wśród bezwzględnych padliniarzy wybiłoby mu podobne pomysły z głowy, ale młodość spędzona pod opieką Cechu Historyków sprawiła, że przejął się regułami i zwyczajami londyńskich uczonych tak bardzo, iż wciąż – mimo tego, przez co później przeszedł – oburzał się na ludzi w rodzaju Masgarda.

– Chodzi o to, że to wbrew prawom miejskiego darwinizmu – wyjaśnił Tom, podnosząc wzrok na krzepkiego osiłka. Następnie wstał od stołu, ale okazało się, że wciąż musi zadzierać głowę, bo przywódca Wilczego Stada jest od niego wyższy prawie o trzydzieści centymetrów. – Szybkie miasta pożerają wolniejsze, a silniejsze zjadają słabe. Tak powinno to działać. Jak w przyrodzie. Oferowanie złota za zdradę innych osiedli i napadanie ofiar z powietrza narusza równowagę – ciągnął dalej, jakby Masgard był jego kolegą czeladnikiem ze szkolnego kółka dyskusyjnego.

Masgard uśmiechnął się jeszcze szerzej. Odchylił poję płaszcz a i dobył miecza. Ludzie wstrzymali oddech. Rozległy się trzaski upadających krzeseł, gdy siedzący najbliżej goście próbowali odsunąć

się jak najdalej od zabijaków z Archangielska. Hester chwyciła Toma za ramię. Odciągała go, nie spuszczać oka z błyszczącej klingi.

– Tom, daj spokój, idioto! – mruknęła.

Masgard przyglądał się jej przez chwilę, a potem roześmiał się chrapliwie i wsunął miecz do pochwy.

– Patrzcie! Chłopak ma dziewczuchę, która broni jego tyłka!

Kompani z Wilczego Stada śmiali się razem z nim, a Hester zarumieniła się i zasłoniła twarz starą czerwoną chustą.

– Wpadnij do mnie później, ślicznotko! – zarechotał Masgard. – Dla damy jestem zawsze do usług! I pamiętaj, jeśli wyjawisz mi kurs jakiegoś miasta, zapłacę ci trzydzieści sztuk złota! Będziesz mogła sprawić sobie nowy nos!

– Na pewno nie zapomnę – obiecała Hester, popychając Toma do tyłu. Gniew trzepotał w jej piersiach i kąsał niczym pirania. Chciała się odwrócić i stanąć do walki. Mogła się założyć, że Masgard nie wie, jak użyć miecza, którym tak się chełpi... Ale ostatnimi czasy starała się panować nad ciemną, morderczą i mściwą stroną swojej natury, więc przecięła tylko ukradkiem kabel od jego mikrofonu. Gdy spróbuje wygłosić następny komunikat, sam stanie się pośmiewiskiem.

– Przepraszam cię – wymamrotał wstydlawie Tom, kiedy szli w stronę lotniska, na którym roiło się teraz od kupców i turystów przybyłych z Archangielska. – Nie chciałem, żeby tak wyszło... wydawało mi się...

– Nie przejmuj się – odparła Hester. Chciała mu powiedzieć, że gdyby od czasu do czasu nie robił czegoś tak odważnego i głupiego, nie byłby sobą, a ona pewnie nie kochałaby go aż tak mocno. Nie potrafiła jednak wyrazić tego słowami, więc zaciągnęła go za jeden ze słupów podpierających High Street, a potem upewniwszy się, że nikt

ich nie widzi, objęła Toma chudym ramieniem, ściągnęła chustę z twarzy i pocałowała go namiętnie.

– Odlećmy stąd – powiedziała po chwili.

– Ale nie mamy jeszcze żadnego ładunku. Przecież chcieliśmy znaleźć jakiegoś handlarza futrami albo...

– Na pokładzie nie ma handlarzy futrami, są tylko kupcy ze starą technologią, a nie chcemy transportować tych okropnych maszyn, prawda? – Wyglądał na niezdecydowanego, więc pocałowała go po raz drugi, nim zdołał cokolwiek odpowiedzieć. – Mam już dość Airhaven. Chcę znowu wyruszyć w drogę.

– Dobrze – odparł Tom. Uśmiechnął się, gładząc jej usta, policzek i przeciętą blizną brew. – Zgoda. Naoglądaliśmy się już śnieżnych krajobrazów. Lecimy na południe.

Już wkrótce przekonali się, że miało to być znacznie trudniejsze, niż przypuszczali. Kiedy dotarli do stanowiska siedemnastego, przed „Jenny Haniver” czekał na nich mężczyzna siedzący na okazałym skórzanym tobołku. Hester, która wciąż nie otrząsnęła się w pełni po złościwościach Masgarda, znów zakryła twarz chustą. Tom puścił jej dłoń i przyśpieszył kroku, wychodząc na spotkanie nieznanemu.

– Dzień dobry! – zakrzyknął mężczyzna, wstając. – Pan Natsworthy? Panna Shaw? Rozumiem, że jesteście właścicielami tego wspaniałego powietrznego statku? W wieży powiedziano mi, że jesteście młodzi, ale nie przypuszczałem, że aż tak! Toż z was jeszcze dzieci!

– Mam prawie osiemnaście lat – obruszył się Tom.

– Mniejsza o to! – zawołał radośnie nieznanomy. – Wiek nie ma znaczenia, jeśli macie wielkie i mężne serca, a w to akurat wcale nie wątpię. Kim jest ten przystojny młody człowiek? – zapytałem mojego przyjaciela, kierownika lotniska. A on mi na to: Toż to Tom

Natsworthy, pilot „Jenny Haniver”. Pennyroyal, powiedziałem sobie, ten młodzieniec może być człowiekiem, którego szukasz! I oto jestem!

Bez wątpienia był tu – niewysoki, łysiejący jegomość z lekką nadwagą i siwą, równo przystrzyżoną białą bródką. Miał na sobie typowy strój padliniarza z Północy – długi futrzany płaszcz, ciepłą skórzaną czapkę, tunikę z wieloma kieszonkami, grube spodnie i wysokie, obszyte futerkiem buty – ale wszystkie części jego garderoby wyglądały na zbyt kosztowne, jakby zostały zamówione u modnego krawca jako kostium do sztuki teatralnej, której akcja toczy się w Lodowych Pustkowiach.

– No i jak? – zapytał.

– Z czym? – odezwała się Hester, której od razu nie spodobał się obcy.

– Przepraszam pana – powiedział Tom bardziej uprzejmym tonem.

– Nie rozumiemy, o co panu chodzi...

– Och, proszę o wybaczenie – odrzekł nieznajomy. – Pozwólcie, że wyjaśnię! Nazywam się Pennyroyal, Nimrod Beauregard Pennyroyal. Prowadziłem badania tych wielkich, przerażających, ziejących ogniem gór, a teraz wybieram się do domu. Byłby to dla mnie niekłamany zaszczyt, gdybyście łaskawie przyjęli mnie na pokład waszego wspaniałego sterowca!

3. Pasażer

Nazwisko Pennyroyala wydało się Tomowi znajome, chociaż nie potrafił sobie przypomnieć dlaczego. Był pewien, że słyszał je na którymś z wykładów w szkole Cechu Historyków – ale nie wiedział, co takiego Pennyroyal zrobił lub napisał, żeby zasłużyć na wzmiankę nauczyciela. Zbyt wiele czasu poświęcał fantazjowaniu, żeby zwracać uwagę na to, co mówiono na lekcjach.

– Nie przewozimy pasażerów – powiedziała stanowczo Hester. – Lecimy na południe i podróżujemy samotnie.

– Południe jest w sam raz! – uradował się Pennyroyal. – Mieszkam w Paryżu. Tej jesieni moje miasto przebywa nad brzegami Morza Środkowego. Chciałbym jak najszybciej wrócić do domu, panno Shaw. Moi wydawcy, Fewmet i Spraint, bardzo nalegają, żebym dostarczył im nową książkę przed Festiwalem Księżycowym, a potrzebuję ciszy i spokoju mojego gabinetu, żeby zabrać się do pisania.

Kiedy to mówił, obejrzał się szybko przez ramię, obserwując ludzi kręcących się po płycie lotniska. Pocił się lekko i Hester pomyślała, że nie wygląda na kogoś, kto tęskni za domem. Sprawiał raczej wrażenie przestraszonego.

– Jest pan pisarzem, panie Pennyroyal? – zainteresował się Tom.

– Profesorze Pennyroyal – poprawił go uprzejmie paryżanin. – Jestem badaczem, podróżnikiem i historykiem alternatywnym. Może czytał pan którąś z moich książek. Na przykład *Zaginione miasta pustyni* albo *Piękna Ameryka. Prawda o martwym kontynencie...*

Teraz Tom przypomniał sobie, gdzie słyszał to nazwisko. Chudleigh Pomeroy wspomniał raz o Nimrodzie B. Pennyroyalu w wykładzie o najnowszych trendach w historii. Pennyroyal – powiedział stary londyński historyk – nie miał żadnego szacunku dla prawdy i odrzucał potrzebę badań naukowych. Jego śmiałe ekspedycje wykazywały wszystkie cechy amatorszczyzny, a w książkach roiło się od naciąganych hipotez i opisu nieprawdopodobnych romansów oraz przygód. Tom jednak lubił śmiałe teorie i fantastyczne przygody, więc później próbował znaleźć książki Pennyroyala w muzealnej bibliotece. Niestety poważni mistrzowie Cechu Historyków uznali, że nie są warte tego, by zajmować miejsce na jej półkach, dlatego Tom nigdy nie dowiedział się niczego o podróżach Pennyroyala.

– Mamy miejsce dla jednego pasażera – powiedział do Hester. – I przydałoby się trochę pieniędzy.

Dziewczyna skrzywiła się kwaśno.

– Och, pieniądze nie stanowią żadnego problemu – zapewnił Pennyroyal, wyciągając pokaźny trzos i potrząsając nim. – Powiedzmy, pięć suwerenów teraz i pięć następnych, kiedy wylądujemy w Paryżu? Oczywiście za zdradzenie jakiegoś biednego miasta dostalibyście od Piotra Masgarda znacznie więcej, ale to chyba uczciwa propozycja. A poza tym oddalibyście wielką przysługę literaturze.

Hester spuściła wzrok na zwój liny cumowniczej leżący na

wybrzeżu. Wiedziała, że przegrała. Ten nazbyt wylewny i przyjacielski nieznajomy wiedział, jak przekonać Toma. Sama musiała zresztą przyznać, że dziesięć suwerenów bardzo im się przyda. Uczyniła jeszcze ostatnią próbę obrony przed tym, co nieuniknione, i kopnąwszy tobolek historyka, zapytała:

– Jaki ma pan bagaż? Nie przewozimy starej technologii. Widzieliśmy już za dużo zniszczeń, do jakich może doprowadzić.

– Na niebios! – zawołał Pennyroyal. – Zgadzam się w całej rozciągłości! Jestem alternatywnym historykiem, ale nie idiotą. Ja też widziałem, co dzieje się z ludźmi, którzy wykopują starożytne maszyny. Umierają od jakiegoś dziwnego promieniowania albo giną w straszliwych eksplozjach. Nie, wiozę ze sobą tylko bieliznę na zmianę oraz parę tysięcy stron notatek i rysunków do mojej najnowszej książki pod tytułem *Ogniste góry. Zjawisko naturalne czy wynik błędu starożytnych?*

Hester po raz drugi kopnęła tobolek. Przewrócił się na bok, ale nie wydał żadnego metalicznego dźwięku, który świadczyłby o kłamstwie Pennyroyala. Spuściła wzrok na własne stopy, a potem przez kratę pokładu Airhaven spojrzała na ziemię, gdzie nieduże miasteczko jechało nieśpiesznie na zachód, ciągnąc za sobą długi cień. A niech tam, pomyślała. Morze Środkowe będzie ciepłe i błękitne, znacznie przyjemniejsze od tych niegościnnych mroźnych pustkowi, a podróż na miejsce zajmie najwyżej tydzień. Na pewno wytrzyma towarzystwo profesora Pennyroyala przez tak krótki czas. Później wszystko wróci do normy i znowu będzie miała Toma tylko dla siebie.

– Dobrze – oznajmiła. Wyrwała historykowi trzos z ręki i odliczyła pięć suwerenów, nim zdążył zaprotestować.

– Możemy pana zakwaterować w przedniej ładowni, profesorze –

powiedział Tom. – A jeśli pan chce, może pan urządzić sobie tymczasowy gabinet w jednej z kajut. Zostaniemy w mieście na noc i wystartujemy z samego rana.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu – odparł Pennyroyal, znów rozglądając się nerwowo po lotnisku – wolałbym od razu wyruszyć w drogę. Muza mnie wzywa.

Hester wzruszyła ramionami i znów otworzyła sakiewkę.

– Wystartujemy, gdy tylko dostaniemy pozwolenie kontroli lotów – stwierdziła. – Za dodatkową opłatą w wysokości dwóch suwerenów.

Czerwone niczym ciemny bursztyn słońce zanurzyło się we mgle zachodnich gór Tannhauser. Z kupieckich osiedli na dole wciąż wzbijały się balony, a sterowce i statki z wielkiego Archangielska wciąż przelatywały ponad bazaltowymi szczytami do Airhaven. Jednym z nich wylądował sympatycznie wyglądający starszy pan, Widgery Blinkoe. Był to handlarz antykami i starą technologią, który dorabiał, wynajmując pokoje nad swoim sklepem w archangielskiej dzielnicy portowej i sprzedając informacje każdemu, kto gotów był za nie zapłacić.

Pozostawiwszy swoim żonom zacumowanie statku, pan Blinkoe pobiegł czym prędzej do biura kontrolera lotów i zapytał:

– Widział pan tego mężczyznę?

Urzędnik spojrzał na fotografię, którą podsunął mu Blinkoe, i odparł:

– To przecież profesor Pennyroyal! Ten dżentelmen, który pisze książki historyczne.

– Jaki tam dżentelmen! – wykrzyknął gniewnie Blinkoe. – Przez sześć tygodni wynajmował u mnie izbę, a gdy tylko pojawiło się

Airhaven, uciekł, nie zapłaciwszy złamanego grosza! Gdzie on jest? Gdzie znajdę tę kreaturę?

– Za późno, kolego – uśmiechnął się kontroler lotów, który czerpał pewną przyjemność z przekazywania ludziom złych wiadomości. – Przyleciał jednym z pierwszych balonów z Archangielska, rozpytując o statki udające się na południe. Skontaktowałem go z młodymi ludźmi, którzy pilotują „Jenny Haniver”. Wystartowali dziesięć minut temu i wzięli kurs na Morze Środkowe.

Blinkoe jęknął żałośnie, ocierając dłonią tłustą pobladłą twarz. Nie mógł sobie pozwolić na utratę dwudziestu suwerenów, które obiecał Pennyroyal. Och, czemu nie kazał sobie zapłacić z góry? Tak bardzo pochlebiało mu, że Pennyroyal podarował mu egzemplarz *Pięknej Ameryki* z dedykacją: „Mojemu dobremu przyjacielowi Widgery’emu z najlepszymi życzeniami” i obiecał wspomnieć o nim w swoim następnym dziele, iż nie wyczuł niebezpieczeństwa, nawet gdy sławny uczony kupował wino na jego kredyt. Nie zaprotestował też, kiedy podróżnik zaczął otwarcie flirtować z najmłodszą panią Blinkoe! Niech diabli porwą wszystkich pismaków i gryzipiórków!

Nagle coś, co powiedział kontroler lotów, przedarło się przez mgłę żalu i wynikły ze zgryzot ból głowy, zaciemniający myśli Blinkoe’a. Nazwa. Znajoma nazwa. Wartościowa nazwa!

– Powiedział pan „Jenny Haniver”?

– Tak.

– Ale to niemożliwe! „Jenny Haniver” zaginęła, kiedy bogowie zniszczyli Londyn!

Kontroler lotów pokręcił głową.

– Nie, proszę pana, nic z tych rzeczy. Z tego, co słyszałem, przez ostatnie dwa lata latała na południu, handlując z miastami-

zigguratami Neo-Majów.

Pan Blinkoe podziękował urzędnikowi i popędził z powrotem na płytę lotniska. Był dość korpulentnym statecznym człowiekiem i rzadko biegał, uznał jednak, że w tym przypadku pośpiech jest uzasadniony. Odepchnął grupkę dzieci, które oblegały zamontowaną na metalowej barierze lunetę, i skierował ją w niebo. Na południowym zachodzie w promieniach chowającego się za horyzont słońca ujrzał mały czerwony statek z dwoma silnikami Jeunet-Carot.

Archangielski kupiec wrócił do własnego sterowca o nazwie „Tymczasowe Zawierowania” i rozżalonych małżonek.

– Szybko! – zawołał, wpadając do gondoli. – Włączcie radio!

– Pennyroyal znowu ci zwiął – powiedziała pierwsza żona.

– Kto by się spodziewał? – sarknęła inna.

– Dokładnie jak w Archangielsku – dorzuciła trzecia.

– Cicho, żony! – wykrzyknął Blinkoe. – To poważna sprawa!

Czwarta małżonka zrobiła kwaśną minę.

– Pennyroyal nie jest wart takiego zachodu – mruknęła.

– Och, biedny, kochany profesor Pennyroyal – westchnęła płaczliwie piąta.

– Wybij go sobie z głowy – zbeształ ją mąż, zdejmując czapkę i zakładając na uszy słuchawki. Przestroił radio na tajną długość fal i gestem ręki nakazał najmłodszej małżonce powstrzymać płacz i uruchomić silnik. – Znam ludzi, którzy dobrze zapłacą za to, czego się właśnie dowiedziałem! Statek, którym uciekł Pennyroyal, należał kiedyś do Anny Fang!

Tom do tej pory nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo brakuje mu towarzystwa innych historyków. Hester zawsze z radością

słuchała anegdot i ciekawostek, które zapamiętał z czasów czeladnictwa, ale nie mogła się odwdzięczyć tym samym. Od kiedy skończyła siedem lat, żyła wśród barbarzyńców, zdana wyłącznie na własny spryt. Mimo że wiedziała, jak wskoczyć na pokład pędzącego miasta, złapać i wypatroszyć kota czy kopnąć niedoszłego złodzieja tam, gdzie najbardziej boli, nie miała czasu, żeby zainteresować się historią.

I oto zjawił się profesor Pennyroyal, a jego wspaniała osobowość ożywiła atmosferę w kabinie „Jenny Haniver”. Paryżanin miał teorię lub anegdotę na każdy temat. Słuchając go, Tom poczuł nostalgię za latami, które spędził w Muzeum Londyńskim wśród książek, zabytków i uczonych debat.

– Weźmy na przykład te góry – powiedział Pennyroyal, wskazując krajobraz za szybą. Lecieli na południe wzdłuż długiego łańcucha gór Tannhauser, a blask lawy wydobywającej się z czynnych wulkanów migotał na twarzy podróżnika. – Będą tematem mojej najnowszej książki. Skąd się wzięły? Nie było ich tu w starożytności, wiemy to z map, które przetrwały do naszych czasów. W jaki sposób pojawiły się tak szybko? Co sprawiło, że powstały? Z górami w dalekim Shan Guo mamy podobny problem. Zhan Shan jest najwyższym szczytem na Ziemi, a mimo to nie wspomina o nim żaden starożytny tekst. Czy rzeczywiście te nowe góry pojawiły się na skutek naturalnej działalności wulkanicznej, jak nam zawsze tłumaczono? A może patrzemy na skutki starożytnego eksperymentu technicznego, który wymknął się spod kontroli? Może chodziło o stworzenie nowego źródła energii albo o jakąś potworną broń! Machina do robienia wulkanów! Pomyśl tylko, cóż by to było za wspaniałe odkrycie, Tom!

– Nie interesuje nas stara technologia – powiedziała automatycznie

Hester. Siedziała przy mapie, próbując wyznaczyć kurs, a tubalny głos Pennyroyala coraz bardziej ją denerwował.

– Oczywiście, że nie, moja droga! – zawołał Pennyroyal, spoglądając na belkę nad jej głową (obawiał się, że gdyby zawiesił wzrok na jej szkaradnej twarzy, skrzywiłby się z niesmakiem). – Oczywiście, że nie! To bardzo szlachetne i rozsądne uprzedzenie. Ale...

– To nie jest uprzedzenie – ucięła Hester, wytykając go cyrklem w taki sposób, iż przestraszył się, że zrobi mu krzywdę. – Moja mama była archeolożką. Podróżniczką i historykiem tak jak pan. Poleciała do Ameryki, wykopała straszną maszynę o nazwie Meduza i przywiozła ją do domu. Władcy Londynu dowiedzieli się o tym i wysłali Valentine'a, żeby ją zabił. A przy okazji zeszpecił mi twarz. Potem zawiózł Meduzę londyńskim inżynierom, którzy ją uruchomili. I bum! Całe miasto wybuchło.

– Ach, tak – odparł Pennyroyal pojednawczym tonem. – Wszyscy wiedzą o wypadku z Meduzą. Pamiętam dokładnie, co wtedy robiłem. Gościłem na pokładzie miasta Cittamotore w towarzystwie wspaniałej młodej damy Miętutki Bapsnack. Nawet z tak daleka widzieliśmy błysk na wschodnim niebie...

– A my byliśmy całkiem blisko. Uciekliśmy z Londynu tuż przed samą eksplozją, a rankiem zobaczyliśmy zniszczenia. Całe miasto zostało spalone na popiół przez coś, co wykopała moja mama. Właśnie dlatego nie chcemy mieć nic wspólnego ze starą technologią.

– Ach, tak – mruknął Pennyroyal, czując się teraz bardzo niezręcznie.

– Idę spać – oznajmiła Hester. – Boli mnie głowa.

Rzeczywiście, dwie godziny słuchania mądrości Pennyroyala spowodowały, że poczuła ostry, wiercący ból za ślepym okiem.

Podeszła do fotela pilota z zamiarem pocałowania Toma na dobranoc, ale obecność profesora sprawiła, że zmieniła zdanie. Musnęła tylko ucho Toma wargami, powiedziała, żeby zawołał ją, gdy będzie potrzebował odpoczynku, a potem udała się do kabiny na rufie.

– Ups! – wyrwało się Pennyroyalowi, kiedy wyszła.

– Ma temperament – przyznał Tom, zakłopotany wybuchem dziewczyny. – Ale tak naprawdę jest wspaniała. Trochę nieufna, ale przemiała. Kiedy pozna ją pan lepiej...

– Oczywiście, oczywiście – odrzekł Pennyroyal. – Na pierwszy rzut oka widać, iż za tą dość niekonwencjonalną fasadą ukrywa się naprawdę, ee... tego tam... – Nie przychodziło mu jednak na myśl nic dobrego na temat dziewczyny, więc umilkł, patrząc przez okno na oświetlone księżycową poświatą góry i lampy małego miasteczka, które jechało w dole po płaskowyżu.

– Ale pomyliła się co do Londynu – powiedział w końcu. – Nie został spalony na popiół. Rozmawiałem z ludźmi, którzy byli na miejscu. Został olbrzymi wrak. Całe dzielnice Trzewi leżą na ziemi na zachód od Batmunkh Gompa. Moja znajoma, cudowna młoda dama, Cruwys Morchard, która też jest archeologiem, twierdzi, że udało się jej nawet dostać do wnętrza jednego z większych fragmentów. Opowiadała nieprawdopodobne rzeczy. Zwęglone szkielety leżą rozrzucone wśród na wpół roztopionych budynków i maszyn. Promieniowanie, które zostało po Meduzie, sprawia, że nad wrakiem unoszą się kolorowe światełka podobne do błędnych ogników.

Teraz z kolei Tom poczuł się niezręcznie. Myśl, że jego rodzinne miasto zostało zniszczone, nadal sprawiała mu ból. Dwa i pół roku później wciąż widział blask tamtej eksplozji w swoich snach. Nie chciał rozmawiać o zgliszczach Londynu, więc skierował konwersację

na ulubiony temat Pennyroyala – osobę samego profesora.

– Na pewno zwiedził pan wiele bardzo interesujących miejsc?

– Interesujących! Och, nawet nie masz pojęcia, Tom! Ileż rzeczy widziałem na tym świecie! Gdy tylko wylądujemy na starym dobrym Gare Aëronautique, pójde prosto do księgarni i kupię ci wszystkie moje dzieła. Dziwne, że taki bystry młody człowiek jak ty się na nie nigdy nie natknął.

Tom wzruszył ramionami.

– Obawiam się, że nie było ich w księgozbiorze Muzeum Londyńskiego...

– Oczywiście! Cech tak zwanych Historyków! Phi! Banda nudnych zgredów! Wiesz, że kiedyś starałem się o przyjęcie do ich stowarzyszenia? Ich Główny Historyk, Thaddeus Valentine, odrzucił moją kandydaturę bez mrugnięcia okiem! Tylko dlatego, że nie spodobały mu się odkrycia, jakich dokonałem w Ameryce!

Tom nie krył swojego zainteresowania. Nie podobało mu się, że Pennyroyal uważa członków jego dawnego cechu za nudnych zgredów, ale nie dotyczyło to Valentine'a – człowieka, który usiłował go zabić i zamordował rodziców Hester. Każdy, kogo zlekceważył główny londyński historyk, mógł liczyć na jego sympatię.

– A co takiego odkrył pan w Ameryce, profesorze?

– Och, to długa historia, Tom! Chcesz jej wysłuchać?

Tom pokiwał głową. Od południa wiał silny wiatr, więc czekała go cała noc za sterami, a ciekawa opowieść na pewno nie pozwoliłaby mu zasnąć. Poza tym potoczysty monolog Pennyroyala obudził w nim wspomnienie czasów, gdy wszystko wydawało się prostsze. Kiedy leżąc pod kołdrą w dormitorium czeladników trzeciej kategorii z latarką w ręku, zaczytywał się książkami wielkich historyków

i archeologów: Monktona Wylde'a, Chung-Mai Spofforth, Valentine'a, Fishacre'a, Comtona Carka.

– Tak, bardzo chętnie, profesorze – zapewnił.

4. Młoda Ameryka

Ameryka – rozpoczął Pennyroyal – jest martwym kontynentem. Wszyscy o tym wiedzą. Została odkryta w 1924 roku przez Krzysztofa Kolumba, wielkiego podróżnika i detektywa. Z czasem powstało tam potężne imperium, które rządziło światem i zostało całkowicie zniszczone podczas wojny sześćdziesięciminutowej. Teraz pokrywają ją niegościnnie pustynie, zatrute bagniska, wielkie leje po bombach atomowych, gruz i kamienie. Tylko kilku śmiazków, na przykład Valentine i matka twojej biednej młodej przyjaciółki, znalazło w sobie dość odwagi, by zapuścić się w głąb tych terenów w poszukiwaniu starej technologii.

Mimo to słyszy się różne plotki. Dziwne historie opowiadane przez starych, podchmielonych lotników w podrzędnych karawanserajach. Legendy o sterowcach, które podczas wichury zboczyły z kursu i nagle znalazły się nad zupełnie inną Ameryką – nad zielonymi lasami i łąkami, pośród których lśnią błękitne wody wielkich jezior. Jakies pięćdziesiąt lat temu pewien pilot zwący się Snøri Ulvaeusson podobno nawet wylądował w zielonej enklawie, którą nazwał Krainą Winorośli, a potem sporządził jej mapę dla burmistrza Rejkiawiku. Oczywiście, kiedy współcześni historycy zaczęli szperać w tamtejszej

bibliotece, nie natrafili na żaden ślad jej istnienia. Jeśli chodzi o pozostałe opowieści, finał jest zawsze ten sam – lotnik poświęca życie na powtórne odnalezienie rajskiej krainy, ale bez powodzenia. Albo ląduje pośród zieleni, która z powietrza wyglądała tak cudownie, i przekonuje się, że to tylko trujące algi porastające jezioro w starym kraterze.

Ale prawdziwi historycy, tacy jak my, wiedzą, że w legendach tkwi często ziarno prawdy. Zebrałem wszystkie opowieści na ten temat i uznałem, że warto całą sprawę dokładniej zbadać. Czy Ameryka jest naprawdę martwa, jak mówią nam mędrcy z Valentine'em na czele? Czy też na północ od ruin pradawnych miast odwiedzanych przez poszukiwaczy starej technologii istnieje jednak kraina, gdzie woda z topniejących lodowców zmyła trujące chemikalia, dając początek nowemu życiu?

Ja, Pennyroyal, postanowiłem poznać prawdę! Wiosną osiemdziesiątego dziewiątego roku wraz z czwórką towarzyszy przemierzyliśmy północny Atlantyk na pokładzie sterowca „Allan Quartermain” i wylądowaliśmy na brzegu Ameryki niedaleko miejsca zwanego przez starożytnych Nowym Jorkiem. Ziemia okazała się tam tak martwa i niegościnna, jak twierdzili inni podróżnicy. Jak okiem sięgnąć rozciągało się pustkowie pełne olbrzymich lejów, których brzegi stopiły się w ogniu eksplozji, tworząc substancję zwaną powszechnie szkłem powybuchowym.

Wystartowaliśmy więc ponownie i poleciliśmy na zachód, w samo serce Martwego Kontynentu, gdzie spotkała nas katastrofa. Wichura o niemal nadnaturalnej potędze pogruchotała nasz biedny stateczek, rzucając nas w sam środek niezmierzonej, zanieczyszczonej chemikaliami dziczy. Trzech moich kompanów zginęło podczas

wypadku, czwarty umarł parę dni później, zatruty się wodą z jeziora, która wyglądała na czystą, ale musiała być skażona jakąś okropną substancją wyprodukowaną przez starożytnych. Biedaczyna zzieleniał, miotając się w potwornych konwulsjach, a z jego ust wydobywał się odór starych przepoconych skarpet.

Zdany sam na siebie brnąłem dalej na północ, przemierzając Nizinę Kraterów, gdzie niegdyś stały legendarne miasta Chicago i Milwaukee. Porzuciłem już nadzieję odkrycia zielonej Ameryki. Pragnąłem jedynie dotrzeć do obrzeży Lodowych Pustkowi, licząc, że natknę się na jakieś plemię nomadów, które wybawiłoby mnie od pewnej śmierci.

Wkrótce przestałem się łudzić. Słaby, wycieńczony marszem i brakiem wody, ległem na kamienistej ziemi w zapomnianym przez bogów wielkim wąwozie. Czy to naprawdę koniec Nimroda Pennyroyala?! – wykrzyknąłem zrozpaczony, a czarne skały zdawały się mówić: „Tak”. Straciłem wszelką nadzieję, rozumiesz? Poleciałem swą duszę opiece Bogini Śmierci i zamknąłem powieki, spodziewając się, że gdy znowu je otworzę, będę już tylko duchem błakającym się po Krainie Bez Słońca. Kiedy się jednak ocknąłem, leżałem w kanoe owinięty w futra, a uroczy młodzi ludzie wiosłowali na północ.

Nie byli to jednak archeolodzy, jak początkowo sądziłem, tylko tubylcy! Na północnym krańcu martwego kontynentu żyją ludzie! Do tamtej pory wierzyłem w opowieść, jaką niechybnie i ciebie raczyli londyńscy historycy, mówiącą, że nieliczni nieszczęśnicy, którzy przeżyli upadek amerykańskiego imperium, uciekli na północ i zmieszali się z Eskimosami, tworząc rasę śnieżnych nomadów. Szybko zrozumiałem wszakże, iż część z nich nie wyemigrowała tak daleko! Znaleźli mnie dzicy, nieucywilizowani potomkowie narodu,

którego egoizm i chciwość doprowadziły świat do ruiny. I okazali się na tyle humanitarni, żeby ocalić biednego wygłodniałego wędrowca.

Udało mi się porozumieć z moimi wybawcami na migi. Byli to chłopak i dziewczyna, a nazywali się Dwanaście Dni Na Dostarczenie i Pralnia Chemiczna. Wyglądało na to, że znaleźli mnie podczas ekspedycji po szkło powybuchowe, które wykopywali w ruinach starożytnego miasta zwanego Duluth. Nawiasem mówiąc, odkryłem, iż członkowie tego dzikiego plemienia cenią biżuterię ze szkła powybuchowego równie wysoko co strojne damy z Paryża czy Trakcjongradu. Zarówno chłopak, jak i jego towarzyszka nosili szklane bransolety i kolczyki. Oboje posiadli zdumiewającą umiejętność przetrwania na okropnych pustkowiach martwej Ameryki. Pod kamieniami wyszukiwali nadające się do spożycia larwy i potrafili uzyskać wodę pitną z pewnych gatunków wodorostów. Ale te niegościnnie tereny nie były ich domem. O nie! Przybyli gdzieś z północy i teraz wracali tam razem ze mną!

Wyobraź sobie moje podniecenie, Tom! Płynąłem w górę rzeki, tak jakbym podróżował w czasie, cofnąwszy się przedtem do początków życia. Zrazu otaczały nas tylko nagie skały, głazy i złowieszczo wyglądające pozostałości wielkich starożytnych budowli. Jednak pewnego dnia dostrzegłem na brzegu zieloną plamę mchu, a potem następną! A kiedy posunęliśmy się trochę dalej na północ, zaczęła się pojawiać trawa, paprocie i trzciny. Woda w rzece stawała się coraz czystsza i bardziej przejrzysta. Dwanaście Dni łowił ryby, a Pralnia Chemiczna patroszyła je i piekła przy ognisku, które rozpalaliśmy każdej nocy na brzegu. Wreszcie ujrzałem drzewa – dęby i buki, i sosny. W końcu dopłynęliśmy do przepięknego jeziora, a na jego brzegach stały prymitywne chatki tubylczego plemienia. Cóż to był za

widok dla historyka! Ameryka tętniąca życiem znowu, po tylu tysiącletniach!

Nie będę cię zanudzał opowieścią o tym, jak mieszkałem wśród tego dzikiego ludu przez trzy lata, ani historią o tym, jak uratowałem piękną córkę wodza, która miała na imię Kod Pocztowy, przed wielkim niedźwiedziem i dziewczyna zakochała się we mnie, a jej rozzłoszczony narzeczony zmusił mnie do salwowania się ucieczką. Wszystko to włącznie z trudami powrotu na Wielki Teren Polowań znajdziesz w moim międzymiastowym bestsellerze *Piękna Ameryka*, który przeczytasz, gdy tylko dolecimy do Paryża.

Tom siedział przez długi czas w milczeniu, pod wrażeniem cudownych obrazów, które odmalował przed nim Pennyroyal. Wprost trudno mu było uwierzyć, że nigdy wcześniej nie słyszał o wielkim odkryciu profesora. Było wstrząsające! Monumentalne! Jakimiż głupcami okazali się historycy Londynu, że nie przyjęli do swego cechu takiego człowieka!

– Ale nigdy pan tam nie wrócił, profesorze? – odezwał się w końcu. – Jestem przekonany, że druga ekspedycja z lepszym sprzętem...

– Niestety, Tom – westchnął Pennyroyal. – Nie udało mi się znaleźć sponsorów, którzy sfinansowaliby wyprawę. Musisz wziąć pod uwagę fakt, że aparaty fotograficzne i reszta urządzeń uległy zniszczeniu podczas katastrofy „Allana Quartermaina”. Opuszczając to gościnne amerykańskie plemię, zabrałem kilka przedmiotów w charakterze dowodów, ale wszystkie straciłem podczas podróży do domu. Więc jak mogłem liczyć na drugą ekspedycję? Niestety, okazuje się, że słowo alternatywnego historyka to za mało. Niektórzy – dodał rozżalony – do tej pory uważają, że w ogóle nie byłem w Ameryce.

5. Lisie Duchy

Tubalny głos profesora Pennyroyala wciąż rozbrzmiewał w kabinie pilota, kiedy Hester obudziła się następnego ranka. Siedział tam całą noc? Pewnie nie, uznała, myjąc twarz. Najprawdopodobniej poszedł spać, a zwabił go dopiero aromat porannej kawy.

Szorując zęby, wyjrzała przez okienko kajuty – byle tylko nie patrzeć na własne odbicie w lustrze. Niebo miało barwę śmietany, po której pływały rabarbarowe chmury. Pośrodku widniały trzy czarne plamki. Szyba jest brudna, pomyślała, ale gdy spróbowała wytrzeć ją rękawem, okazało się, że była w błędzie. Zmarszczyła brwi, a potem chwyciła lunetę i przyjrzała się tajemniczemu punkcikom.

Kiedy weszła do kabiny pilota, Tom właśnie przygotowywał się do drzemki. Południowy wiatr nie zelżał, lecz minęli już góry i choć sterowiec leciał wolniej niż zwykle, nie było już niebezpieczeństwa, że rozbiją się o zbocze jakiegoś wulkanu. Tom wyglądał na zmęczonego, ale zadowolonego. Uśmiechnął się radośnie, widząc Hester wchodzącą do kabiny. Pennyroyal siedział na fotelu drugiego pilota z kubkiem kawy w ręku.

– Pan profesor opowiadał mi o swoich ekspedycjach – powiedział Tom z entuzjazmem, wstając, żeby Hester mogła przejąć stery. – Nie

uwierzyłybyś, jakie przeżył przygody!

– Pewnie nie – przyznała. – Ale w tej chwili chcę, żeby powiedział nam tylko jedno: Dlaczego lecą za nami trzy statki bojowe?

Pennyroyal wydał z siebie cichy pisk, a potem szybko zakrył dłonią usta. Tom podszedł do bocznego okna i spojrział we wskazanym przez Hester kierunku. Statki zbliżały się szybko, lecąc w równym rzędzie.

– Może to handlarze zdążający do Airhaven – powiedział z nadzieją.

– To nie konwój – odparła Hester. – Lecą w szyku bojowym.

Tom sięgnął po lornetkę. Sterowce znajdowały się w odległości około piętnastu kilometrów, ale chłopak widział wyraźnie, że są dobrze uzbrojone i szybkie. Na powłokach ich śnieżnobiałych balonów widniały jakieś zielone oznaczenia. W świetle wschodzącego słońca wyglądały ponuro niczym widma.

– To statki Ligi – oznajmiła Hester. – Poznają te silniki. To Lisie Duchy Murasaki. – Bała się i miała ku temu powody. Przez ostatnie dwa lata oboje starannie unikali kontaktów z Ligą Antymobilistów, bo „Jenny Haniver” należała kiedyś do ich agentki, Anny Fang. Chociaż właściwie nie ukradli jej statku, obawiali się, że Liga może się na to zapatrywać zupełnie inaczej. Myśleli, że na Północy będą bezpieczni, bo od zeszłorocznego upadku Spitsbergenu wojska Ligi zostały rozbite i uległy rozproszeniu.

– Lepiej uciekajmy – powiedziała Hester. – Skrećmy na północ i spróbujmy zgubić ich w górach.

Tom zawahał się. „Jenny” była znacznie szybsza, niż wskazywałyby na to wygląd drewnianej gondoli i starych silników, ale wątpił, czy prześcignęłyby Lisie Duchy.

– Jeśli zaczniemy uciekać, pomyślą, że mamy się czego obawiać – zauważył. – Nie zrobiliśmy nic złego. Pogadam z nimi i zorientujemy

się, o co im chodzi...

Sięgnął po słuchawki od radia, ale Pennyroyal chwycił go za ramię.

– Nie, Tom! Słyszałem o tych białych statkach. Należą do Zielonej Burzy, radykalnej organizacji fanatyków, którzy opanowali północne bazy Ligi. To ekstremiści, którzy przysięgli sobie, że zniszczą wszystkie miasta i wybiją do nogi wszystkich mieszczan. Na bogów, jeśli damy się złapać, wymordują nas bez mrugnięcia okiem!

Twarz historyka przybrała sinawą barwę, a na czole zaperliły się krople potu. Ręka, którą chwycił Toma, dygotała. W pierwszej chwili Tom nie wiedział, co dzieje się z profesorem. Przecież podróżnik, który przeżył tyle przygód, nie mógł się bać!

Hester podeszła do okna w chwili, gdy jeden ze sterowców wystrzelił racę, dając „Jenny Haniver” sygnał, żeby zwolniła i wpuściła na pokład żołnierzy Ligi. Nie wiedziała, czy wierzyć słowom Pennyroyala, ale w zbliżających się statkach było coś bardzo złowrogiego. Podejrzewała, że nie zjawily się za sprawą zwykłego zbiegu okoliczności. Ściagały ich!

– Uciekajmy – szepnęła.

Chłopak pchnął drążek sterowniczy, zawracając statek z powrotem na północ. Poprzesuwał szereg mosiężnych dźwigni i silniki zawyły na wysokich obrotach. Jeszcze jedna dźwignia i między turbinami a balonem rozwinęły się żagle utkane z silikonowej przędzy.

– Oddalamy się! – zawołał, spoglądając w peryskop pokazujący odwrócony do góry nogami obraz goniących ich sterowców. Lisie Duchy nie dawały jednak za wygraną. Poprawiły kurs i również przyśpieszyły. Po godzinie znalazły się na tyle blisko, że Tom i Hester widzieli już wyraźnie znaki namalowane na ich balonach – nie było to złamane koło Ligi Antymobilistów, ale zielona błyskawica.

Tom rozglądał się wokół po szarawej ziemi w nadziei, że znajdzie jakieś miasto lub miasteczko, na którego pokładzie mogliby się schronić. Niestety, jedynie daleko na wschodzie ujrzał parę przedzierających się powoli przez tundrę lapońskich wiosek gnających przed sobą stada reniferów. Gdyby chciał do nich dolecieć, Lisie Duchy na pewno przecięłyby mu drogę. Na północnym horyzoncie majaczyły masywne góry Tannhauser, a zasnuwający je wulkaniczny dym zdawał się oferować jedyną kryjówkę.

– Co robimy? – zapytał.

– Leć dalej w tym samym kierunku – poradziła Hester. – Może uda nam się zgubić ich w górach.

– A jeśli zaczną strzelać? – stęknął Pennyroyal. – Są już tak blisko! Co będzie, jak nas trafią?

– Zależy im na zdobyciu „Jenny” – odparła Hester. – Nie zaryzykują użycia rakiet.

– Po co im „Jenny”? Po co komu ten stary grat? – dopytywał się zdenerwowany Pennyroyal. Kiedy Hester wytłumaczyła mu w czym rzecz, wykrzyknął: – To statek Anny Fang? Wielka Klio! Wszechmocny Poskicie! Ale Zielona Burza czci Annę Fang jak boginię! To organizacja powstała z niedobitków Północnej Floty, którzy poprzysięgli zemścić się za to, co agenci Londynu zrobili w Batmunkh Gompa! Jasne, że chcą odzyskać ten statek! Na litość wszystkich bóstw świata, czemu nie powiedzieliście mi, że ten sterowiec jest kradziony? Domagam się pełnego zwrotu kosztów!

Hester odepchnęła go na bok i pochyliła się nad mapą.

– Tom – powiedziała. – Na zachód stąd jest kanion. Nazywa się Drachen. Może znajdziemy tam miasto, na którym będziemy mogli wylądować.

Lecieli dalej, wzbijając się w rozrzedzone powietrze ponad szczytami. Raz nawet z trudem wyminęli gęsty słup dymu wyplutego nagle z gardzieli młodego wulkanu. Nie ujrzeni jednak żadnego kanionu ani miasta, a po upływie następnej godziny Lisim Duchom udało się zbliżyć na odległość strzału. Usłyszeli złowrogi świst rakiet, które eksplodowały z hukiem niedaleko burty.

– Wielki Quirke’u! – jęknął Tom. Lecz Quirke był bogiem Londynu i jeśli nie uratował własnego miasta, to czemu miałyby nagle przyjść z pomocą nędznemu sterowcowi, który zapuścił się w głąb siarczanych oparów ponad szczytami gór Tannhauser?

Profesor Pennyroyal dał nura pod stół z mapami.

– Strzelają!

– Dzięki za informację. Zachodziliśmy w głowę, co to za wybuchy – szydziła Hester zła, że jej przewidywania okazały się fałszywe.

– Ale mówiłaś, że tego nie zrobią!

– Celują w silniki – zauważył Tom. – Jeśli je unieruchomią, dogonią nas i dokonają abordażu...

– I co? Dlaczego niczego nie robimy? Dlaczego się nie bronimy? – dopytywał się Pennyroyal.

– Nie mamy rakiet – odparł zgnębiony Tom. Po powietrznej bitwie nad Londynem, kiedy to zestrzelił „Winę na Trzynaste Piętro” i zobaczył twarze palonej żywcem załogi, poprzysiągł sobie, że „Jenny” będzie pokojowym statkiem. Od tamtej pory jej wyrzutnie rakietowe były puste. Teraz jednak żałował swoich skrupułów. Przez jego naiwność Hester i Pennyroyal znajdą się wkrótce w łapskach Zielonej Burzy.

Świsnęła kolejna rakietka. Nadszedł czas na desperacki ruch. Z imieniem Quirke’a na ustach, Tom skręcił w lewo, zapikował

w górski labirynt, śmignął między wysmaganymi wiatrem bazaltowymi skałami, a potem wzbił się znowu w górę.

Daleko w dole ujrzał inny pościg. Malutkie osiedle padliniarzy mknęło na południe przez górski jar. Tuż za nim z szeroko rozwartymi szczękami toczyło się wielkie, rdzewiejące trójpoziomowe miasto.

Tom skierował „Jenny” w ich stronę, a potem zerknął w peryskop. Lisie Duchy wciąż siedziały mu na ogonie. Pennyroyal zaczął obgryzać paznokcie.

– Och, wielki Poskicie! Och, Deeble, miejcie nas w opiece! – mamrotał pod nosem, kierując swe modły do Bogów Ciemności.

Hester włączyła radio, prosząc miasto o pozwolenie na lądowanie.

Cisza. Kolejna rakietka świsnęła w powietrzu i rozbiła z hukiem o zbocze trzydzieści metrów od gondoli „Jenny”. Po chwili w głośniku odezwał się kobiecy głos mówiący w lotniczym esperanto z wyraźnym słowiańskim akcentem.

– Tu port lotniczy Nowej Niżni. Wasza prośba została odrzucona.

– Co?! – wykrzyknął Pennyroyal.

– Ale to nie... – powiedział Tom.

– To nagły wypadek! – krzyknęła Hester do mikrofonu. – Ścigają nas!

– Wiemy – odparła operatorka zdecydowanym tonem. – Nie chcemy kłopotów. Nowa Niżni to pokojowe miasto. Nie zbliżajcie się albo was ostrzelamy.

Kolejna rakietka antymobilistów wybuchła tuż za ogonem „Jenny Haniver”. Na chwilę chrapliwe groźby lotników Zielonej Burzy zagłuszyły komunikat z Nowej Niżni. Kiedy ucichły, kobieta powtarzała:

– Nie zbliżajcie się albo was ostrzelamy!

Tom wpadł na pewien pomysł.

Nie miał czasu, żeby wyjaśnić go Hester. Wątpił zresztą, żeby go poparła, gdyż przeczytał o tym manewrze u Valentine'a w *Przygodach archeologa* – jednej z jego ulubionych lektur z czasów młodości spędzonej na pokładzie Londynu. Spuściwszy część gazu z balonu, obniżył gwałtownie lot, kierując się prosto na miasto. Głos w radiu przerodził się w krzyk. Pennyroyal i Hester oniemieli, patrząc, jak Tom wlatuje na środkowy poziom Nowej Niżni, mijając dwie olbrzymie kolumny podpierające górny pokład. Dwa ze ścigających „Jenny Haniver” sterowców wzbiły się gwałtownie w górę, ale pilot trzeciego ruszył za Tomem w głąb miasta.

Była to pierwsza wizyta, jaką Tom złożył w Nowej Niżni, i należała do przelotnych. Chłopak zdążył się jednak zorientować, że rozkład ulic przypomina plan Londynu. Ulice na każdym z pokładów rozchodziły się promieniście od położonego w centrum placu. „Jenny Haniver” leciała nad jedną z nich na wysokości latarni. Ludzie w oknach przyglądali się jej z szeroko rozwartymi ustami, a przechodnie uciekali w popłochu z chodników. Nagle przed statkiem wyrosły słupy podpierające strop i obudowane szyby wind. Malutka i zwrotna „Jenny Haniver” precyzyjnie przecisnęła się między nimi z trudem, przyplacając niebezpieczny slalom rozdarciem zewnętrznej powłoki balonu i zadrapaniami na lakierze gondoli. Ścigający ją Lisi Duch miał większego pecha. Ani Hester, ani Tom nie widzieli dokładnie, co się stało, ale huk roztrzaskującego się sterowca zagłuszył nawet wycie silników. Przez peryskop ujrzeli opadające na pokład strzępy balonu i gondolę chybotającą się na linii wysokiego napięcia.

Wylecieli z Nowej Niżni wprost w oślepiające słońce. Zdawało się, że

ucieczka zakończyła się powodzeniem. Nawet zdrętwiały z przerażenia Pennyroyal dał się ponieść entuzjazmowi. Jednak Zielona Burza nie poddała się jeszcze. Gdy „Jenny” przebiła się przez kłęby dymu z miejskich kominów, czekały już na nią dwa pozostałe sterowce.

Jedna z rakiet uderzyła w prawy silnik. Siła wybuchu wybiła szyby w kabinie, zwalając Hester z nóg. Podniósłszy wzrok, dziewczyna ujrzała Toma pochylonego nad sterami i obsypanego kawałkami szkła. Pennyroyal leżał na stoliku z mapami, a z rany na jego łysinie broczyła krew. Na głowę spadła mu podwieszona pod sufitem gaśnica. Hester podźwignęła profesora i przeniosła na fotel przy oknie. Wciąż oddychał, ale oczy powędrowały mu w górę i między na wpół otwartymi powiekami było widać tylko białka. Wyglądał, jakby przyglądał się czemuś niezwykle interesującemu we własnej głowie.

Wybuchły kolejne rakiety. Jedno ze śmigieł oderwało się i wirując jak bumerang, opadło na pokrytą śniegiem ziemię. Tom wciąż mocował się z drążkami, ale „Jenny Haniver” przestała słuchać jego rozkazów – eksplozja zniszczyła stery lub prowadzące do nich kable elektryczne. Podmuch wyjącego wiatru od gór pchnął „Jenny” w stronę Lisich Duchów. Jeden z nich odbił gwałtownie w bok, by uniknąć kolizji, i zderzył się z drugim sterowcem Ligi.

Oślepiający blask wybuchu, odległego zaledwie o niecałe dwadzieścia metrów, wypełnił kabinę „Jenny Haniver”. Kiedy Hester odzyskała wzrok, niebo zasypane było wirującymi szczątkami statków. Słyszała trzask uderzających o skały części Lisich Duchów, a w tle warkot silników i chrzęst gąsienic sunącej na południe Nowej Niżni. Słyszała też bicie własnego serca – bardzo szybkie i głośne – i nagle zdała sobie sprawę, że silniki „Jenny” przestały pracować.

Sądząc po coraz bardziej nerwowych ruchach Toma mocującego się z aparaturą, nadzieja, że znów obudzą się do życia, wydawała się nikła. Przez wybite okna do kabiny wdzierał się mroźny wiatr, zasypując wnętrze płatkami śniegu i przynosząc orzeźwiająca wilgoć lodowca.

Hester odmówiła krótką modlitwę za dusze lotników z Zielonej Burzy, licząc, że ich duchy przeniosą się do Krainy Bez Słońca i nie będą już nikogo dręczyć na tej ziemi. Później podeszła do Toma i stanęła przy jego boku. Chłopak porzucił bezskuteczne próby uruchomienia silników i przytulił ją do siebie. „Jenny” szybowiała, a oni stali, obejmując się mocno i patrząc przed siebie. Ich statek dryfował wzdłuż zbocza wulkanu. Wokół nie było widać żadnych gór. Aż po horyzont rozciągała się jedynie biała równina. Byli na łasce wiatru, a ten niósł ich w stronę Lodowych Pustkowi.

6. Nad lodami Północy

Nic z tego – oznajmił Tom. – Nie mogę naprawić uszkodzeń podczas lotu, a jeśli tutaj wylądujemy...

Nie musiał mówić nic więcej. Od katastrofy w kanionie Drachen minęły trzy dni, a pod niesionym podmuchami wiatru wrakiem „Jenny Haniver” rozciągały się tereny obce i nieprzyjazne niczym powierzchnia Księżyca. Jak okiem sięgnąć wszędzie leżał śnieg pokrywający warstwą puchu prastary lodowiec. Tu i ówdzie z bieli wyłaniał się jakiś górski szczyt, równie martwy i nieprzystępny jak reszta krajobrazu. Ani śladu miasteczek, miast lub choćby śnieżnych nomadów. Wszystkie wysyłane przez „Jenny” sygnały radiowe pozostawały bez odpowiedzi. Mimo że było dopiero wczesne popołudnie, czerwony, niedający ciepła dysk słońca już chował się za horyzont.

Hester objęła Toma i poczuła, że drży mimo grubego płaszcza. Było bardzo zimno. Mróz niczym żywa istota lgnął do skóry, wdzierał się w jej pory, zapuszczając macki w głąb ciała i wysysając całe ciepło. Hester miała wrażenie, jakby wgryzał się już w jej kości, ale i tak musiało jej być cieplej niż Tomowi, który, pragnąc naprawić uszkodzenia, ostatnią godzinę spędził na kruszeniu lodu oblepiającego

silniki.

Zaprowadziła go do kajuty i położyła na pryczy. Okryła go wszystkimi kocami i ubraniami, jakie mieli, a następnie wsunęła się pod nie i przytuliła mocno do jego ciała.

– Jak się ma Pennyroyal? – zapytał Tom.

Hester wzruszyła ramionami. Trudno było coś powiedzieć. Historyk nie odzyskał przytomności i zaczęła podejrzewać, że już nigdy się nie ocknie. Położyła go w drugiej kajucie i okryła jego własnym śpiworem oraz kilkoma kocami, które jej zdaniem bardziej przydałyby się Tomowi.

– Za każdym razem, kiedy wydaje się, że już po nim i można go wyrzucić za burtę, chrząka albo mamrocze.

Zapadła w drzemkę. Śniło jej się, że dziwne światło wypełnia kabinę – migoczący blask, który mieni się wszystkimi barwami tęczy jak promieniowanie Meduzy. Przypomniawszy sobie tamtą potworną noc, przytuliła się mocniej do Toma i przywarła ustami do jego warg. Kiedy otworzyła oczy, blask ze snu wciąż oświetlał twarz ukochanego.

– Aurora borealis – szepnął.

Hester aż podskoczyła.

– Kto? Gdzie?

– Zorza polarna – wyjaśnił ze śmiechem, wskazując okno. Na tle nocnego nieba, nad skutą lodem ziemią unosił się świetlisty opalizujący kolorami welon, to zielonkawy, to czerwony, kiedy indziej znów złoty. Rozbłyskiwał wszystkimi barwami, gwałtownie przygasał i zaraz potem ponownie rozświetlał mrok.

– Zawsze chciałem ją zobaczyć – wyznał Tom. – Odkąd przeczytałem o niej u Chung-Mai Spofforda w *Zimie wśród śnieżnych nomadów*. I jest! Jakby ukazała się specjalnie dla nas.

– Gratuluje – powiedziała Hester, wciskając twarz w jego ramiona, żeby tylko nie widzieć tego światła. Owszem, było piękne, ale jego uroda przytłaczała i dziewczyna nie potrafiła oprzeć się myśli, że zapłonęło, zwiastując ich śmierć. Wkrótce ciężar lodu osadzającego się na powłoce balonu i olinowaniu zepchnie sterowiec w dół, a tam, w mroku i na przejmującym mrozie, oboje zapadną w sen, z którego już nigdy się nie obudzą.

Wizja ta nie przerażała jej jednak nadmiernie. Wydawała się nawet miła – drzemać w objęciach Toma i czuć ciepło uchodzące powoli z ciała. Poza tym wszyscy wiedzą, że kochankowie, którzy umierają spleceni w miłosnym uścisku, jako ulubieńcy Bogini Śmierci udają się do Krainy Bez Słońca we dwoje.

Niestety, zachciało jej się siusiu. Im bardziej starała się to ignorować w oczekiwaniu na kojący dotyk mrocznej bogini, tym bardziej pęcherz dopominał się o swoje prawa. Nie chciała umrzeć, myśląc o tak prozaicznej potrzebie, ale nie zamierzała też nasikać w spodnie. Wyprawa do innego świata w przemoczonym ubraniu nie wydawała się zbyt romantyczna.

Zrzędząc i klnąc pod nosem, zwlokła się z pryczy i ślizgając się po oblodzonym pokładzie, wyszła z kajuty. Chemiczna toaleta, umieszczona za kabiną pilota, została roztrzaskana przez jedną z rakiet. W jej miejscu w podłodze ziała dziura. Hester przykucnęła i załatwiła się szybko, dygocąc przy tym z zimna.

Chciała wrócić prosto do Toma, ale coś podkusiło ją, żeby wejść do pogrążonej w ciszy kabiny pilota. Później miała tego pożałować. Kokpit wyglądał przepięknie. Oszronione przyrządy i wskaźniki lśniły łagodnym światłem. Hester uklękła przed małą przenośną kapliczką Bogini Niebios i Boga Lotników. Większość pilotów dekoruje kabiny

podobiznami przodków, ale ani Tom, ani Hester nie mieli zdjęć rodziców, więc powiesili tylko wygrzebaną ze starego kufra fotografię Anny Fang. Hester zmówiła w jej intencji modlitwę, w nadziei że kiedy trafi z Tomem do Krainy Bez Słońca, zmarła lotniczka powita ich z otwartymi ramionami.

Kiedy wstała z klęczek, żeby wrócić do Toma, spostrzegła za oknem światełka. Na początku uznała, że są to tylko refleksy zorzy polarnej na śniegu. Ale nie! Były to żarzące się punkciki, które nie zmieniały co chwila barwy, tylko migotały nieznacznie w suchym, zimnym powietrzu. Podeszła do rozbitego okna. Oczy łzawiły jej od mrozu i wiatru, ale po jakimś czasie dopatrzyła się ciemnej obwódki wokół świateł i bladego obłoku mgły albo pary wodnej. Miała przed sobą miasto jadące na północ, w odległości jakichś piętnastu kilometrów od zawietrznej.

Starając się zignorować ogarniające ją uczucie rozczarowania, które wzięło się nie wiadomo skąd, poszła obudzić Toma. Poklepywała jego policzek tak długo, aż wreszcie obrócił się na bok.

– Co się stało? – zapytał.

– Któryś z bogów musi nas bardzo lubić – odparła. – Jesteśmy ocaleni.

Kiedy Tom wszedł do kabiny pilota, miasto znajdowało się dużo bliżej, ponieważ sprzyjający wiatr pchał „Jenny Haniver” prosto w jego stronę. Był to nieduży dwupokładowiec sunący po śniegu na szerokich stalowych płozach. Tom sięgnął po lornetkę i nakierował ją na miasteczko. Ujrzał zaokrąglone, rozszerzające się ku dołowi szczęki, które służyły za pług, wielkie zębate koło napędzające miasto, eleganckie wille i kamienice na górnym pokładzie, a także pałac stojący na rufie. Wszystko to jednak sprawiało nieco ponure

wrażenie. W wielu oknach nie było światła, a ściany pokrywała rdza.

– Nie rozumiem, dlaczego nie odebraliśmy ich sygnału – wymamrotała Hester, manipulując przy radiu.

– Może go nie mają – zauważył Tom.

Hester obracała pokrętło to w jedną, to w drugą stronę, przeszukując wszystkie częstotliwości. Nic. Dziwne, pomyślała. Samotne miasto błakające się niczym widmo po Lodowych Pustkowiach. Kiedy jednak weszła na otwarty kanał, w głośniku odezwał się przyjazny głos kierownika lotniska, a pół godziny później jego siostrzeniec zjawił się na pokładzie „Jenny Haniver”, przyleciawszy małym terkoczącym sterowcem, i wziął poturbowany statek na hol.

Wkrótce, gdy arktyczny świt zaczął rozjaśniać niebo, wylądowali na niemal pustej płycie lotniska. Kierownik portu wraz z żoną – mili ludzie o śniadych okrągłych twarzach, ubrani w długie płaszcze i futrzane berety – pomogli wprowadzić „Jenny” do zwieńczonego kopułą hangaru, a potem ułożyli Pennyroyala na noszach i zanieśli go do własnego domu. Tam, w ciepłej kuchni, na niespodziewanych gości czekała już kawa, bekon i gorące ciasteczka. Gdy Tom i Hester zajadali się tymi smakołykami, gospodarze przyglądali się im z uśmiechami na twarzach.

– Witajcie, podróżni! Witajcie w Anchorage! – mówili.

7. Miasto widmo

Była środa, a w środy szofer zawoził Freyę do świątyni Bogów Lodu, aby mogła pomodlić się i poprosić ich o radę. Świątynia stała zaledwie dziesięć metrów od pałacu na tej samej podwyższonej platformie w pobliżu rufy miasta. Freya uważała, że wcale nie trzeba wzywać szofera i zajmować miejsca w oficjalnym żuku, aby pokonać tak niewielką odległość, ale zdecydowała się na ten ceremoniał. Margrabinie po prostu nie wypadało udać się do świątyni pieszo.

Po raz kolejny uklękła przed specjalnie chłodzonym ołtarzem i podniosła wzrok na wykute w lodzie posągi Pana i Pani Północy, błagając, aby powiedzieli jej, co powinna zrobić, albo przynajmniej zesłali jakiś znak poświadczający słuszność tego, co już uczyniła. I po raz kolejny nie uzyskała odpowiedzi. Nie pojawiły się żadne cudowne światła, żaden głos nie szepnął jej niczego do ucha, szron na posadzce nie ułożył się w żaden napis. Tylko silniki mruczały miarowo, wprawiając ułożone na klęczniku nogi w lekkie drżenie, a mróz zimowego wieczoru trząsał za oknami. Freya nie mogła się skoncentrować, wciąż myślała o jakichś głupich, niepoważnych sprawach. Na przykład o rzeczach, które znikwały z pałacu. Złościło ją to i trochę przerażało. Ktoś buszował w jej prywatnych komnatach

i kradł biżuterię. Zapytała bogów, kto jest tym tajemniczym złodziejem, ale oczywiście tego też nie chcieli jej wyjawić.

W końcu pomodliła się do mamy i taty, zastanawiając się, czy trafili do Krainy Bez Słońca. Dopiero gdy umarli, zrozumiała, że tak naprawdę nigdy ich nie знаła. Nie w sposób, w jaki inne dzieci znają swoich rodziców. Właściwie opiekowały się nią niańki i służące, a matkę i ojca widywała jedynie przy stole i podczas oficjalnych uroczystości. Zwracała się do nich „Wasza Promienistość” i „sir”. Tylko raz wybrali się wspólnie na małą wycieczkę lodową łodzią. To był prawdziwy rodzinny piknik – tylko Freya, mama, tata i około siedemdziesięciu służących. Ale później wybuchła zaraza i zabroniono jej się z nimi spotykać. Gdy umarli, służba ułożyła ich ciała w łodzi, podpaliła ją i skierowała w stronę lodowca. Freya stała wtedy w oknie, wpatrywała się w dym unoszący się z lodowej łodzi i czuła się tak, jakby rodzice nigdy nie istnieli.

Kiedy wyszła na zewnątrz, szofer przechadzał się tam i z powrotem i dla zabicia czasu kreślił nosem buta rozmaite wzory na śniegu.

– Do domu, Smew – oświadczyła, a gdy ten rozsunął usłudźnie drzwi żuka, spojrziała w stronę dziobu, uświadamiając sobie, jak niewiele światła pali się ostatnimi czasy w domach na górnym pokładzie. Parę tygodni wcześniej wydała dekret zezwalający robotnikom z maszynowni opuścić ciasne mieszkanca na dolnym pokładzie i przenieść się do pustych willi na górze, ale tylko nieliczni zdecydowali się na przeprowadzkę. Może odpowiadały im ich klitki. Może potrzebowali znajomych kątów i sprzętów tak bardzo, jak ona.

Gdy przesunęła wzrokiem po ośnieżonej płycie lotniska, jej uwagę przykuł szkarłatny kształt.

– Smew, co to takiego? Chyba nie przyleciał do nas żaden statek?

Szofer skłonił się nisko.

– Wylądował ostatniej nocy, Wasza Promienistość. Sterowiec handlowy o nazwie „Jenny Haniver”. Został ostrzelany przez piratów czy jakąś inną bandę i wymaga naprawy. Tak przynajmniej mówi kierownik portu, Aakiuq.

Freya wyteńczyła wzrok, starając się jak najdokładniej obejrzeć statek. Trudno było cokolwiek zobaczyć, bo w powietrzu wirowały płatki śniegu zdmuchiwanego z dachów przez wiatr. Jakie to dziwne uczucie pomyśleć, że po tak długim czasie na pokład Anchorage znowu zawitali goście!

– Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś? – spytała.

– Zwykle margrabiny nie informuje się o przybyciu pospolitych kupców, Wasza Promienistość – odparł szofer.

– Ale kim są ci goście? Co to za ludzie?

– Dwoje młodych lotników, Wasza Promienistość. I starszy pan, ich pasażer.

– Aha – mruknęła Freya, tracąc zainteresowanie. Przez moment dała się niemal ponieść entuzjazmowi, wyobrażając sobie, że zaprosi przybyłych do pałacu. Ale oczywiście margrabina Anchorage nie mogła sobie pozwolić na znajomość z parą jakichś podniebnych włóczęgów i obdartusem, którego nie stać nawet na własny sterowiec.

– Nazywają się Natsworthy i Shaw, jak poinformował mnie pan Aakiuq, Wasza Promienistość – dorzucił Smew, pomagając Freyi wsiąść do żuka. – I Pennyroyal.

– Pennyroyal? Chyba nie profesor Nimrod Pennyroyal?

– Wydaje mi się, że właśnie on, Wasza Promienistość.

– W takim razie... w takim razie... – Freya poprawiła futrzany beret, a potem potrząsnęła głową. Tradycje, którymi się kierowała, od kiedy

wszyscy umarli, nie mówiły, jak powinna się zachować, gdy wydarzy się cud. – Och – westchnęła. – Och, Smew, muszę go powitać! Jedź do portu lotniczego! Zaprowadź profesora do pałacowej kancelarii... albo nie, do komnaty audiencyjnej. Gdy tylko mnie odwieziesz, natychmiast... albo nie, jedź już teraz! Wrócę na piechotę!

Po tych słowach wbiegła z powrotem do świątyni, żeby podziękować Bogom Lodu za zesłanie znaku, na który tak długo czekała.

Nawet Hester słyszała o Anchorage. Mimo niewielkich rozmiarów było to najśłynniejsze miasto Północy, ponieważ jego historia sięgała czasów starej Ameryki. Grupa uciekinierów opuściła pierwsze Anchorage przed samym wybuchem wojny sześćdziesięciminutowej i osiedliła się na małej północnej wysepce. Tam dawni obywatele amerykańskiego imperium przetrwali plagi, trzęsienia ziemi i nową epokę lodowcową. Osiemset lat temu, gdy miejski mobilizm dotarł na obrzeża Arktyki, mieszkańcy Anchorage – żeby uniknąć pożarcia przez ruchome osiedla – zbudowali miasto na płozach. I rozpoczęli swą tułaczkę po Lodowych Pustkowiach.

Miasto nie należało bynajmniej do drapieżników, jego nieduże szczęki służyły tylko do pożerania złomu oraz lodu, z którego uzyskiwano świeżą wodę. Jego ludność trudniła się przede wszystkim handlem na obrzeżach Lodowych Pustkowi, gdzie Anchorage mogło się połączyć za pomocą eleganckich mostków z innymi pokojowo nastawionymi osiedlami i służyć gościnnie padliniarzom i archeologom sprzedającym skarby wygrzebane spod lodu.

Co więc robiło Anchorage właśnie tutaj, dziesiątki kilometrów od utartych szlaków handlowych, kierując się na północ na spotkanie

zimy? Pytanie to nie dawało Hester spokoju, gdy pomagała wprowadzić „Jenny Haniver” do hangaru, i nie przestało jej dręczyć, gdy obudziła się w domu kierownika lotniska z długiego odświeżającego snu. W szarym świetle zmierzchu, które uchodziło tutaj za dzień, widziała, że białe eleganckie wille stojące przy płycie lotniska są poplamione rdzą, a ich pozbawione szyb okna przypominają puste oczodoły kościotrupów. Port lotniczy nikł niemal pod zaspami i stertami złomu. Wiatr wpędzał śnieg i śmieci do pustych hangarów. Chudy bezpieczeństwa pies uniósł nogę przy kupie żelastwa.

– Taka szkoda, taka szkoda – powiedziała żona kierownika portu, pani Aakiuq, szykując młodym gościom drugie śniadanie. – Gdybyście widzieli to miasto w dawnych czasach. Tyle tu było bogactw, tyle się działo. Pamiętam, że kiedy byłam dzieckiem, często zdarzało się, że statki krążyły nad Anchorage godzinami, bo na lotnisku brakowało wolnych miejsc. Powietrzne jachty, śmigacze i wyścigowe sterowce zlatywały się z całego świata, żeby spróbować szczęścia w Północnych Regatach. Do naszego portu zawijały wspaniałe wielkie liniowce nazywane na cześć starożytnych księżniczek ekranu, „Audrey Hepburn” i „Gong Li”.

– I co się stało? – spytał Tom.

– Los się odmienił – odparła smutno pani Aakiuq. – Stada osiedli nadających się do pożarcia zostały przetrzebione i drapieżne miasta, takie jak Archangielsk, które wcześniej nawet by się za nami nie obejrzały, zaczęły na nas polować.

Jej mąż pokiwał głową, nalewając gościom gorącą kawę.

– A potem, w tym roku – powiedział – przyszła zaraza. Przyjeliśmy na pokład grupę padliniarzy. Właśnie odnaleźli szczątki wojskowej

stacji orbitalnej, która rozbiła się w okolicach bieguna. Kiedy ją otworzyli, uwolnili jakiś okropny wirus z czasów wojny sześćdziesięciminutowej. Och, nie martwcie się, te wirusy bojowe działają szybko, a potem mutują w coś zupełnie niegroźnego. Zaraza obiegła miasto z szybkością huraganu, zabijając setki ludzi. Nawet stara margrabina i jej małżonek umarli. Kiedy było po wszystkim i zdjęto kwarantannę, cóż, wielu obywateli nie widziało już dla siebie przyszłości w Anchorage, więc powsiadali na powietrzne statki i wyemigrowali, szukając lepszego życia na pokładach innych miast. Wątpię, czy w całym Anchorage zostało nas więcej niż pięćdziesiąt osób.

– Tylko tyle? – zdumiał się Tom. – Ale jak takiej garstce udaje się utrzymać tak duże miasto w ruchu?

– Nie udaje się – odparł Aakiuq. – W każdym razie nie na dłuższą metę. Ale stary pan Scabious, nasz główny inżynier, dokonał cudów. Zamontował wiele automatycznie sterowanych systemów, wykorzystał różne gadżety starej technologii. Dzięki temu Anchorage utrzyma się w ruchu dostatecznie długo.

– Co znaczy „dostatecznie długo”? – zapytała Hester podejrzliwie. – Dokąd jedziecie?

Z twarzy kierownika portu zniknął nagle uśmiech.

– Nie mogę powiedzieć, panno Hester. Kto nam zaręczy, że po odlocie nie sprzedacie naszego kursu Archangielskowi albo jakiemuś innemu wielkiemu drapieżnikowi? Nie chcemy się na to narażać. A teraz jedzcie. Potem pójdziemy poszukać części zamiennych dla waszej biednej poobijanej „Jenny Haniver”.

Kiedy już się najedli, pan Aakiuq poprowadził ich między opustoszałymi dokami do olbrzymiego, zwieńczonego kopułą

magazynu. W jego mrocznym wnętrzu stare silniki i listwy od gondoli wały się wśród podzespołów wymontowanych z pokładów nienadających się do użytku statków oraz aluminiowych szkieletów dawnych balonów. Zawieszane pod sufitem śmigła wszelkich wyobraźalnych rozmiarów kołysały się w rytm ruchów rozpędzonego miasta.

– Ten składzik należał kiedyś do mojego kuzyna – oznajmił Aakiuq, oświetlając latarką stopy części. – Ale biedak umarł w czasie zarazy, więc zdaje się, że go odziedziczyłem. Nie martwcie się, potrafię naprawić prawie każde uszkodzenie, a ostatnimi czasy i tak nie mam nic do roboty.

Gdy przechadzali się po mrocznym, pełnym zardzewiałych części magazynie, coś zachrząściło i zaklekotało wśród ustawionych na metalowych półkach gratów. Hester, jak zawsze czujna, odwróciła głowę, wpatrując się w tamto miejsce swoim jedynym okiem. Nic się nie poruszyło. Drobne przedmioty zawsze spadają na ziemię w takich starych magazynach, prawda? – przekonywała się. To się często zdarza w budynku o szwankujących resorach, który chyba co i drży wraz z całym miastem. A mimo to nie potrafiła pozbyć się dziwnego poczucia, że ktoś ją obserwuje.

– Silniki Jeunet-Carot, zgadza się? – zapytał pan Aakiuq. Wyraźnie polubił Toma, którego ludzie zawsze lubili, i bardzo starał się pomóc, przetrząsając kupy złomu i wertując kartki wielkiej butwiejącej księgi ze spisem wszystkich części. – Zdaje się, że znajdę coś odpowiedniego. Widzę, że macie stare tybetańskie komory gazowe. Te, których nie da się załatać, można będzie wymienić na RJ50 z Zhang-Chen. Tak, jeśli się nie mylę, wasza „Jenny Haniver” będzie zdolna do lotu nie dalej niż za trzy tygodnie.

W nikłym niebieskawym świetle szczelnie zamkniętej kabiny trzy pary oczu wpatrywały się w mały ekranik i gruboziarnisty, migoczący obraz Toma, Hester i Aakiuqa. Trzy pary uszu nasłuchiwały cichych, zniekształconych głosów, które dochodziły ze świata na górze.

Kiedy wrócili do domu kierownika lotniska, pani Aakiuq wręczyła Tomowi i Hester ciepłe buty, rakiety śnieżne, ocieplaną bieliznę, swetry z grubej wełny, rękawiczki, szaliki i długie zimowe płaszcze. Nie zapomniała również o maskach chroniących od zimna – zakładanych na twarz kawałkach skóry ze szkiełkami na oczy i filtrem umożliwiającym oddychanie. Uczynna gospodyni nie powiedziała, skąd wzięła te wszystkie ubrania, ale Hester zauważyła udekorowane żałobnymi wstążkami fotografie w rodzinnej kapliczce i zgadła, że została wraz z Tomem obdarowana rzeczami po zmarłych dzieciach Aakiuqów. Miała nadzieję, że drobnoustroje, które wywołały zarazę, naprawdę wyginęły. Ale maska bardzo jej się spodobała.

Gdy weszli do kuchni, zastali Pennyroyala siedzącego na piecu i moczącego stopy w misce z gorącą wodą. Był blady, czoło miał obwiązane bandażem, ale poza tym wydawał się zupełnie zdrowy. Popijając herbatę z mchu, zaparzoną przez panią Aakiuq, powitał Toma i Hester radośnie.

– Tak się cieszę, że wyszliście z tego cało! Cóż za wspaniała przygoda! Muszę ją opisać w następnej książce...

W tym momencie zadzwonił wiszący na ścianie mosiężny telefon. Pani Aakiuq podbiegła do niego i przyłożyła do ucha słuchawkę. Przyjaciółka z centrali, pani Umiak, miała jej do przekazania ważną informację. Im dłużej pani Aakiuq wsłuchiwała się w jej słowa, tym szerzej się uśmiechała. Kiedy odwiesiła słuchawkę i odwróciła się do

gości, ledwo mogła mówić z przejęcia.

– Mam wspaniałe wieści, moi drodzy! Jej Promienistość margrabina pragnie zaprosić was na audiencję! Margrabina we własnej osobie! Wyśle szofera, który zawiezie was do pałacu! Cóż za zaszczyt! Pomyśleć, że prosto z mojej skromnej kuchni traficie na komnaty margrabiny!

8. Pałac Zimowy

Kto to jest margrabina? – szepnęła Hester do Toma, kiedy wychodzili znowu na trzaskający mróz. – Brzmi jak coś, co się rozsmarowuje na kanapkach...

– Zdaje się, że to rodzaj pani burmistrz – odparł Tom.

– Margrabina – wtrącił się Pennyroyal – to żeński odpowiednik margrabiego. W wielu miasteczkach Północy władza naczelna jest dziedziczna, a rodzina panująca nosi określony tytuł. Może to być margrabia, graf, Elector Urbanus. Również w Archangielsku władza jest dziedziczna. Tutejszy lud przejawia wielki szacunek do podobnych tradycji.

– Hm, nie rozumiem, dlaczego nie mogą mówić na nią po prostu „pani burmistrz” – mruknęła Hester.

Przed bramą lotniska czekał na nich żuk – elektryczny pojazd w rodzaju tych, jakie Tom zapamiętał z Londynu, tylko że nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek widział model tak wspaniały jak ten. Był jaskrawoczerwony, a z boku widniała duża złota litera „R” otoczona girlandą. Pojedyncze tylne koło było większe niż w zwykłych żukach i nabite ćwiekami ułatwiającymi jazdę po śniegu, a na zaokrąglonych przednich błotnikach sterczały dwie duże latarnie

elektryczne.

Widząc nadchodzących pasażerów, szofer rozsunął przeszkłone drzwiczki. Miał na sobie czerwony uniform ze złotymi epoletami, a kiedy stanął na baczność i zasalutował, sięgał Hester mniej więcej do pasa. Dziecko, pomyślała w pierwszej chwili. Potem jednak zobaczyła, że jest znacznie starszy od niej. Pośpiesznie odwróciła wzrok od jego zupełnie dorosłej twarzy, zdawszy sobie sprawę, że patrzy na niego w ten sam ciekawski i natrętny sposób, w jaki inni gapią się czasem na nią samą.

– Nazywam się Smew – powiedział. – Jej Promienistość wysłała mnie, abym zawiózł państwa do Pałacu Zimowego.

Wsiedli do żuka, wciskając się na tylną kanapę po obu stronach Pennyroyala, który jak na człowieka drobnej postury zajmował zaskakująco dużo miejsca. Smew zasunął drzwiczki i ruszyli. Tom obejrzał się za siebie, żeby pomachać państwu Aakiuq, którzy stali w oknie, ale port lotniczy zdążył już zniknąć w mroku. Żuk sunął po szerokiej, zabudowanej z obu stron arkadami ulicy. Za szybą migwały sklepy, restauracje i pałacyki – wszystkie wyludnione i ciemne.

– To aleja Rasmussenów – oświadczył Smew. – Bardzo elegancka ulica. Przecina wzdłuż cały górny pokład, od rufy aż po dziób.

Tom wyjrzał przez okno. To piękne opustoszałe miasto wywarło na nim wrażenie, ale brak ludzi trochę go niepokoił. Dlaczego to dziwne osiedle zapuściło się tak daleko na północ i dokąd tak pędzi? Zadrzał mimo ciepłego ubrania, przypominając sobie wizytę na pokładzie innego miasteczka, które znalazło się na odludziu i jechało nie wiadomo dokąd. Tunbridge Wheels, piracka osada, skończyła na dnie morza Khazak.

– Jesteśmy prawie na miejscu – oświadczył nagle Smew. – Oto Pałac

Zimowy, rezydencja rodu Rasmussenów od ośmiuset lat.

Zbliżali się do rufy. Elektryczny silnik zawył i zaklekotał, gdy żuk wjeżdżał na długą estakadę. Na górze stał pałac, który Tom widział z powietrza poprzedniej nocy – konstrukcja ze srebrzystego metalu z wieżyczkami i balkonami przystrojonymi soplami lodu. Wyższe piętra wyglądały na puste i opuszczone, ale niżej w niektórych oknach paliły się światła, a w spiżowych zniczach po bokach okrągłej bramy tańczyły złociste płomienie.

Żuk zatrzymał się ze zgrzytem na oblodzonym podejździe. Smew otworzył im usłużnie drzwiczki, a kiedy wysiedli, popędził po stopniach do pałacu i otworzył zewnętrzną bramę, wprowadzając ich do niewielkiego pomieszczenia zwanego komorą ciepłą. Zatrzasnąwszy masywne drzwi, odczekał kilka sekund, aż zimne powietrze, które dostało się z zewnątrz, stanie się cieplejsze dzięki specjalnym grzejnikom zamontowanym w suficie i w ścianach. Potem otworzył wewnętrzne drzwi. Podążając za Smew, ruszyli w głąb wyłożonego drewnem i ozdobionego tapetami przedsionka. Na jego końcu lśniły dwuskrzydłowe drzwi obite bezcennymi blaszkami ze starożytnych stopów metali. Szofer zapukał w nie.

– Poczekajcie tutaj – mruknął, po czym zniknął w bocznym korytarzyku.

Budynek zgrzytał lekko, kołysząc się razem z całym miastem. W powietrzu unosił się odór pleśni i gnijących kwiatów.

– Nie podoba mi się to – odezwała się Hester, spoglądając na grube pajęczyny, które oplatały żyrandole. – Dlaczego nas tutaj zaprosiła? Może to pułapka.

– Nonsens, panno Shaw – odparł Pennyroyal, próbując nie dać po sobie poznać niepokoju. – Pułapka? Po co margrabina miałaby się

uciekać do podstępów? Musicie pamiętać, że to bardzo dystyngowana osoba, zupełnie jak pani burmistrz.

Hester wzruszyła ramionami.

– Poznałam w życiu już dwóch burmistrzów i żaden nie był dystyngowany. Obaj mieli za to niezłe poprzewracane w głowach.

Metalowe drzwi otworzyły się nagle ze zgrzytem. Po drugiej stronie stał Smew, ubrany teraz w długi granatowy kaftan i sześciokątny kapelusz. W rękę trzymał laskę szambelana, która była dwa razy wyższa od niego. Powitał gości z powagą, jakby nigdy wcześniej ich nie widział, po czym uderzył laską trzykrotnie w metalową podłogę.

– Profesor Pennyroyal oraz panna Shaw i pan Natsworthy – obwieścił, a następnie usunął się na bok, zapraszając ich do wielkiej komnaty z kolumnami.

Pod łukowatym sklepieniem wisiał rząd argonowych lamp. Ich okrągłe refleksy na podłodze tworzyły świetlisty chodnik prowadzący na drugi kraniec sali. Tam, na podwyższonym, bogato zdobionym tronie siedziała margrabina. Hester chwyciła Toma za rękę i oboje ruszyli za Pennyroyalem. W końcu stanęli u stóp tronu i zadarli głowy, spoglądając na margrabinę.

Z jakiegoś powodu oboje spodziewali się kogoś starszego. Wszystko w tym cichym, rdzewiejącym pałacu przywodziło na myśl zmurszałą starość oraz wiekowe ceremoniały, które przetrwały, mimo że ich przeznaczenie dawno uległo zapomnieniu. A jednak dziewczyna, która patrzyła na nich wyniośle z wyżyn tronu, okazała się młodsza od nich. Mogła mieć nie więcej niż szesnaście lat. Spoglądali na ładną, wysoką nastolatkę ubraną w połyskliwą błękitną suknię i biały kaftan z kołnierzem z lisa. Jej twarz miała lekko eskimoskie rysy Aakiuqa i jego żony, ale cera była znacznie jaśniejsza, a włosy złotaworude.

Kolor jesiennych dębowych liści, pomyślała Hester, zakrywając twarz. Uroda margrabiny sprawiła, że poczuła się mała i nikomu niepotrzebna. Zaczęła więc szukać w niej wad. Jest stanowczo zbyt gruba. I ma brudną szyję. Jej ubranie jest przeżarte przez mole, a guziki źle zapięte...

Stojący obok Tom myślał co innego. Jest taka młoda, a musi rządzić całym miastem! Nic dziwnego, że tak smutno wygląda! Ale jest urocza!

– Wasza Miłość – powiedział Pennyroyal, kłaniając się w pas. – Niech wolno mi będzie podziękować za życzliwość, jaką Wasza Wysokość i jej obywatele okazali mnie i moim młodym przyjaciołom...

– Musi się pan do mnie zwracać per Wasza Promienistość – poprawiła go dziewczyna. – Albo Zorzo Śnieżnych Pól.

Zaległa niezręczna cisza. Z grubej rury pod sufitem, którą pompowano rozgrzane powietrze z silników, dobiegł cichy stukot.

– Jeżeli jest pan Nimrodem Pennyroyalem – odezwała się wreszcie margrabina – to dlaczego jest pan grubszy i bardziej łyсы niż na obrazku?

Podniosła książkę, która leżała na stoliku obok, i pokazała widniejący na okładce portret kogoś, kto mógłby być młodszym i przystojniejszym bratem profesora.

– Ach, artystyczna fantazja, Wasza Promienistość – bąknął historyk. – Mówiłem malarzowi, żeby przedstawił mnie takiego, jaki jestem. Z brzuszkiem i wysokim czołem. Ale zna pani artystów, uwielbiają idealizować, pragną ukazać ludzkie wnętrze...

Margrabina uśmiechnęła się. Wyglądała teraz jeszcze ładniej i Hester poczuła do niej niekłamaną wrogość.

– Chciałam się po prostu upewnić, że to pan, profesorze Pennyroyal

– powiedziała. – Rozumiem, jak to jest z portretami. Przed zarzą ciągle umieszczano moją podobiznę na znaczkach, monetach i talerzach, ale rzadko artyście udało się uchwycić podobieństwo...

Nagle przerwała, jakby jakaś wewnętrzna niańka upomniała ją, że margrabina nie trajkocze w towarzystwie gości jak rozentuzjasmowana nastolatka.

– Możecie spocząć – oznajmiła oficjalnym tonem i zaklaskała. Drzwi za tronem otworzyły się i wyszedł z nich Smew, taszcząc trzy nieduże krzesła. Miał na sobie kolejny kostium: bufiasty beret i tunikę z wysokim kołnierzem. Przez chwilę Tom zastanawiał się, czy przypadkiem margrabina nie ma na służbie trzech identycznych karłów, ale gdy bliżej przyjrzał się lokajowi, stwierdził, że to ten sam Smew. Miał zadyszkę od częstych przebieranek, a z kieszeni wystawała mu peruka szambelana.

– Pośpiesz się – rzuciła margrabina.

– Przepraszam, Wasza Promienistość – wysapał Smew, ustawiając krzesła naprzeciwko tronu. Następnie zniknął i pojawił się znowu, pchając przed sobą wózek, na którym stał dzbanek z herbatą i talerz migdałowych ciasteczek. Razem z nim wszedł do sali audiencyjnej drugi mężczyzna. Wysoki, ponury starszy pan ubrany w czarną szatę. Ukłonił się lekko, po czym zajął miejsce przy tronie. W tym czasie Smew nalał herbatę do filiżanek ze szkła powybuchowego i rozdał je gościom.

– Rozumiem, że moje prace są wam znane, Zorzo Śnieżnych Pól? – zagadnął Pennyroyal, uśmiechając się afektownie.

Spod maski dworskiej etykiety znowu wychynęła twarz podekscytowanej nastolatki.

– O tak! Uwielbiam historię i książki podróżnicze. Kiedyś cały czas

się nimi zaczytywałam... ale wtedy jeszcze nie byłam margrabiną. Przeczytałam całą klasykę: Valentine'a, Spoffortha i Tamartona Foliota. Ale pańskie książki, profesorze Pennyroyal, zawsze należały do moich ulubionych. To właśnie one poddały mi pomysł, żeby...

– Proszę uważać, Wasza Promienistość – przestrzegł ją mężczyzna stojący przy tronie. Jego głos brzmiał jak cichy pomruk dobrze wyregulowanego silnika.

– No cóż – powiedziała margrabina – dlatego tak bardzo się cieszę, że Bogowie Lodu zesłali pana do nas! Bo widzi pan, to jest znak! Dowód, że podjęłam słuszną decyzję i znajdziemy to, czego szukamy. Jak moglibyśmy zbłądzić, mając pana na pokładzie?

– Ma świra – szepnęła Hester do Toma.

– Niestety obawiam się, że nie rozumiem – przyznał Pennyroyal. – Być może mój intelekt wciąż nie doszedł do siebie po ostatnich wypadkach. Chyba straciłem wątek.

– To bardzo proste – odparła margrabina.

– Wasza Promienistość – ostrzegł ją znowu mężczyzna w czerni.

– Och, niechże pan nie będzie takim pesymistycznym gburem, panie Scabious! – ucięła. – To przecież profesor Pennyroyal! Możemy mu zaufać!

– Nie wątpię, Wasza Promienistość – odparł Scabious. – Martwią mnie raczej jego młodzi znajomi. Jeśli dowiedzą się, dokąd jedziemy, mogą sprzedać tę informację Archangielskowi. Masgard z radością położyłby łapska na moich silnikach.

– Nigdy byśmy czegoś podobnego nie zrobili! – oburzył się Tom i skoczyłby, żeby stawić czoło ponuremu starcowi, gdyby Hester nie chwyciła go za ramię.

– Mogę ręczyć za moich młodych towarzyszy – zapewnił

Pennyroyal. – Kapitan Natsworthy też jest historykiem, wykształconym w Muzeum Londyńskim.

Margrabina spojrzała po raz pierwszy na Toma, przyglądając mu się z takim podziwem, że chłopak zarumienił się i spuścił wzrok.

– W takim razie witam, panie Natsworthy – powiedziała łagodnie. – Mam nadzieję, że również zechce pan z nami zostać i udzielić nam swojej pomocy.

– Jakiej pomocy? – zapytała Hester prosto z mostu.

– W podróży do Ameryki, rzecz jasna – odrzekła margrabina, pokazując przód okładki tej samej książki co poprzednio. Widniał na niej umięśniony, nienaturalnie przystojny Pennyroyal siłujący się z niedźwiedziem, który zaatakował piękną kobietę ubraną w futrzane bikini. Było to pierwsze wydanie *Pięknej Ameryki*. – To moja ulubiona lektura – wyjaśniła. – Podejrzewam, że dlatego Bogowie Lodu natchnęli mnie myślą o Ameryce. Przedostaniemy się przez lodowiec do nowej zielonej krainy, którą odkrył profesor Pennyroyal. Kiedy już tam dotrzemy, zamienimy płozy na koła, zaczniemy handlować z dzikimi i zapoznamy ich z zasadami miejskiego darwinizmu.

– Ale... ale... – Pennyroyal chwycił się poręczy krzesła, jakby znalazł się w targanym huraganem sterowcu. – Ale przecież... Jak zamierzacie się przedostać przez Kanadyjską Pokrywę Lodową na zachód od Grenlandii? Jeszcze żadne miasto nie próbowało...

– Wiem, profesorze – zgodziła się dziewczyna. – Będzie to dla was długa i niebezpieczna podróż. Podobna do twojej wędrówki z serca Ameryki do granic lodowca. Ale bogowie są z nami. Inaczej nie sprowadziliby pana na nasz pokład. Nadam panu tytuł Honorowego Głównego Nawigatora. Z pańską pomocą na pewno nam się uda.

Oczarowany zuchwałością planów margrabiny Tom zwrócił się do

Pennyroyala.

– Cóż za nieprawdopodobne szczęście, profesorze! – zakrzyknął radośnie. – W końcu uda się panu wrócić do Ameryki!

Pennyroyal wydał z siebie zduszony gulgot, wybałuszając oczy.

– Ja... Głównym Nawigatorem? Jesteś doprawdy zbyt szczodra, Zorzo Śnieżnych Pól, zbyt uprzejma... – Profesor zemdłał, a filiżanka z powybuchowego szkła wypadła mu z rąk i rozbiła się z trzaskiem o żelazną posadzkę. Smew jęknął żałośnie, bo serwis należał do rodziny Rasmussenów od setek lat, ale Freya nie wydawała się wzburzona.

– Profesor Pennyroyal jest wciąż wycieńczony po ostatnich przygodach – powiedziała. – Połóż go do łóżka! Wywietrz gościnne pokoje dla niego i jego przyjaciół. Musimy się postarać, aby jak najszybciej powrócił do zdrowia. I przestań się przejmować tą głupią rozbitą filiżanką, Smew. Gdy profesor doprowadzi nas do Ameryki, będziemy mieć tyle powybuchowego szkła, ile nam się zamarzy!

9. Baza

Daleko na południe, gdzie kończą się białe lodowce, ze spokojnego stalowoszarego morza wyrastała skalista wysepka. Na jej brzegach roiło się od mew, które uwiły tu gniazda. Ich krzyki słyhać było z daleka. Latały gromadnie nad szczytem skały, obsiadały stojące tam przysadziste budynki i rdzewiejące balustrady pomostów. Bo chociaż wyspa wydawała się opuszczona, żyli na niej ludzie. W górskich zboczach wykuto hangary, a kuliste cysterny z paliwem leżały wciśnięte między głązy niczym jajeczka gigantycznego pająka. Było to Gniazdo Szerszeni, miejsce, gdzie Czerwony Loki i jego podniebni piraci wybudowali swoją kryjówkę.

Czerwony Loki odszedł już do Krainy Bez Słońca, a na skalnych urwiskach i niektórych budynkach wciąż widać było czarne szramy pozostawione przez wybuchy rakiet, które świadczyły, że nie udał się tam bez walki. Pewnej spokojnej nocy oddział myśliwców zaatakował wyspę, wyrznął piratów w pień i przejął kontrolę nad Gniazdem.

Zachodzące słońce zabarwiło niebo pomarańczem i purpurą, sprawiając, że wysepka wyglądała jeszcze bardziej ponuro niż zwykle, gdy z zawietrznej nadleciały „Tymczasowe Zawirowania”. Opancerzone działa osady obróciły się jak stalowe głowy robotów,

celując do starego pękatego sterowca. Statek obniżył lot, kierując się do głównego hangaru. Eskortujące go Lisie Duchy kręciły się wokół niego jak pasterskie psy naganiające do zagrody zbłąkaną owcę.

– Co za straszna nora! – poskarżyła się jedna z żon Widgery’ego Blinkoe’a, wyglądając przez okno gondoli.

– Mówiłeś, że informacja o kursie tego starego sterowca przyniesie nam szczęście i bogactwo – zawtórowała druga. – Powiedziałeś, że będziemy się opalać w morskim kurorcie, a nie błąkać się po jakiejś cholernej prowincji!

– Obiecałeś nowe suknie i niewolników!

– Cisza, niewdzięcznice! – wykrzyknął Blinkoe, próbując skoncentrować się na sterach, gdy obsługa naziemna, machając kolorowymi chorągiewkami, kierowała go do hangaru. – Okażcie odrobinę szacunku! To baza Zielonej Burzy! Zaproszenie tutaj to zaszczyt, świadectwo, że cenią moje usługi!

Jednak tak naprawdę Blinkoe był równie rozczarowany wezwaniem do Gniazda Szerszeni, co jego żony. Po tym, jak przekazał przez radio kurs „Jenny Haniver”, oczekiwał raczej podziękowania i szczodrej zapłaty. Zupełnie nie było mu do śmiechu, gdy zaraz po wylocie z Airhaven opadła go zgraja Lisich Duchów, która odeskortowała go aż tutaj.

– Czyżby?! – jęknęły małżonki.

– Szkoda, że Zielona Burza nie ma dla niego tyle szacunku, ile on dla niej!

– Rzeczywiście cenią jego usługi!

– Pomyśleć tylko, ile okazji handlowych przeszło nam koło nosa podczas lotu na ten koniec świata!

– Matka ostrzegła mnie, żebym za niego nie wychodziła.

- Moja też!
- I moja!
- Biedny Widgery wie, że coś tu nie gra! Patrzcie, jaką ma kwaśną minę!

Pan Blinkoe wciąż wyglądał na zirytowanego, kiedy wysiadał z „Tymczasowych Zawirowań”, ale jego wargi wygięły się w przymilnym uśmiechu, gdy tylko ujrzał młodą panią kapitan, która podbiegła, aby mu zaszalutować. Widgery Blinkoe miał słabość do kobiet i mimo że ożenił się już z pięcioma, które okazały się dość złośliwe i uparte, zaczął marzyć, by poprosić panią kapitan o rękę.

- Pan Blinkoe? - zapytała. - Witam w Bazie.

- Myślałem, że to Gniazdo Szerszeni, moja droga.

- Komandor woli, żebyśmy nazywali je Bazą.

- Aha.

- Mam rozkaz zaprowadzić pana do niej.

- Do niej? Nie wiedziałem, że w Zielonej Burzy jest tyle kobiet.

Z twarzy pani kapitan natychmiast wyparował uśmiech.

- Żołnierze Zielonej Burzy uważają, że zarówno kobiety, jak i mężczyźni muszą wziąć udział w wojnie przeciwko barbarzyńskim mobilistom, żeby ziemia znów porosła lasami.

- Och, oczywiście, oczywiście - rzekł czym prędzej Blinkoe. - Zgadzam się w całej rozciągłości... - Nie lubił takich poglądów. Wojna fatalnie wpływała na interesy. Jednak ostatnie dwa lata okazały się dla Ligi Antymobilistów niezwykle ciężkie. Londyn o mało nie sforsował fortecy Batmunkh Gompa, a jego agenci wysadzili w powietrze całą Północną Flotę. To z kolei oznaczało, że kiedy ostatniej zimy Archangielsk zaatakował statyczne miasto na

Spitsbergenie, Liga nie mogła wysłać na odsiecz żadnych statków. Wydawało się naturalne, że niektórzy młodzi oficerowie Ligi stracili cierpliwość i domagali się krwawej zemsty. Należało mieć tylko nadzieję, że ich plany spalą na panewce.

Idąc za panią kapitan, Blinkoe starał się ocenić siłę bazy. Zauważył kilka dobrze uzbrojonych Lisich Duchów oraz mnóstwo żołnierzy w białych mundurach i spiżowych hełmach. Każdy z nich nosił na ramieniu opaskę ze znakiem Zielonej Burzy. Mocna ochrona, pomyślał, przyglądając się ich karabinom maszynowym. Ale dlaczego? Co wymagało tych wszystkich środków ostrożności, i to tutaj, na końcu świata? Obok przemaszerował oddział wojska transportujący duże metalowe skrzynie z nalepkami „Krucze” i „Ściśle tajne”.

– Ostrożnie! Nie potrząsajcie! To wrażliwe instrumenty! – upominał żołnierzy drobny, łysy mężczyzna w przezroczystym foliowym płaszczu narzuconym na mundur. Poczawszy na sobie wzrok Blinkoe’a, odwrócił się w jego stronę. Na jego czole, tuż nad brwiami, widniał nieduży tatuaż w kształcie czerwonego koła.

– Co tutaj robicie? – zapytał Blinkoe, idąc krętym wilgotnym korytarzem wykutym w litej skale.

– To tajne – odparła dziewczyna.

– Komu jak komu, ale mnie na pewno może pani powiedzieć...

Pani kapitan potrząsnęła głową. Opryskliwa służbistka, pomyślał Blinkoe, nie nadaje się na żonę. Zaczął się przyglądać plakatom przyklepionym do ścian. Przedstawiały sterowce Ligi bombardujące ruchome miasta. Pod spodem widniały przepelnione nienawiścią hasła wzywające do zniszczenia wszystkich mobilistów. Oprócz tego przy rozwidleniach korytarza wisiały tabliczki wskazujące drogę do

kwater, baraków, platform artyleryjskich i do laboratorium. To też wydawało się dziwne. Liga zawsze odnosiła się do nauki z rezerwą. Wśród jej członków panowało przekonanie, że każde urządzenie bardziej skomplikowane od sterowca i karabinu to wymysł barbarzyńców, od którego najlepiej trzymać się z daleka. Wyglądało na to, że Zielona Burza zapatruje się na to inaczej.

Blinkoe poczuł się odrobinę niepewnie.

Gabinet pani komandor mieścił się w jednym ze starych budynków na szczycie góry. Kiedyś mieszkał tam Czerwony Loki, a ściany były udekorowane frywolnymi malowidłami, które pani komandor kazała zamalować. Jednak warstwa białej farby okazała się zbyt cienka i zaczęły przez nią przebijać portrety piratów – niczym duchy patrzące z wyrzutem na nowych mieszkańców Gniazda Szerszeni. W naprzeciwległej ścianie znajdowało się okrągłe okienko z widokiem na szare niebo.

– Pan Blinkoe? Witam w Bazie.

Pani komandor okazała się bardzo młoda. Blinkoe miał nadzieję, że będzie ładna, ale doprowadzono go przed oblicze ponurej, pozbawionej taktu dziewczuchy o ostrzyżonych na jeża ciemnych włosach i śniadej cerze.

– To pan jest agentem, który zobaczył „Jenny Haniver” w Airhaven? – zapytała. Bez przerwy zaciskała i rozprostowywała palce. A sposób, w jaki patrzyła tymi wielkimi ciemnymi oczami! Blinkoe zaczął podejrzewać, że jest lekko stuknięta.

– Tak, proszę pani – odparł nerwowym głosem.

– I jest pan pewien, że to „Jenny Haniver”? Nie nastąpiła pomyłka? Nie zmyślił pan tej historyjki, żeby dobrać się do pieniędzy Zielonej

Burzy?

– Nie, nie! – zapewnił pośpiesznie Blinky. – Na bogów, skądże znowu?! To był naprawdę statek Anny Fang, klnę się na wszystkie świętości!

Pani komandor odwróciła się od niego i podeszła do okna, spoglądając na niebo przez pokrytą nalotem soli szybę. Po chwili rzekła:

– Wysłaliśmy oddział Lisich Duchów na spotkanie z „Jenny”. Żaden nie powrócił.

Widgery Blinky nie wiedział, co odpowiedzieć.

– O bogowie! – wyjąkał w końcu.

Znow odwróciła się w jego stronę, ale nie potrafił dostrzec wyrazu jej twarzy. Widział tylko ciemną postać na tle jasnego nieba w oknie.

– Dwoje szpiegów, którzy ukradli „Jenny Haniver” z Batmunkh Gompa, mogło wyglądać jak para niegroźnych wędrowców, ale tak naprawdę byli świetnie wyszkolonymi agentami Londynu. Bez wątplenia użyli swych umiejętności i zniszczyli nasze Lisie Duchy, a potem uciekli na północ.

– Całkiem możliwe, pani komandor – zgodził się Widgery Blinky, choć uważał to za zupełnie nieprawdopodobne.

Podeszła do niego – niska, szczupła dziewczyna świdrująca go wzrokiem.

– Mamy wiele Lisich Duchów. Wielu dowódców Ligi jest po naszej stronie i nie brakuje nam żołnierzy. Brak nam jednak siatki wywiadowczej. Właśnie dlatego jest pan nam potrzebny, panie Blinky. Chcę, żeby odszukał pan dla mnie ten statek. Niech pan wraca do Archangielska i zacznie zbierać informacje. Niech mi pan znajdzie „Jenny Haniver” i barbarzyńców, którzy ją pilotują.

– To... może... tak zrobię – rzekł posłusznie Blinkoe.

– Dobrze zapłacimy za pańskie usługi.

– Jak dobrze? Nie jestem pazerny, ale mam pięć żon na utrzymaniu...

– Dziesięć tysięcy, kiedy dostarczy pan tutaj statek.

– Dziesięć tys...

– Zielona Burza wysoko ceni swoich sprzymierzeńców – zapewniła pani komandor. – Ale też mści się surowo na zdrajcach. Jeśli piśnie pan komukolwiek choć słówko o tym, co pan tu widział i słyszał, odszukamy pana i zabijemy. Rozumiemy się?

– Tak – pisnął Blinkoe, obracając w dłoniach swój beret. – Aaa... mogę zapytać dlaczego? To znaczy, dlaczego ten sterowiec jest tak ważny? Wiem, że ma wartość symboliczną, ale nie wydaje się wart...

– Jest wart dokładnie tyle, ile zamierzam panu za niego zapłacić. – Na jej twarzy po raz pierwszy zagościł uśmiech. Zimny, wymuszony i pełen bólu. W ten sposób wdowa dziękuje dalekiemu krewnemu, że przyjechał na pogrzeb jej męża. – „Jenny Haniver” oraz barbarzyńcy, którzy ją ukradli, są niezbędni w mojej pracy – oświadczyła. – To wszystko, co musi pan wiedzieć. Niech pan ją znajdzie i dostarczy do Bazy, panie Blinkoe.

10. Komnata Cudów

W całym Anchorage nie ostał się żaden lekarz. Najlepszą pielęgniarką, jaką udało się znaleźć dla profesora Pennyroyala, była Windolene Pye z Rady Nawigacyjnej, która przeszła kiedyś kurs pierwszej pomocy. Siedziała teraz przy łóżku historyka w pełnym przepychu pokoju gościnnym Pałacu Zimowego i trzymała kościstymi palcami jego nadgarstek, mierząc puls.

– Wydaje mi się, że po prostu zemdlął – oświadczyła. – Pewnie z wycieńczenia albo wskutek szoku po ostatnich przejściach.

– To dlaczego nam nic nie jest? – zapytała prowokacyjnie Hester. – Też sporo ostatnio przeżyliśmy, ale nie mdlejemy z byle powodu jak stare panny.

Windolene Pye, która sama była starą panną, posłała Hester surowe spojrzenie.

– Uważam, że powinniście zostawić pana profesora w spokoju. Biedak potrzebuje ciszy i całodobowej opieki. Uciekajcie stąd, wszyscy...

Hester, Tom i Smew wyszli na korytarz, a panna Pye stanowczym ruchem zamknęła za nimi drzwi.

– To pewnie skutek zaskoczenia – stwierdził Tom. – Profesor spędził

wiele lat na poszukiwaniu kogoś, kto sfinansowałby jego drugą ekspedycję do Ameryki, aż tu nagle dowiedział się, że margrabina zabiera tam całe miasto...

– To niemożliwe! – prychnęła Hester. – To wariactwo!

– Panno Shaw! – oburzył się Smew. – Jak może pani mówić takie rzeczy? Margrabina jest naszą władczynią i przedstawicielką Bogów Lodu na ziemi. Jej przodkini, Dolly Rasmussen, wyprowadziła lud pierwszego Anchorage z Ameryki, ratując go od pewnej śmierci. To naturalne, że dziewczyna z rodu Rasmussenów poprowadzi nas z powrotem do domu.

– Nie rozumiem, dlaczego jej bronisz – odparowała Hester. – Ta smarkula traktuje cię jak śmiecia. Poza tym chyba nie myślisz, że nabierzesz kogokolwiek na te swoje przebieranki. Wiemy, że to wciąż ty.

– Nie próbuję nikogo nabrać – odrzekł Smew z godnością. – Margrabina musi mieć do dyspozycji wielu służących: szoferów, szambelanów, lokajów, szefów kuchni i tak dalej. Niestety, wszyscy umarli. Musiałem więc zająć ich miejsce. Robię to, żeby podtrzymać tradycję.

– A kim byłeś przedtem? Szoferem czy szambelanem?

– Ani jednym, ani drugim. Byłem nadwornym karłem.

– Po co margrabinie karzeł?

– Na dworze margrabiny zawsze był karzeł. Żeby ją rozśmieszać.

– Czym?

Smew wzruszył ramionami.

– Swoim wzrostem, jak mi się zdaje.

– I to ma być śmieszne?

– Taka jest tradycja, panno Shaw. Jesteśmy z niej dumni, a poza tym

to jedyna rzecz, jakiej zaraza nie zdołała nam odebrać. Proszę, to wasze pokoje.

Otworzył drzwi dwóch komnat mieszczących się w głębi korytarza, niedaleko apartamentu Pennyroyala. Każda miała duże okna, wielkie łoże i rozmiary całej gondoli „Jenny Haniver”.

– Wspaniale – powiedział Tom z wdzięcznością. – Ale wystarczy nam jeden pokój.

– Wykluczone – odparł Smew, wchodząc do jednej z sypialni, żeby wyregulować ogrzewanie. – To nie do pomyślenia, żeby dwie niezamężne osoby odmiennej płci dzieliły w Pałacu Zimowym ten sam pokój. Cóż by to było za zgorzenie. Zupełnie wykluczone. – Na moment jego uwagę odwrócił cichy chrobot, który dobiegł z rury grzewczej. Po chwili spojrział jednak na Toma i puścił oko. – Ale między komnatami są drzwi. Gdyby ktoś zechciał przez nie przejść, no cóż... nikt by się o tym nie dowiedział...

Ktoś jednak wiedział niemal o wszystkim, co działo się w Anchorage. W słabym niebieskim świetle trzy pary oczu wpatrywały się w ziarnisty, zniekształcony szerokokątnym obiektywem obraz Toma i Hester idących za karłem do drugiej komnaty.

– Ale brzydka!

– Nie wygląda na zadowoloną.

– Nic dziwnego, z taką twarzą...

– Nie, to co innego. Jest zazdrosna. Nie widziałeś, w jaki sposób Freya patrzyła na jej chłopaka?

– Znudzi mi już. Skoczmy na inny kanał.

Obraz na ekranie zmieniał się momentalnie. Pokazał pokój w domu

Aakiuqów, samotnego Scabiousa, pracę w maszynowni, a w końcu dzielnicę rolniczą...

– Nie powinniśmy zawiadomić Aakiuqów? – zapytał Tom, gdy Smew wyregulował ogrzewanie w drugim pokoju i ruszył do drzwi. – Mogą na nas czekać.

– Już to zrobiłem, sir – odparł Smew. – Teraz jesteście gośćmi Jej Promienistości margrabiny.

– Założę się, że Scabious nie będzie z tego zadowolony – zauważyła Hester. – Raczej nas nie lubi.

– Pan Scabious to ponurak i pesymista, choć to nie jego wina – wyjaśnił Smew. – Jest wdowcem, a jego jedyny syn zmarł podczas zarazy. Pan Scabious bardzo źle znosi tę stratę. Ale nie może powstrzymać margrabiny przed udzieleniem wam gościny. Oboje jesteście tu mile widziani. Gdybyście czegoś potrzebowali, wystarczy zadzwonić po służbę... to znaczy po mnie. Kolacja będzie o siódmej, ale przyjdźcie trochę wcześniej. Margrabina pragnie pokazać wam swoją Komnatę Cudów.

Co takiego? – pomyślała Hester, ale nie chciała znowu wyjść na niewykształconą idiotkę w obecności Toma, więc milczała. Kiedy Smew odszedł, otworzyli drzwi łączące oba pokoje i usiedli na łóżku Toma, podskakując na materacu, żeby wypróbować sprężyny.

– Ameryka! – powiedział Tom. – Pomyśl tylko! Freya Rasmussen jest niezwykle odważna. Prawie żadne miasto nie zapuszcza się na tereny leżące na zachód od Grenlandii i ani jedno nie śmiało jeszcze dotrzeć do martwego kontynentu.

– Zapewne właśnie dlatego, że jest martwy – zauważyła Hester kwaśno. – Nie narażałabym całego miasta tylko dlatego, że

wyczytałam coś w książce Pennyroyala.

– Profesor Pennyroyal wie, o czym mówi – odparł Tom. – Poza tym nie tylko on pisze o odkryciu zielonej krainy w Ameryce.

– Masz na myśli te wszystkie legendy lotników?

– No tak. I mapę Snøriego Ulvaeussona.

– Tę, o której mi opowiadałeś? Tę, która dziwnym zbiegiem okoliczności zniknęła, nim ktokolwiek zdołał ją obejrzeć?

– Myślisz, że profesor kłamie? – spytał Tom.

Hester potrząsnęła głową. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Trudno było jej uwierzyć w historię o dziewiczych kniejach i szlachetnych dzikusach, jaką uraczył ich Pennyroyal. Lecz jak mogła powątpiewać w jego opowieści? Pennyroyal był sławnym podróżnikiem i odkrywcą, który napisał wiele książek, a ona nie przeczytała w swoim życiu ani jednej. Tom i Freya mu zaufali, a wiedzieli o tych sprawach znacznie więcej od niej. Mimo to nie umiała wyobrazić sobie tego strachliwego człowieczka, który trząsł portkami za każdym razem, gdy koło „Jenny Haniver” wybuchała rakietą, w roli dzielnego odkrywcy, który walczył z niedźwiedziami i zaprzyjaźnił się z dzikimi Amerykanami.

– Jutro odwiedzę Aakiuqa – powiedziała. – Zobaczę, czy nie da się przyspieszyć naprawy „Jenny”.

Tom pokiwał głową, ale nie patrzył jej w oczy.

– Podoba mi się tutaj – przyznał. – Miasto jest takie ładne. Przypomina mi eleganckie dzielnice Londynu. I nie pożera innych osad.

Hester przeszył dreszcz strachu. Czują, jak między nią a Tomem otwiera się przepaść, jakby stali po dwóch stronach pękającej lodowej kry.

– To tylko jeszcze jedno ruchome miasto. Kupcy czy drapieżcy, co to za różnica? Na górze jest miło i cywilizowanie, ale założę się, że na dolnym pokładzie panuje brud i ubóstwo, a w maszynowni zmusza się do pracy wygłodzonych niewolników. Im szybciej stąd odlecimy, tym lepiej.

O szóstej wrócił Smew, który zaprowadził ich szerokimi krętymi schodami do salonu, w którym czekała Freya Rasmussen.

Margrabina wyglądała, jakby podjęła próbę ułożenia na głowie finezyjnej fryzury, a potem się rozmyśliła. Spojrzała na gości spod za długiej grzywki i oświadczyła:

– Obawiam się, że profesor Pennyroyal wciąż niedomaga. Jestem jednak przekonana, że wkrótce powróci do zdrowia. Bogowie Lodu nie zesłaliby go do Anchorage tylko po to, by tu umarł, prawda? To by było niesprawiedliwe. Ale ciebie, Tom, jako historyka też na pewno zainteresuje moja Komnata Cudów.

– No dobrze, co to jest Komnata Cudów? – zapytała Hester, mając dość lekceważenia ze strony tej rozpieszczonej nastolatki.

– To moje prywatne muzeum – odparła Freya. Kichnęła i odczekała chwilę, spodziewając się, że służka wytrze jej nos. Przypomniała sobie jednak, że służba nie żyje, i otarła nos rękawem. – Uwielbiam historię, Tom. Przepadam za antykami wykopanymi z ziemi. Choć to jedynie zwyczajne sprzęty używane przez zwykłych ludzi, upływ czasu sprawił, że są wyjątkowe. – Tom pokiwał żarliwie głową i Freya roześmiała się, wyczuwszy w nim pokrewną duszę. – Kiedy byłam mała, wcale nie chciałam zostać margrabiną. Marzyłam, że będę historykiem tak jak ty i profesor Pennyroyal. Więc założyłam własne muzeum. Chodź i sam zobacz.

Smew ruszył przodem, pokazując drogę, a szczęśliwa margrabina nie przestawała mówić, gdy kluczyli kolejnymi korytarzami, minęli wielką salę balową z pokrytymi kurzem żyrandolami i wyszli na przeszklony krużganek. W mroku na zewnątrz paliły się latarnie, oświetlając wirujące płatki śniegu i zamarznąłą fontannę. Hester wetknęła dłonie do kieszeni i zwinęła je w pięści, krocząc tuż za Tomem. Nie dość, że jest ładna, pomyślała, to jeszcze przeczytała te same książki co on i zna się na historii. A na dobitkę mimo że jej poddanych zdziesiątkowała zaraza, uważa, że bogowie są sprawiedliwi. Zupełnie jak Tom. Jak niby mam z nią konkurować?

W końcu zatrzymali się w holu, przed drzwiami bronionymi przez dwóch Łowców. Rozpoznawszy ich kanciaste sylwetki, Tom cofnął się o krok i o mało nie krzyknął z przerażenia. Niegdyś jeden ze starożytnych cyborgów wojennych ścigał Hester i jego po Terenie Polowań. Wtedy Smew zapalił argonową lampę i Tom przekonał się, że to tylko niedziałające, zardzewiałe szkielety wykopane spod lodu i stojące przed wejściem do muzeum Freyi Rasmussen jako dekoracja. Zerknął na Hester, żeby zobaczyć, czy też się przestraszyła. Dziewczyna patrzyła w drugą stronę i zanim udało mu się zwrócić jej uwagę, Smew otworzył zamek u drzwi. Margrabina wprowadziła ich do Komnaty Cudów.

Przestępując przez próg ciemnego, zakurzonego pomieszczenia, Tom miał dziwne uczucie, jakby wrócił do domu. Co prawda pokój wyglądał raczej jak wnętrze sklepu ze starzyzną niż jak sala wystawowa Muzeum Londyńskiego, ale zgromadzono w nim wiele skarbów. Od czasów wojny sześćdziesięciminutowej Lodowe Pustkowie doświadczyły powstania i upadku co najmniej dwóch cywilizacji, a Freya miała w swojej kolekcji wiele ważnych

eksponatów z obu z nich. Był tu model Anchorage jako statycznej osady, na półkach stały wazy należące do kultury błękitnego metalu, a na ścianach wisiały zdjęcia kręgów lodowych – dziwnego i tajemniczego fenomenu spotykanego czasami w Lodowych Pustkowiach.

Przechadzając się jak we śnie między zakurzonymi gablotami, Tom nie zauważył nawet, że Hester czuje się nieswojo.

– Patrz! – wołał raz po raz, spoglądając na nią przez ramię. – Patrz, Hester!

A ona rozglądała się i widziała jedynie rzeczy, których z powodu braku wykształcenia nie mogła zrozumieć, i swoją szpetną twarz odbijającą się od szklanych gablotek. Widziała, jak Tom oddala się od niej, jak wykrzykuje coś z zachwytem, stojąc przy starej obtłuczonej rzeźbie z kamienia, i o mało serce nie pękło jej z żalu.

W głębi sali za grubą szybą wisiał jeden z ulubionych skarbów Freyi. Był to niemal nieuszkodzony kawałek cienkiego srebrzystego metalu, jaki czasami wykopywano w różnych miejscach na świecie, a który starożytni nazywali folią aluminiową. Margrabina stanęła obok Toma przed eksponatem i wpatrywała się z radością w odbijające się w lekko pomarszczonym metalu twarze.

– Starożytni posiadali tak wiele rzeczy – zauważyła z nieskrywanym entuzjazmem.

– To niesamowite, prawda, Wasza Promienistość? – przyznał Tom półgłosem, bo zabytek był tak stary i drogocenny, że wydawał się niemal święty, niczym dar zesłany przez boginię historii. – I pomyśleć, że kiedyś ludzie byli tak bogaci, że pozwalali sobie na wyrzucanie takich wspaniałych przedmiotów! Nawet najbiedniejsi żyli wtedy jak burmistrzowie.

Podeszli do następnej gablotki. Spoczywała w niej kolekcja dziwnych okrągłych blaszek, które często znajdowano w starożytnych śmietniskach. Niektóre wciąż miały doczepiony kawałek metalu w kształcie łyżki, z okrągłą dziurą w środku i napisem Pull.

– Profesor Pennyroyal odrzuca hipotezę, że te przedmioty wyrzucano – powiedziała Freya. – Twierdzi natomiast, że tereny wykopalisk, nazywane przez współczesnych archeologów śmietniskami, były tak naprawdę ośrodkami kultu religijnego, gdzie starożytni składali cenne podarki Bóstwom Konsumpcji. Czytałeś książkę, którą o tym napisał? Nosi tytuł *Śmiecie? Jak śmiecie!* Mogę ci ją pożyczyć.

– Dziękuję – odparł Tom.

– Dziękuję, Wasza Promienistość – poprawiła go Freya, ale uśmiechnęła się przy tym tak uroczo, że trudno było czuć do niej urazę. – Oczywiście – podjęła margrabina, przesuwając palcem po warstewce brudu, jaki zebrał się na szybie – moje muzeum potrzebuje dobrego kustosa. Ten, którego miałam, umarł w czasie zarazy albo uciekł, już zapomniałam. Teraz wszystko się kurzy, a niektóre eksponaty są wykradane. Zniknęła starożytna biżuteria i parę części starej technologii, chociaż nie potrafię sobie wyobrazić, kto mógł je zabrać ani jak się tu włamał. Ale kiedy dotrzemy do Ameryki, dobrze by było pamiętać o przeszłości. – Spojrzała na niego z uśmiechem. – Mógłbyś z nami zostać, Tom. Mojemu małemu muzeum przydałby się kustosz z porządnym londyńskim wykształceniem. Mógłbyś powiększyć zbiory, otworzyć je dla obywateli. Moglibyśmy nazwać je Instytutem Rasmussenów...

Tom wdychał głęboko powietrze przesiąknięte zapachem kurzu, pasty do podłóg i zjadanych przez mole wypchanych zwierząt. Kiedy

był czeladnikiem Cechu Historyków, marzył o ucieczce i przygodach. Teraz jednak całe jego życie stało się przygodą, a myśl o pracy w muzeum wydała mu się dziwnie kusząca. Obejrzał się przez ramię i zobaczył Hester. Chudą, samotną postać na wpół ukrytą w cieniu koło drzwi, zasłaniającą twarz czerwoną chustą. Po raz pierwszy zaczęła go irytować. Gdyby tylko była ładniejsza, bardziej towarzyska!

– Przykro mi – powiedział – ale Hester źle by się tutaj czuła. Jedynie w powietrzu jest szczęśliwa.

Freya spiorunowała dziewczynę wzrokiem. Nie była przyzwyczajona do odmowy ze strony ludzi, którym zaoferowała ważne stanowisko. Ten młody przystojny historyk zaczynał jej się podobać. Zastanawiała się nawet, czy Bogowie Lodu nie zesłali go po to, żeby wynagrodzić jej brak odpowiednich chłopców na pokładzie Anchorage. Tylko czemu, do cholery, uznali za stosowne sprowadzić również Hester Shaw? Ta dziewczucha była nie tylko brzydka, ale wręcz ohydna, a do tego stała między nią a Tomem jak demon strzegący zaczarowanego księcia.

– No cóż – powiedziała, próbując nie dać po sobie poznać rozczarowania. – Przypuszczam, że naprawa waszego statku zajmie panu Aakiuqowi parę tygodni. Będziesz miał mnóstwo czasu do zastanowienia. – I mnóstwo czasu, dodała w myślach, żeby rzucić tę szkaradną dziewczuchę.

11. Niespokojne duchy

Tom spał tamtej nocy smacznie i śnił o muzeach. Leżąca obok Hester ledwie zmrużyła oko. Łóżko było tak wielkie, że właściwie mogła zostać w drugim pokoju. Najbardziej lubiła spać z Tomem na wąskiej pryczy w gondoli „Jenny Haniver”, z twarzą w jego czuprynie, przytulona do jego pleców, czując, że ich ciała pasują do siebie jak fragmenty tej samej układanki. Na szerokim, miękkim materacu pogrążony we śnie Tom odsuwał się, zostawiając ją samotną w splątanej pościeli. W pokoju było zbyt gorąco, suche powietrze drażniło jej nozdrza, a z biegnących pod sufitem rur dochodziło metaliczne chrobotanie – cichy, okropny dźwięk, jakby w ścianach buszowały szczury.

W końcu włożyła płaszcz oraz buty i wyszła z pałacu na przeszywający mróz nocnych ulic. Kręte schodki zaprowadziły ją na dół do odgródzonej komorą ciepłą maszynowni, gdzie rozbrzmiewało jednostajne dudnienie silników, a w mroku między słupami podtrzymującymi pokład stały pękate bojłery i cysterny z paliwem. Ruszyła w kierunku rufy, mówiąc sobie w duchu: No dobra, zobaczmy, jak mała Królowa Śniegu traktuje swoich robotników. Już cieszyła się na myśl, że wyleczy Toma ze złudzeń.

Przy śniadaniu zaszokuje go sprawozdaniem z warunków panujących na dolnym pokładzie i wybiję mu z głowy pomysł pozostania w mieście.

Przeszła przez żelazny mostek zawieszony między olbrzymimi, obracającymi się ze zgrzytem kołami zębatymi. Ruszyła w głąb długiego korytarza prowadzącego do serca maszynowni, gdzie wielkie tłoki podnosiły się i opadały, napędzane połączonymi ze sobą starożytnymi silnikami, jakich nigdy wcześniej nie widziała. Były to opancerzone kule, które mruczały i piszczały, emitując promienie fioletowego światła. Wokół kręcili się mężczyźni i kobiety noszący skrzynki z narzędziami lub sterujący wielkimi wieloramiennymi maszynami. Nie wyglądali jednak jak zakuci w łańcuchy niewolnicy poganiani przez surowych nadzorców z batami w dłoniach. Z plakatów wiszących na ścianach spoglądała łagodna twarz Freyi Rasmussen, a robotnicy z szacunkiem kłaniali się, ilekroć przechodzili obok jednego z jej wizerunków.

Może Tom miał rację, pomyślała Hester, obchodząc dookoła halę. Może Anchorage naprawdę było tak cywilizowane i pokojowe, jak się wydawało. Tom pewnie byłby tu szczęśliwy. Niewykluczone, że miasto dotrze jednak do Ameryki, a on zostałby na pokładzie jako kustosz muzeum i uczył dzikie plemiona o świecie ich odległych przodków. Mógłby zatrzymać „Jenny Haniver” jako prywatny powietrzny jacht i w wolnych chwilach wylatywać na poszukiwania starej technologii do kolekcji...

Ale nie będzie cię wtedy potrzebował, prawda? – pomyślała z goryczą. A co ty zrobisz bez niego?

Próbowała wyobrazić sobie własne życie bez Toma, lecz nie potrafiła. Zawsze zdawała sobie sprawę z tego, że ich związek nie

będzie trwał wiecznie, jednak teraz, gdy koniec wydawał się już blisko, chciała krzyknąć: Chcę więcej! Daj mi jeszcze chociaż rok szczęścia...

Otarła łzy, które napłynęły jej do oczu, i ruszyła dalej, czując powiew zimnego, świeżego powietrza docierający zza olbrzymiej ciepłowni. Dudnienie dziwnych silników ucichło za jej plecami. Teraz słyszała przed sobą monotony świst, który stawał się coraz głośniejszy, w miarę jak zbliżała się do rufy. Po kilku minutach weszła na obudowany mostek, który biegł przez całą długość miasta. Za żelaznymi kratami, w świetle zorzy polarnej lśniło obracające się bez przerwy wielkie koło napędowe Anchorage.

Hester zbliżyła się, przycisnęła twarz do zimnej kraty i wyjrzała na zewnątrz. Koło było wypolerowane jak lustro, w kaskadzie odbić własnej twarzy widziała metalowe kolce unoszące się i opadające bez końca. W powietrze pryskały krople zimnej wody, a o kratę obijały się kawałki rozkruszonego lodu. Niektóre z nich były bardzo duże. Parę metrów dalej spojenie kraty z pomostem puściło i gruba metalowa siatka odginała się do wewnątrz za każdym razem, gdy uderzały w nią lodowe bryły.

Dziewczyna podeszła bliżej. Jakże łatwo byłoby przedostać się przez powstałą dziurę! Spadłaby na ziemię, a koło zmiażdżyłoby jej ciało, pozostawiając na lodzie czerwoną plamę. Czy to nie byłoby lepsze od przyglądania się, jak Tom oddala się od niej? Czy nie byłoby lepiej umrzeć, niż znosić znowu ponurą samotność?

Wyciągnęła rękę, żeby odgiąć kratę, ale nagle ktoś chwycił ją za ramię, krzycząc do ucha:

– Axel?!

Obróciła się, sięgając po nóż. Za jej plecami stał Søren Scabious. Jego

szkliste oczy zdawały się lśnić nadzieją, lecz gdy tylko ją rozpoznał, jego twarz znów przybrała wyraz apatycznego przygnębienia.

– Panna Shaw – jęknął głucho. – W ciemności wydawało mi się, że jesteś...

Hester cofnęła się, instynktownie zasłaniając twarz. Zastanawiała się, jak długo ją obserwował.

– Co pan tu robi? – zapytała. – Czego pan chce?

Inżynier wybuchł nagle gniewem maskującym zawstydzenie.

– Mógłbym zadać to samo pytanie! Przyszłaś szpiegować w maszynowni, prawda? Mam nadzieję, że dobrze się wszystkiemu przyjrzałaś.

– Nie interesują mnie pańskie silniki – powiedziała Hester.

– Nie? – Scabious chwycił ją za nadgarstek. – Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Kule Scabiousów to owoc pracy dwudziestu pokoleń mojej rodziny. Są jednym z najbardziej wydajnych systemów napędowych na świecie. Założę się, że opowiesz o nich Archangielskowi albo Ragnaroll, żeby wzmóc ich apetyt i wytargować lepszą zapłatę.

– Niech pan nie będzie głupi – oburzyła się Hester. – Nigdy nie przyjąłabym złota od drapieżcy! – Nagła myśl uderzyła ją niczym zimne kawałki lodu obijające się o kratę za jej plecami. – Kto to jest Axel? Czy to nie pański syn? Ten, o którym opowiadał nam Smew? Ten, który umarł? Myślał pan, że jestem duchem?

Scabious puścił jej rękę. Złość zgasła w nim jak zdmuchnięty płomyk świecy. Jego oczy powędrowały w stronę koła napędowego, a potem ku światłom zorzy. Wyraźnie unikał jej spojrzenia.

– Jego duch wędruje po mieście – wymamrotał.

Hester parsknęła śmiechem, ale szybko spoważniała, uświadomiwszy sobie, że Scabious nie żartuje. Zerknął na nią

przelotnie, a potem znowu odwrócił wzrok. Jego twarz, oświetlona migoczącym blaskiem zorzy, złagodniała.

– Śnieżni nomadzi wierzą, że dusze zmarłych zamieszkują polarną zorzę, panno Shaw. Podobno w takie noce jak ta duchy zstępują na ziemię, żeby odwiedzić znajome kąty.

Hester nie odpowiedziała, tylko spuściła głowę, czując się niezręcznie w zetknięciu z szaleństwem i cierpieniem starca.

– Nikt nie wraca z krainy umarłych, panie Scabious – odezwała się w końcu niepewnie.

– Ależ wracają, panno Shaw – odparł, kiwając z przekonaniem głową. – Od kiedy ruszyliśmy do Ameryki, dzieją się tu nadprzyrodzone rzeczy. Dziwne ruchy i postacie. Ludzie słyszą kroki i głosy dochodzące z dzielnic, które zostały opuszczone i zaplombowane w czasie zarazy. Dlatego przychodzę tutaj, ilekroć pozwalają na to moje obowiązki. Do tej pory widziałem go już dwa razy – jasnowłosego chłopca obserwującego mnie z cienia i znikającego, kiedy próbuję się zbliżyć. W mieście nie ma chłopców o blond włosach. Wiem, że to Axel, po prostu wiem.

Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w rozjaśnione niebo, a potem odwrócił się i odszedł. Hester odprowadziła go wzrokiem, aż jego wysoka czarna postać rozplynęła się w mroku. Patrzyła na niego i zastanawiała się, czy Scabious naprawdę wierzy, że Anchorage dotrze do Ameryki? Czy w ogóle go to obchodzi? A może po prostu przystał na zwariowany pomysł margrabiny, bo miał nadzieję, że gdzieś w głębi Lodowych Pustkowi czeka na niego duch syna?

Przeszedł ją dreszcz. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak zimno było na rufie miasta. Mimo że Scabious odszedł, wciąż miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Poczula ciarki pod włosami na karku.

Spojrzała w stronę wejścia na pomost i zobaczyła – a może tylko jej się tak wydawało – bladą twarz okoloną jasną czupryną, która zniknęła w ciemności tak nagle, jak się pojawiła.

Nikt nie wraca z krainy umarłych – Hester była o tym przekonana – ale nagle w jej głowie ożyły wszystkie opowieści o duchach, jakie słyszała. Odwróciła się i popędziła w stronę ludnych ulic, uciekając przed złowrogim mrokiem, w którym czaiły się widma.

Za jej plecami, w kłębowisku rur i przewodów wiszących pod górnym pokładem rozległ się metaliczny stukot.

12. Nieproszeni goście

Pan Scabious miał częściowo rację. Miasto rzeczywiście było nawiedzone, chociaż nie przez takie duchy, o jakich myślał.

Wszystko zaczęło się miesiąc wcześniej, ale nie w Anchorage, tylko w Grimsby – bardzo dziwnym i tajemniczym miejscu. Zaczęło się od cichego dźwięku. Głuchego odgłosu, jakby ktoś puknął palcem w nadmuchany balonik. Od szumu głośnika i chrzęstu włączanego mikrofonu. Pudełko wiszące pod sufitem przemówiło do Caula.

– Wstawaj, chłopcze. Obudź się. Tu Wujek. Mam dla ciebie robotę.

Caul ocknął się, uświadamiając sobie nagle, że to nie sen. Zwlókł się z pryczy i stanął na baczność. Jego pokój był niewiele większy od pakamery, a oprócz wąskiego łóżka i wszechobecnej wilgoci znajdowała się w nim tylko kamera i mikrofon zamontowany pod sufitem. Oczy i uszy Wujka, jak nazywali chłopcy te urządzenia. Nikt nie wspominał jednak nigdy o ustach. A mimo to pudełko mówiło.

– Wstałeś, chłopcze?

– Tak, Wujku! – odparł Caul, powstrzymując się od ziewnięcia.

Wczoraj ciężko się napracował w Kleptorium, próbując wyłapać młodszych chłopców przekradających się przez wielopoziomowy labirynt schodków i korytarzy, który Wujek specjalnie zaprojektował

do szkolenia w trudnej złodziejskiej sztuce. Caul położył się do łóżka śmiertelnie zmęczony i mimo że musiał przespać wiele godzin, zdawało mu się, jakby zmrużył oczy zaledwie przed kilkoma minutami. Potrząsnął głową, próbując odpędzić od siebie senność.

– Wstałem, Wujku! – powiedział.

– Dobrze.

Kamera wysunęła się w jego stronę. Długi, lśniący metalowy wąż, który hipnotyzował go swoim pojedynczym okiem. Caul wiedział, że jego twarz pojawiła się na ekranie monitora w mieszczącej się w starym ratuszu kwaterze Wujka. Instynktownie zdarł z łóżka kołdrę i okrył nią nagie ciało.

– Czego sobie życzysz, Wujku? – zapytał.

– Znalazłem dla ciebie miasto – odparł głos. – Anchorage. Piękne północne miasteczko, które miało ostatnio pecha. Weźmiesz któryś pająkomobil, najlepiej „Śrubodźdzownicę”, i okradniesz je dla mnie.

Caul stał owinięty w pościel przed badawczym okiem kamery i zastanawiał się gorączkowo, co odpowiedzieć.

– No i co, chłopcze? – warknął Wujek. – Nie chcesz tej roboty? Nie czujesz się gotowy do dowodzenia pająkomobilem?

– Nie, wcale nie! – wykrzyknął Caul z zapalem. – Tylko że... myślałem, że „Śrubodźdzownica” to statek Wrassego. Więc chyba on powinien dowodzić... albo któryś ze starszych chłopców...

– Nie podważaj moich rozkazów, Caul. Wujek zawsze wie najlepiej. Tak się składa, że wysłałem Wrassego na południe do innej roboty i nie zostanie mi już żaden dowódca. W normalnych okolicznościach nie pozwoliłbym komuś tak młodemu na samodzielną misję, ale uznałem, że jesteś już gotowy, a Anchorage to bardzo łakomy kąsek.

– Tak, Wujku. – Caul słyszał, jak inni chłopcy szeptali o tajemniczej

robocie na południu, do której wciąż oddelegowywano bardziej doświadczonych złodziei i najlepsze statki. Podobno Wujek przygotowywał największą kradzież w swojej długiej karierze, ale nikt nie wiedział, o jaki łup chodzi. Dla Caula nie miało to jednak większego znaczenia. Liczyło się tylko to, że dzięki nieobecności Wrassego wreszcie zostanie dowódcą pająkomobila!

Jako czternastolatek Caul wziął już udział w ponad dziesięciu złodziejskich wypadach, ale liczył, że musi poczekać jeszcze co najmniej dwa lata, nim Wujek powierzy mu dowództwo całej akcji. Pająkomobilami dowodzili zwykle starsi, otoczeni nimbem chwały chłopcy, którym przysługiwały osobne kwatery na wyższych piętrach – nieporównywalnie wygodniejsze od ciasnych nor, w jakich Caul zawsze mieszkał. Tutaj, na dolnych piętrach tuż nad Kleptorium, po rdzewiejących ścianach skapywała woda, a gnący się pod ciśnieniem metal wypełniał pokoiki ponurym jękiem. Zdarzało się, że niektóre pomieszczenia implodowały bez ostrzeżenia, zabijając mieszkających w nich chłopców. Gdyby tylko Caulowi udało się pomyślnie wykonać misję i przywieźć rzeczy, które przypadną Wujkowi do gustu, mógłby pożegnać się z tymi okropnymi, przesiąkniętymi wilgocią norami raz na zawsze!

– Weźmiesz ze sobą Skewera – oznajmił Wujek. – I tego smarkacza, Gargle’a.

– Gargle’a?! – wykrzyknął Caul z niedowierzaniem. Gargle był największą oferłą w grupie nowicjuszy. Jego nerwowość i nieporadność zawsze wzbudzały w starszych chłopcach sadystyczne instynkty. Ani razu nie udało mu się jeszcze przejść w Kleptorium na drugi poziom bez schwytania. Zwykle łapał go właśnie Caul, ratując go tym samym przed trenerami takimi jak Skewer, którzy uwielbiali

dawać wycisk fajtłapom. Caul nie potrafił zliczyć, ile razy odprowadzał bladego i pochlipującego dzieciaka do sypialni nowicjuszy. A teraz Wujek chciał, żeby zabrał biedaka na prawdziwą robotę!

– Gargle jest ciapowaty, ale bystry – powiedział Wujek. Zawsze wiedział, co myślą inni, nawet gdy nic nie mówili. – Ma dryg do maszyn. Świetnie steruje kamerami. Pracował w moim archiwum i chcę go tam przenieść na stałe, ale najpierw powinien wziąć udział w złodziejskiej misji. Niech się przekona, jak naprawdę wygląda życie Zaginionych Chłopców. Oferuję ci dowództwo, bo masz do niego więcej cierpliwości od Wrassego, Żółwia i innych.

– Tak, Wujku. Ty wiesz najlepiej.

– Jasne, że tak. Gdy tylko zacznie się dzienna zmiana, zajmiesz się przygotowaniem „Śrubodźdźownicy” do wyprawy. Przywieź mi jak najwięcej ładnych rzeczy, Caul. I informacje. Jak najwięcej informacji.

– Tak, Wujku!

– I jeszcze jedno, Caul.

– Tak, Wujku?

– Nie daj się złapać.

Tak oto miesiąc później, setki kilometrów od domu Caul siedział skulony w mrocznym zaułku i wstrzymując oddech, czekał, aż ucichną kroki Hester. Co go napadło, że narażał się na takie ryzyko? Dobry złodziej nigdy nie pozwalał się zauważyć, ale Caul był prawie pewien, że młoda lotniczka go zobaczyła, a jeśli chodzi o Scabiousa... Chłopak zadrżał, wyobrażając sobie, co by się stało, gdyby Wujek o tym usłyszał.

Kiedy uznał, że nic mu nie grozi, wyszedł z kryjówki i niemal

bezszelestnie pobiegł do „Śrubodźdzownicy”, która wisiała wczepiona w podwozie Anchorage niedaleko koła napędowego, ukryta przed okiem nieświadomych niczego mieszczan. Był to stary rdzewiejący i poobijany pająkomobil, ale Caul był z niego dumny, zwłaszcza że ładownia zdążyła się już napełnić drogocennymi przedmiotami, które on i jego załoga zrabowali z opuszczonych warsztatów i willi miasta. Chłopak wysypał z torby ostatnie łupy i precyzyjnie się między pękatymi tobołami i pakunkami do przedniej kabiny. Tam, pośród cichych pomruków maszynerii i bladego niebieskiego światła ekranów czekała na niego reszta załogi. Oczywiście, wszystko widzieli. Kiedy Caul przemykał za Hester przez maszynownię, obserwowali ich za pomocą ukrytych kamer.

– Uuuu! Duch! – powitał go Skewer, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

– Caul, Caul – zachichotał Gargle – stary Scabious myśli, że jesteś duchem jego syna!

– Wiem – odparł Caul – słyszałem. – Odepchnął Skewera i usiadł na jednym ze skrzypiących skórzanych foteli, czując nagłą irytację duszącym ścisaniem panującym w „Śrubodźdzownicy”. Łypnął na towarzyszy, którzy wciąż przyglądali mu się z głupkowatymi uśmiechami na twarzach, oczekując, że przyłączy się do żartów ze starego Scabiousa. Skewer miał tyle lat co Caul, ale był większy i silniejszy. Czasami Caulowi wydawało się dziwne, że właśnie jego, a nie Skewera wyznaczył Wujek na dowódcę misji. I niekiedy w słowach Skewera wyczuwał wrogość, która świadczyła, że on także o tym myślał.

Dziesięcioletni Gargle, wciąż podniecony udziałem w pierwszej złodziejskiej misji, zdawał się nieświadomy istniejącego między

starszymi chłopcami napięcia. Okazał się równie nieporadny i ciapowaty, jak się obawiał Caul. Drętwiał z przerażenia, za każdym razem gdy obok przechodził jakiś jeleni, i z prawie każdej wyprawy do miasta wracał z roztrzęsionymi rękami i mokrymi portkami. Skewer, który nigdy nie odmawiał sobie wykorzystania słabości innych, znęcałby się nad nim bez opamiętania, gdyby Caul go nie powstrzymywał. Caul wciąż pamiętał własną pierwszą misję i obelgi, jakie znosił od dwóch starszych chłopaków, kiedy rabowali ruchome miasto Gdańsk. Początki zawsze są trudne.

Skewer wciąż się uśmiechał.

– Partaczysz robotę, Caul! Dajesz się zauważyć. Na szczęście stary bałwan ma nierówno pod sufitem. Duch! Nie mogę się doczekać, żeby opowiedzieć o tym chłopakom! Caul Duch! Hu-huu!

– Nie ma w tym nic zabawnego, Skew – odparł Caul. Słowa Scabiosa napełniły go dziwnym niepokojem. Nie wiedział właściwie dlaczego. Spojrzał na własne odbicie w oknie kabiny. Zupełnie nie przypominał Axela, którego portrety widział, gdy okradał gabinet Scabiosa. Axel był dużo starszy, wyższy, przystojny i błękitnooki. Natomiast Caul miał sylwetkę złodzieja, był drobny i chudy. Poza tym miał ciemne brązowe oczy. Upodabniała ich tylko strzecha jasnych jak słoma włosów. Stary udreńczony inżynier mógł go pomylić z synem, widząc w mroku blond czuprynę, prawda?

Nagle uświadomił sobie, że Skewer coś do niego mówi, i to od jakiegoś czasu.

– ...wiesz, jakie Wujek ma zdanie na ten temat. Pierwsza zasada złodzieja: Nie daj się złapać.

– Nie dam się złapać, Skewer. Jestem ostrożny.

– W takim razie dlaczego dałeś się zauważyć, co?

– Każdy ma czasami pecha. W zeszłym roku wielki Spadger z „Kradzieży Doskonałej” musiał zasztyletować jelenia, który odkrył go na pokładzie Archangielska.

– To co innego. Za często obserwujesz jeleni. Gdybyś ich podpatrywał kamerą, nie byłoby w tym nic złego. Ale ty zapuszczasz się sam w głąb miasta.

– To prawda – przytaknął Gargle, próbując się podlizać. – Sam widziałem.

– Stul gębę – syknął Skewer, wymierzając malcowi kopniaka.

– Interesują mnie – wyjaśnił Caul.

– To jelenie! – powiedział Skewer, tracąc cierpliwość. – Wiesz, co Wujek o nich mówi. To ciemniaki. Nie myślą tak szybko jak my. Dlatego mamy prawo zabierać ich rzeczy.

– Wiem! – odparł Caul. Wpojono mu to w Kleptorium, kiedy był jeszcze nowicjuszem, tak samo jak Skewerowi. „Jesteśmy Zaginionymi Chłopcami, najlepszymi złodziejami pod słońcem. Potrafimy ukraść wszystko, co nie jest na stałe przymocowane do podłogi”. Zdawał sobie sprawę, że Skewer ma rację. Czasami wydawało mu się, że wcale nie nadaje się na Zaginionego Chłopca. Wolał obserwować ludzi, niż rabować.

Zerwał się z fotela i chwycił raport, który leżał na półce nad monitorami. Trzymał kartkę najlepszego oficjalnego papieru Freyi Rasmussen, zapisanych jego koślawymi wołami. Idąc na rufę, zamachał Skewerowi plikiem przed nosem.

– Wysyłam to do bazy. Wiesz, jak Wujek się denerwuje, kiedy nie dostaje co tydzień raportu.

– To nic w porównaniu z tym, jak się wkurzy, kiedy nas przez ciebie złapią – mruknął Skewer.

Komora z ryborakietami znajdowała się pod sypialnią i przesiąkła tym samym zapachem potu i brudnych skarpet. Pod ścianą znajdował się stojak na dziesięć ryborakiet, ale trzy miejsca były już puste. Za sześć tygodni wypuszczą ostatnią z nich. Potem przyjdzie czas na odłączenie się od miasta i powrót do domu. Będzie mu brakowało Freyi i jej poddanych. Ale to głupota, prawda? To tylko jelenie. Tylko twarze na ekranach monitorów.

Ryborakiety wyglądały jak małe srebrzyste torpedy i gdyby stały pionowo, byłyby wyższe od Caula. Jak zawsze ogarnęło go dziwne uczucie niepokoju pomieszanego z dumą, gdy upewniał się, że bak z paliwem jest pełny, a potem umieścił raport w wodoszczelnym schowku pod dziobem. Na całej Północy kapitanowie pająkomobili tacy jak on wysyłali ryborakiety do domu, żeby Wujek wiedział, co się dzieje na świecie, i mógł zaplanować kolejne śmiałe kradzieże. Na myśl o tym poczuł się jeszcze bardziej winny, że lubi jeleni. Ma wielkie szczęście, że jest Zaginionym Chłopcem. Praca dla Wujka to duże wyróżnienie. Wujek zawsze wie najlepiej.

Kilka minut później ryborakieta wyślizgnęła się z wnętrza „Śrubodźdźownicy” i spadła niepostrzeżenie na ziemię. Kiedy Anchorage sunęło dalej na północ, zaczęła się wwiercać w śnieg i lód, aż wreszcie zanurzyła się w atramentowych wodach przepływających pod grubą lodową pokrywą. Jej starożytny komputerowy mózg tykał i mruczał – nie był zbyt bystry, ale znał drogę do domu. Ze srebrzystego tułowia wysunęły się stalowe płetwy, mała śruba na ogonie zawirowała i ryborakieta pomknęła na południe.

13. Rezydencja Głównego Nawigatora

Hester nie opowiedziała Tomowi o dziwnym spotkaniu. Nie chciała wyjść w jego oczach na idiotkę bredzącą o duchach. Twarz, którą widziała w ciemnościach, to tylko przywidzenie, a pan Scabious był oczywiście szalony. Całe Anchorage było niespełna rozumu – nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzyłby Freyi i Pennyroyalowi, że zdołają dotrzeć do dziewiczej, zielonej Ameryki. Zresztą Tom też zwariował. Wszelkie próby przemówienia mu do rozsądku byłyby stratą czasu. Lepiej skoncentrować się na tym, żeby bezpiecznie zabrać go z miasta.

Mijały dni i tygodnie, Anchorage ślizgało się po bezkresnych równinach zamrożonego morza ku górzystej Grenlandii. Hester coraz więcej czasu spędzała w porcie lotniczym, obserwując pana Aakiuqa przy pracy nad „Jenny Haniver”. Nie mogła mu pomóc przy naprawach, bo nie była mechanikiem, ale podawała mu narzędzia i części, a także nalewała gęste ciemne kakao ze starego termosu, mając nadzieję, że w ten sposób przybliży upragniony dzień, kiedy sterowiec zabierze ją nareszcie z tego nawiedzonego miasta.

Tom przychodził czasem do hangaru, lecz wolał trzymać się od niego z daleka. Pan Aakiuq nie chce, żebyśmy oboje stali mu nad

głową, wyjaśnił Hester. Tylko byśmy mu przeszkadzali, dodawał. Ale oboje znali prawdziwy powód – za bardzo podobało mu się w Anchorage. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo brakowało mu życia na pokładzie ruchomego miasta. To te silniki, tłumaczył sobie, te lekkie, kojące wibracje, które sprawiają, że budynki wydają się żywe. To poczucie, że dokądś się zmierza, a każdego dnia, otwierając rano oczy, widzi się za oknem inny krajobraz – choćby nawet były to tylko lód i mrok.

I być może, chociaż nie chciał się do tego przyznać, to, że nie pokazywał się w hangarze, miało coś wspólnego z Freyą. Często spędzali razem krótkie arktyczne dni, zwiedzając opuszczone sale pałacu lub przesiadując w Komnacie Cudów, i coraz bardziej odpowiadało mu jej towarzystwo. Miał z tego powodu lekkie poczucie winy, bo margrabina tak bardzo różniła się od Hester i tak bardzo przypominała dziewczyny, o których marzył kiedyś jako samotny czeladnik w Londynie. Była bystra, miła i ładna. Denerwowała go tylko jej obsesja na punkcie tradycji, hierarchii i dworskiej etykiety, ale nawet to dawało się zrozumieć, jeśli pamiętało się o tym, jak została wychowana i przez co przeszła. W każdym razie Tom lubił ją coraz bardziej.

Profesor Pennyroyal zdążył się już wykurować i przeniósł się do oficjalnej rezydencji Głównego Nawigatora mieszczącej się w wysokiej wieży, która stała między Pałacem Zimowym a świątynią. Na jej najwyższym piętrze znajdował się mostek kapitański miasta, poniżej zaś pełne przepychu apartamenty, do których Pennyroyal wprowadził się z niekłamaną satysfakcją. Zawsze miał się za człowieka niepospolitego i wybitnego, dlatego przyjemnie było gościć w miejscu, gdzie wszyscy podzielają tę opinię.

Oczywiście nie miał zielonego pojęcia, jak sterować miastem, więc prozaiczne obowiązki związane z kierowaniem Anchorage wciąż spoczywały na Windolene Pye. Codziennie rano oboje pochylali się nad niejasnymi i pełnymi białych plam mapami zachodnich lodowców. Narada trwała zwykle około godziny, więc resztę czasu profesor mógł poświęcić na relaks w prywatnej saunie, wylegiwanie się na kanapie w salonie lub buszowanie po opuszczonych przez właścicieli ekskluzywnych butikach przy Alei Rasmussenów, gdzie wyszukiwał dla siebie stroje, które odpowiadałyby jego nowej pozycji.

– Naprawdę spadliśmy na cztery łapy, lądując w Anchorage, mój drogi chłopcze! – wykrzyknął, witając Toma w progu któregoś mroźnego arktycznego popołudnia. Wprowadził gościa do salonu i powiódł dookoła błyszczącą od drogocennych sygnetów dłonią, pokazując zdobne dywany, złote ramy obrazów, ogień płonący w spiżowych zniczach, wielkie okna z widokiem na dachy okolicznych willi i śnieżne równiny lodowca. Na zewnątrz zerwał się silny mroźny wiatr, ale w rezydencji Głównego Nawigatora było ciepło i spokojnie.

– Jak tam naprawa waszego stateczku? – spytał profesor.

– Och, powoli, powoli – odparł Tom. Tak naprawdę nie odwiedzał portu lotniczego od kilku dni i nie miał pojęcia, jak postępują prace nad „Jenny Haniver”. Wolał w ogóle o tym nie myśleć. Kiedy naprawy dobiegną końca, Hester będzie chciała odlecieć i zabrać go z tego pięknego miasta, daleko od Freyi. Ale to miło ze strony profesora, że okazał zainteresowanie.

– A jak tam podróż do Ameryki? – zapytał. – Wszystko dobrze się układa, panie profesorze?

– Absolutnie! – odrzekł Pennyroyal, sadowiąc się na kanapie i wygładzając szaty z przedniego silikonowego jedwabiu. Nalał sobie

kubek wina i zaoferował Tomowi drugi. – W piwnicach tej wieży znalazłem mnóstwo doskonałych roczników. Uznałem, że byłoby wielką stratą, gdyby nie wypić, ile tylko się da, zanim... tego, tam...

– Powinien pan zachować najlepszą butelkę na toast, kiedy dotrzecie do Ameryki – powiedział Tom, siadając na krzeselku obok. – Ustalił pan już ostateczny kurs?

– Cóż, i tak, i nie – odparł Pennyroyal beztróska i machnął kubkiem. Wino chlapnęło na futrzane obicie kanapy. – I tak, i nie, Tom. Kiedy znajdziemy się na zachód od Grenlandii, wszystko powinno pójść jak z płatka. Windolene i Scabious wytyczyli bardzo skomplikowaną trasę między mnóstwem wysepek, których może już dawno nie być, a potem wzdłuż zachodniego wybrzeża Ameryki. Na szczęście, pokazałem im znacznie prostszą drogę. – Wskazał mapę wiszącą na ścianie. – Pojedziemy przez wyspę Baffin i zatokę Hudson. Tam jest gruby, mocny lód, który prowadzi w głąb kontynentu. Właśnie tamtędy wróciłem do domu. A kiedy w końcu dotrzemy na skraj lodowca, zamienimy płozy i koło napędowe na gąsienice i dojedziemy do zielonej krainy. Kasza z mlekiem.

– Szkoda, że z wami nie pojedę – westchnął Tom.

– Nie, nie, drogi chłopcze! – odparł podróżnik z naciskiem. – Twoje miejsce jest w powietrzu, na podniebnych szlakach. Gdy tylko wasz statek będzie sprawny, ty i twoja... urocza towarzyszka musicie odlecieć. A tak przy okazji, słyszałem, że jej wysokość margrabina pożyczyła ci parę moich książek?

Tom zarumienił się na wspomnienie Freyi.

– No i co o nich sądzisz? – dopytywał się Pennyroyal, sięgając po wino. – Dobrze, co?

Tom nie wiedział, co odpowiedzieć. W książkach profesora aż roiło

się od zapierających dech w piersiach, ekscytujących przygód. Problem polegał jednak na tym, że historia widziana oczami starego historyka była dla wykształconego w Londynie Toma odrobinę zbyt alternatywna. Na przykład w *Pięknej Ameryce* Pennyroyal opisał sterzące z ziemi stalowe słupy, które pozostały po starożytnych drapaczach chmur – ale żaden inny podróżnik nie doniósł nigdy o czymś takim, a przecież trudno ich było nie zauważyć. Poza tym jak to się stało, że metal nie skorodował przez tyle setek lat pod wpływem huraganów i deszczu? Czyżby Pennyroyal miał halucynacje, kiedy je rzekomo widział? Na tym jednak nie koniec. W dziele *Śmiecie? Jak śmiecie!* profesor twierdził, że małe samochodziki i pociągi znajdowane czasami w trakcie wykopalisk wcale nie były zabawkami. Napisał nawet: *Nie ulega wątpliwości, iż owe maszyny były kierowane przez małe, zmodyfikowane genetycznie ludziki stworzone przez starożytnych w celu, który dla współczesnej nauki wciąż pozostaje tajemnicą.*

Tom nie wątpił, że Pennyroyal jest wielkim podróżnikiem i odkrywcą. Podejrzewał jednak, że gdy zasiadał do pisania, dawał się za bardzo ponieść wyobraźni.

– No, Tom? – nie ustępował profesor. – Nie wstydź się. Dobry pisarz potrafi docenić konfuzyjną krytykę. To znaczy, chciałem powiedzieć: konstruktywną kretynkę...

– Och, profesorze Pennyroyal! – usłyszeli głos Windolene Pye wydobywający się z mosiężnej tuby na ścianie. – Proszę przyjść! Szybko! Przed nami pojawił się niezidentyfikowany obiekt!

Tom zadrzał, wyobrażając sobie drapieżne miasto czyhające na ofiarę, ale Pennyroyal wzruszył tylko ramionami.

– I czego ta głupia krowa po mnie niby oczekuje? – zapytał.

– No cóż, w końcu jest pan teraz Głównym Nawigatorem, profesorze
– przypomniał mu Tom. – Pewnie powinien pan się pojawić na mostku.

– Jestem Honolono... Honorowym Głównym Nawigatorem – podkreślił Pennyroyal.

Tom uświadomił sobie nagle, że profesor się upił. Cierpliwie pomógł zwanemu podróżnikowi wstać i zaprowadził go do prywatnej windy, którą wjechali razem na najwyższe piętro.

Kiedy weszli do wielkiej sali o szklanych ścianach, panna Pye pochylała się zdenerwowana nad telegrafem, a jej nieliczni podwładni rozkładali na stole wielką mapę. Przy olbrzymim sterze stał ponury człowiek, czekając na instrukcje.

Pennyroyal opadł od razu na pierwsze napotkane krzesło, ale Tom podbiegł do szyby i odczekał, aż wycieraczka zgarnie z niej śnieg. Na zewnątrz szalała wichura, która sprawiała, że widać było tylko najbliższe budynki Anchorage.

– Niczego nie widzę... – zaczął mówić. Lecz nagle wiatr zelżał na chwilę, ukazując lodowiec rozciągający się przed miastem i jakiś ciemny, złowrogi kształt otoczony dymem z kominów. Drapieżne miasteczko.

14. Miasteczko

Freya próbowała ułożyć listę gości, których chciała zaprosić na kolację. Sprawa okazała się niezwykle trudna, bo według tradycji tylko obywatele o najwyższej pozycji mieli prawo jadać z margrabiną, a ostatnimi czasy ich grono zawężyło się do pana Scabiousa, który bynajmniej nie grzeszył towarzyskością. Oczywiście, przybycie Pennyroyala poprawiło trochę sytuację – nic nie stało na przeszkodzie, by Główny Nawigator zasiadł przy jej stole – lecz nawet jego fascynujące historyjki zaczęły ją nudzić, a poza tym profesor wykazywał skłonność do nadużywania alkoholu.

Tak naprawdę – choć nie śmiała się do tego przyznać, siedząc przy biurku w swoim gabinecie – chciała zaprosić Toma i tylko jego. Marzyła, żeby patrzył na nią w świetle świec i mówił jej, jaka jest piękna. Nie wątpiła, że tak właśnie myślał. Problem polegał na tym, że Tom był tylko zwykłym lotnikiem. Pozwolić mu zwracać się do siebie po imieniu to jedno, ale zjeść kolację w jego towarzystwie to zupełnie co innego. Zresztą nawet gdyby złamała odwieczną tradycję i zaprosiła go, na pewno przyprowadziłby ze sobą tę szkaradną dziewczynę, a to zupełnie jej nie odpowiadało.

Freya westchnęła i opadła na oparcie krzesła. Twarze

wcześniejszych margrabin patrzyły na nią łagodnie z portretów wiszących na ścianach, a ona zastanawiała się, co zrobiłyby na jej miejscu. Lecz oczywiście żadna nie znalazła się nigdy w podobnej sytuacji. W ich przypadku pradawne tradycje zawsze się sprawdzały, oferując proste odpowiedzi na pytanie, co można, a czego nie można uczynić. Ich życie toczyło się jak w zegarku, bez zakłóceń i niespodzianek. Tylko ja mam takiego pecha, pomyślała ponuro. Że też właśnie ja muszę rządzić miastem w czasach, gdy całe dziedzictwo zwyczajów i zasad stało się bezużyteczne.

Wiedziała jednak, że gdyby odrzuciła tradycję, stanęłaby wobec całej masy nowych problemów. Ludzie, którzy zostali w Anchorage po zarazie, zdecydowali się na to tylko ze względu na szacunek dla margrabiny. Czy gdyby Freya przestała się zachowywać jak margrabina, wciąż godziliby się na podróż do Ameryki?

Wróciła do układania listy gości i właśnie narysowała małego pieska w rogu pustej kartki, gdy do gabinetu wpadł Smew, a następnie cofnął się i zgodnie z tradycją zapukał trzykrotnie w drzwi.

– Proszę, szambelanie.

Zasapany Smew wszedł znowu do środka, z kapeluszem założonym tył naprzód.

– Przepraszam, Wasza Promienistość. Złe wiadomości z mostku kapitańskiego. Drapieżnik przed nami.

Kiedy Freya dotarła na mostek, pogoda tak się pogorszyła, że na zewnątrz nie było już nic widać.

– Jak sytuacja? – zapytała, wysiadając z windy, nim Smew zdążył ją zapowiedzieć.

Windolene Pye dygnęła trwożliwie.

– Och, Zorzo Lodowych Pól! Jestem niemal pewna, że to Wolverinehampton! Nim rozpętała się śnieżycyca, zauważyłam trzy stalowe wieże za jego szczękami. Musiało się tu czaić w nadziei na upolowanie jednego z miasteczek wielorybicznych jadących Szlakiem Grenlandzkim...

– Wolverinehampton? Co to za osiedle? – zapytała Freya, żałując, że nie słuchała uważniej swoich sownie opłacanych guwernerów.

– Niech Wasza Promienistość raczy spojrzeć...

Nie zauważyła Toma, dopóki się nie odezwał. Teraz, widząc go, poczuła w środku przyjemne ciepło. Chłopak pokazał jej starą księgę.

– Znalazłem je w *Almanachu ruchomych miast* panny Cade – powiedział.

Wzięła od niego opasły tom i uśmiechnęła się z wdzięcznością. Jednak gdy tylko otworzyła książkę na zaznaczonej stronie i ujrzała widniejący tam rysunek, natychmiast spoważniała. Tekst pod obrazkiem mówił:

Wolverinehampton: anglojęzyczne miasteczko, które zadomowiło się na Północy w 768 roku ery mobilizmu, stając się od tamtej pory jednym z najgroźniejszych drapieżników Lodowych Pustkowi. Jego olbrzymie szczęki, prawie dwukrotnie większe od samego korpusu, a także zwyczaj zaganiania do pracy w maszynowni szczególnie okrutnie traktowanych niewolników zyskały mu nadzwyczaj złą sławę.

Pokład zadrżał Freyi pod stopami. Zatrzasnęła książkę, wyobrażając sobie szczęki Wolverinehampton zaciskające się już na jej mieście – ale to tylko wyłączono główne silniki. Anchorage zwolniło, a w głuchej ciszy słyhać było śnieg i deszcz bębniący o szklane ściany.

– Co się dzieje? – zapytał Tom. – Coś nie tak z silnikami?

– Zatrzymujemy się – odparła Windolene Pye. – Z powodu burzy.

– Ale tam czyha drapieżnik!

– Wiem, Tom. Pora jest naprawdę nieodpowiednia. Ale zawsze przystajemy, ilekroć zrywa się wielka wichura. Tutejsze wiatry wieją czasami z prędkością ponad sześciuset kilometrów na godzinę i potrafią wyrwać jadące miasto. W zimie sześćdziesiątego dziewiątego ten los spotkał stare biedne Skraelingshavn.

– Moglibyśmy przejść na gąsienice – zasugerowała Freya.

– To prawda, w ten sposób uzyskalibyśmy lepszą przyczepność – stwierdziła panna Pye. – Ale wątpię, czy to by wystarczyło. Na zewnątrz rozpętało się istne piekło.

Wiatr wył za oknami, jakby na potwierdzenie jej słów, a szyby trzeszczały złowrogo.

– A to Wolverine-cośtam też się zatrzyma? – zainteresował się Pennyroyal, który wciąż siedział rozparty na krześle.

Wszyscy spojrzeli na Windolene Pye, która pokręciła smutno głową.

– Niestety, obawiam się, że nie, panie profesorze. Wolverinehampton jest o wiele cięższe i niższe od nas.

– Ajaj! – jęknął Pennyroyal. – W takim razie niechybnie nas pożre! Na pewno zdążyli określić naszą pozycję, nim podniósł się wiatr. Wystarczy, że ruszą prosto na nas i chrup!

Mimo pijaństwa podróżnik wydał się Tomowi jedyną osobą na mostku zdolną do trzeźwej oceny sytuacji.

– Nie możemy tak stać i czekać na pożarcie! – przytaknął.

Panna Pye spojrzała na wirujące wskazówki wiatromierzy.

– Anchorage jeszcze nigdy nie podróżowało podczas takiej wichury...

– To może nadszedł czas, żeby spróbowało! – wykrzyknął Tom, a potem zwrócił się do Freyi. – Porozmawiaj ze Scabiousem! Powiedz,

żeby wyłączył światła, zmienił kurs i uruchomił silniki. Lepiej się przewrócić, niż zostać pożartym, prawda?

– Jak śmiesz mówić do Jej Promienistości w ten sposób! – oburzył się Smew, ale Freya była poruszona i miło zaskoczona tym, że Tomowi tak bardzo zależy na losie jej miasta. Mimo to należało wziąć jeszcze pod uwagę tradycję.

– Nie wiem, czy mogę, Tom. Żadna margrabina nie wydała nigdy takiego rozkazu.

– Ale też żadna margrabina nie postanowiła również pojechać do Ameryki – zauważył chłopak.

W tym momencie Pennyroyal zerwał się z krzesła. Nim Smew lub ktokolwiek inny zdołał go powstrzymać, odepchnął Toma na bok, chwycił Freyę i potrząsnął nią tak mocno, że aż zadzwoniła biżuteria.

– Zrób to! – wrzasnął. – Tom ma rację! Zrób to, ty głupia, rozpieszczona smarkulo, bo skończymy w niewoli tego okropnego Wolverteengham!

– Och, profesorze Pennyroyal! – pisnęła panna Pye.

– Łapy precz od Jej Promienistości! – wykrzyknął Smew, dobywając miecza i wymachując nim na poziomie kolan podróżnika.

Freya uwolniła się z uścisku, zdumiona, oszołomiona i wzburzona, ocierając z twarzy ślinę Pennyroyala. Jeszcze nikt nigdy nie zwracał się do niej w ten sposób. Tak to jest, kiedy margrabina łamie tradycję i wyznacza na wysokie stanowisko zwyczajnego kmiotka! – pomyślała. Po chwili jednak przypomniała sobie o Wolverinehampton szarżującym prosto na Anchorage z otwartymi szeroko szczękami. Odwróciła się do nawigatorów i powiedziała:

– Róbcie, co mówi Tom! Ruszać się! Zawiadomić Scabiousa! Zmieniamy kurs! Cała naprzód!

Hamulce miasta wysunęły się z okrytego śniegiem lodu, a dziwne turbiny wewnątrz kul Scabiousów zaczęły się znowu obracać. Grube stalowe gąsienice podwieszane pod podbrzuszem Anchorage na hydraulicznych ramionach poruszyły się z chrzęstem pośród kłębow gorącej pary i spoczęły na ziemi, wbijając kolce w twarde podłoże. Kołysząc się na wyjąłym wietrze, miasto wykręciło, obierając nowy kurs. Jeśli Bogowie Lodu okażą łaskawość, Wolverinehampton nie dostrzeże manewru. Ale jaką drogą jechał drapieżnik i co robił wśród wirujących tumanów śniegu, także wiedzieli tylko oni, gdyż dzika arktyczna burza rozpętała się na dobre, zrywając okiennice i dachówki z opuszczonych budynków na górnym pokładzie i unosząc je wysoko w niebo. Anchorage wyłączyło światła i ruszyło ślepo przed siebie na spotkanie nocy.

Caul napełniał torbę częściami z opuszczonego warsztatu w dzielnicy maszynowej, gdy miasto zmieniło kierunek. Nagły ruch sprawił, że o mało nie stracił równowagi. Przycisnął torbę mocno do piersi, żeby nie zagrzechotała, wyśliznął się na zewnątrz i przemknął chyłkiem przez labirynt uliczek w kierunku hali, w której stały kule Scabiousa. Kucnąwszy między dwiema cysternami, usłyszał krzyki robotników biegnących na stanowiska pracy i powoli zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Wycofał się w mroczny zaułek i przyłgnął do ściany, zastanawiając się, co robić.

Wiedział, jak powinien postąpić. Zasady Wujka były jasne. Kiedy okradane miasto znajdzie się w niebezpieczeństwie pożarcia, pająkomobil ma się natychmiast odłączyć i uciec – w przeciwnym razie złodzieje i ich pojazd zostaliby odkryci przez robotników rozmontowujących schwytaną osadę. Reguła ta wynikała z naczelnej

zasady: Nie daj się złapać. Gdyby choć jeden pająkomobil został wykryty, a miasta Północy dowiedziałyby się, w jaki sposób były przez tyle lat okradane, ich władze rozstawiłyby strażę i wzmożyły czujność. Zaginionym Chłopcom trudno byłoby wtedy nadal wieść takie życie jak dotychczas.

A mimo to Caul nie wrócił na pokład „Śrubodżdżownicy”. Nie chciał opuszczać Anchorage. Jeszcze nie teraz, nie w taki sposób. Wmawiał sobie, że to dlatego, że miasto jest jego łupem. Mógł z niego wykraść jeszcze mnóstwo cennych rzeczy i żadne głupie drapieżne osiedle mu tego nie odbierze. Nie miał zamiaru wracać z pierwszej samodzielnej wyprawy tak prędko i z poczuciem klęski. Ładownie pająkomobila jeszcze się nie wypełniły!

Jednak prawdziwy powód był inny i Caul wiedział o tym w głębi ducha, choć teraz przepełniała go złość na impertynenckie Wolverinehampton.

Caul miał pewien sekret, tak głęboki, że nie mógł go zdradzić nawet Skewerowi i Gargle’owi. Sam dopiero niedawno odkrył tę straszliwą prawdę. Lubił ludzi, których okradał. Wiedział, że to niedopuszczalne, ale nie umiał na to nic poradzić. Zależało mu na Windolene Pye i sympatyzował z nią, gdy ogarniała ją obawa, że nie uda jej się poprowadzić miasta do Ameryki. Martwił się o pana Scabiousa i szanował odwagę Smew, państwa Aakiuqów, a także mężczyzn i kobiet pracujących w maszynowni, uprawiających farmy wodorostów i hodujących bydło. Ujął go Tom, który był taki miły dla innych i przeżył tyle przygód. Caulowi wydawało się, że gdyby Wujek nie wybrał go na Zaginionego Chłopca, mógłby być do niego bardzo podobny.

Co do Freyi... nie znajdował słów, które opisałyby mieszaninę uczuć,

jakie w nim wywoływała.

Kule Scabiousów zawyły niczym syreny. Miasto trzęsło się w posadach, na ulicach za plecami Caula słyhać było huk spadających przedmiotów, ale chłopak wiedział, że nie ucieknie. Nie mógł opuścić tych ludzi, kiedy już tak dobrze ich poznał. Postanowił zaryzykować i przeczekać pościg. Skewer i Gargle nie zostawią go samego, a nawet jeśli widzieli go okiem którejś z kamer, nie mogli wiedzieć, co myśli. Powie im, że nie odważył się wrócić do „Śrubodźdzownicy” w tak wielkim chaosie. Wszystko będzie dobrze. Anchorage nie da się złapać. Ufał, że panna Pye, Scabious i Freya do tego nie dopuszczą.

Tom często obserwował polowania z pokładu Londynu i trzymał kciuki za rodzinną metropolię, kiedy goniła małe przemysłowe osiedla i ciężkie handlowe miasteczka. Lecz jeszcze nigdy nie patrzył na pościg z punktu widzenia ofiary, to zaś, czego doświadczał, wcale nie przypadło mu do gustu. Żałował, że nie ma nic do roboty. Z zazdrością patrzył na Windolene Pye i jej podwładnych, którzy co chwila rozkładali na podłodze wielkie mapy, przyciskając zwijające się rogi kubkami z kawą. Od momentu rozpoczęcia pościgu wlewali w siebie nieprawdopodobne ilości tego płynu i często spoglądali błagalnie w kierunku posążków Bogów Lodu stojących w małej kapliczce.

– Dlaczego wszyscy tak się denerwują? – zapytał Tom, zwracając się do Freyi, która stała obok i również nie miała żadnego zajęcia. – Chyba wiatr nie jest aż tak silny, prawda? Nie wywróci nas?

Freya wydeła wargi w zamyśleniu. Znała swoje miasto znacznie lepiej niż Tom i wyczuwała złowróżbne drganie płyt pokładowych,

gdy wiatr wdzierał się pod dziób, podrywając go z ziemi. Zresztą istniało również inne zagrożenie.

– W zasadzie lód, po którym jedziemy, jest bezpieczny – powiedziała. – Najczęściej ma kilkaset metrów grubości, a miejscami dotyka samego dna oceanu. Ale gdzieniegdzie jest cieńszy. Spotyka się na przykład jeziora ciepłej, niezamarzniętej wody, a także znacznie mniejsze kręgi lodowe. Gdyby płoza wryła się w jeden z nich, moglibyśmy się przewrócić. Jeziora nie powinny być trudne do ominięcia, bo stanowią trwałe elementy krajobrazu i panna Pye ma je zaznaczone na mapach. Ale kręgi pojawiają się w lodzie zupełnie przypadkowo.

Tom przypomniał sobie fotosy wiszące w Komnacie Cudów.

– Co powoduje ich powstawanie?

– Nie wiadomo – odparła Freya. – Może prądy morskie albo wibracje wzbudzone przez przejeżdżające miasta. Często widuje się je w pobliżu śladów miejskich płóz. Są naprawdę dziwne. Mają idealnie okrągły kształt i gładkie krawędzie. Nomadzi powiadają, że to przeręble, przez które duchy łowią ryby. – Roześmiała się, zadowolona, że może porozmawiać o tajemnicach Lodowych Pustkowi, zamiast myśleć o nazbyt rzeczywistym drapieżniku czającym się gdzieś w śnieżnej zawierusze. – Na Północy mamy mnóstwo dziwnych legend. Na przykład o widmach olbrzymich pajaków, które ludzie widują czasem kroczące po lodzie w świetle zorzy. Kiedy byłam mała, śniły mi się w koszmarach...

Zbliżyła się do Toma, aż jej ramię musnęło rękaw jego tuniki. Czowała się niezwykle odważna. Na początku bała się odstępstwa od pradawnych obyczajów, jednak teraz, gdy uciekali w rozszalałej śnieżycy przed Wolverinehampton, wyłamując się z tradycji, czuła coś

więcej niż strach. Uniesienie – to było właściwe słowo. Cieszyła się, że ma Toma obok siebie. Postanowiła, że jeśli przeżyją pościg, złamie jeszcze jedną zasadę i zaprosi przystojnego historyka na kolację. Samego.

– Tom... – powiedziała.

– Uwaga! – krzyknął chłopak. – Panno Pye! Co to takiego?

Po prawej stronie nad mrocznymi zarysami dachów rozbłysły nagle światła, a potem pojawiły się gigantyczne nabijane kolcami koła i jasne okna budynków. Była to rufa Wolverinehampton. Gdy jego wartownicy dostrzegli Anchorage, wielkie koła drapieźnika ruszyły wstecz, lecz masywne szczęki uniemożliwiły szybki zwrot, a burza znów się nasiliła, zakrywając niedoszłą ofiarę tumanami śniegu.

– Quirke’owi niech będą dzięki! – wyszeptał Tom i roześmiał się z ulgą. Zaczął już wierzyć, że czeka go pewna niewola w maszynowni drapieźcy. Teraz poczuł się tak, jakby zwrócono mu przyszłość. Freya ścisnęła jego dłoń i uświadomił sobie, że w nagłym szoku chwycili się instynktownie za ręce. Zawstydzony, czym prędzej cofnął dłoń. Od rozpoczęcia pościgu ani razu nie pomyślał o Hester.

Anchorage zwolniło. Panna Pye zarządziła jedną zmianę kursu za drugą, kierując miasto głęboko w labirynt śnieżycy. Minęła godzina, potem następna i powoli na mostku kapitańskim zapanowało uczucie ulgi. Wolverinehampton nie zaryzykuje utraty paliwa, żeby kontynuować pościg, a gdy minie burza i nadejdzie ranek, ślady płóz Anchorage zdążą już dawno zniknąć przysypane śniegiem. Panna Pye uściskała pomocników, sternika i Toma.

– Udało się! – oświadczyła.

– Uciekliśmy! – uradowała się Freya.

Profesor Pennyroyal, wyczuwszy, że niebezpieczeństwo minęło,

spół smacznie w kącie.

Tom odwzajemnił uścisk nawigatorki i roześmiał się szczęśliwy, że wciąż żyje i że znalazł się na pokładzie tego miasta w towarzystwie tych dobrych i przyjaznych ludzi. Gdy tylko skończy się burza, porozmawia z Hester i przekona ją, że nie muszą śpieszyć się z odlotem. Położył dłoń na stole z mapami, wyczuwając pod opuszkami miarowe drżenie silników. Zupełnie jak w domu, pomyślał.

W tanim hoteliku przy porcie lotniczym twarze pięciu żon Widgery'ego Blinkoe'a przybrały pięć różnych odcieni zieleni.

– Ooo! – jęknęły chórem, chwytając się za brzuchy, gdy Wolverinehampton przechyliło się przy ostrym skręcie, tropiąc ze złością niedoszłą ofiarę, która zniknęła za nieprzeniknioną zasłoną śniegu.

– Jeszcze nigdy nie byłam na pokładzie tak okropnego osiedla!

– Czy ten zapyziały hotel w ogóle ma jakiegokolwiek resory?!

– Coś ty sobie, mężu, wyobrażał, lądując w tym miasteczku?

– Od razu było wiadomo, że nie znajdziemy „Jenny Haniver” na pokładzie tej zapluskwionej osady!

– Żałuję, że nie odleciałam z profesorem Pennyroyalem. Był we mnie tak szaleńczo zakochany...

– Szkoda, że nie posłuchałam rad mojej biednej matki!

– Dlaczego nie wróciliśmy prosto do Archangielska?!

Widgery Blinkoe zatkał uszy kuleczkami wosku, byle tylko nie słuchać narzekań małżonek, ale on także żałował, że wylądował na pokładzie Wolverinehampton, i tęsknił za domem. Niech diabli porwą Zieloną Burzę, za to że wysłała go w ten głupi pościg! Już od tygodni

błąkał się po Lodowych Pustkowiach niczym śnieżny nomada albo podniebny włóczęga, lądując w każdym napotkanym miasteczku i rozpytując o „Jenny Haniver”. Mieszkańcy Nowej Niżni podobno widzieli, jak po rozbiciu myśliwców Ligi odleciała na północ, ale od tamtej pory nie udało mu się zebrać żadnych nowych informacji. Tak jakby sterowiec zapadł się pod ziemię!

Z posępną miną pomyślał o mieście, które Wolverinehampton próbowało pożreć – Anchorage. Gdyby wystartował zaraz po ucichnięciu burzy, prawdopodobnie udałooby mu się je odszukać i dogonić... Ale po co? Był pewien, że dwoje młodych lotników pilotujących stary uszkodzony sterowiec nie mogło się zapuścić aż tak daleko na zachód. Poza tym wołał już śmierć z rąk żołnierzy Zielonej Burzy niż narażenie się na gniew małżonek, które na pewno wpadłyby w furję, gdyby im oznajmił, że lecą do następnego prowincjonalnego miasteczka.

Stanowczo nadeszła pora na zmianę planu.

Wyciągnął z uszu wosk, gdy akurat żona numer trzy żaliła się pozostałym:

– ...i teraz, jak polowanie skończy się fiaskiem, nieokrzesañcy rządzący tym okropnym osiedlem wpadną w dziki szał! Wymordują nas, a to wszystko przez Blinkoe’a!

– Bzdura, żony! – huknął Blinkoe, wstając z krzesła, by pokazać, że jest głową rodziny i żaden pościg na złamanie karku przez śnieżycę nie jest w stanie wyprowadzić go z równowagi. – Nikt was nie zamorduje! Gdy tylko burza dobiegnie końca, wsiadamy do „Tymczasowych Zawirowań” i wracamy do Archangielska. Sprzedam informacje o napotkanych miasteczkach Masgardowi, więc podróż nie pójdzie zupełnie na marne, a jeśli chodzi o Zieloną Burzę... Cóż, do

Archangielska przylatuje wielu lotników, wypytam ich, rozpuszczę języki. Ktoś musi przecież wiedzieć, co się stało z „Jenny Haniver”.

15. Osamotniona Hester

Śnieżyca rozpętała się na dobre, wiatr wył za oknami coraz głośniej i głośniej. Na górnym pokładzie kilka opuszczonych domów zaważyło się, a wiele innych utraciło dachy i szyby. Dwaj robotnicy pana Scabiousa, wysłani, żeby przymocować obluzowaną płytę pokładową, zostali zdmuchnięci z miasta i zniknęli w ciemnościach za burzą, trzymając się swoich lin, jakby byli ciągnięci przez wielki nieposłuszny latawiec.

Hester pracowała z panem Aakiuqiem nad „Jenny”, gdy jego siostrzeniec wpadł do hangaru, donosząc o pościgu. W pierwszym odruchu chciała pobiec do pałacu, żeby być razem z Tomem, ale gdy wyszła na zewnątrz, wiatr uderzył w nią z taką siłą, że obila się plecami o ścianę, a jedno spojrzenie na tumany śniegu kłębiące się nad lotniskiem przekonało ją, że zdoła dotrzeć tylko do domu kierownika portu. Musiała więc przeczekać burzę w kuchni państwa Aakiuqów, którzy karmili ją zapiekanką z wodorostów i opowiadali o innych, znacznie gorszych wichurach, jakie stare dobre Anchorage przetrwało bez szwanku.

Hester była wdzięczna za to, że próbują ją pocieszyć, ale widziała, iż za dobrotliwymi uśmiechami na ustach kryje się strach. Taki sam jaki

ona odczuwała. Przerażała ich nie tylko nadnaturalnie sroga burza, ale przede wszystkim drapieżnik czyhający w ciemnościach. Nie teraz! – pomyślała, gryząc kciuk do krwi. Nie możemy zostać teraz pożarci. Jeszcze tylko tydzień, jeszcze tylko kilka dni...

„Jenny Haniver” była bowiem niemal gotowa do podróży. Jej silniki i stery zostały naprawione, powłoka załatana, a balon wypełniony gazem. Wymagała jeszcze tylko malowania i usunięcia kilku drobnych usterek w obwodach elektrycznych. Byłoby okrutną ironią losu, gdyby została pożarta, gdy prawie już mogła odlecieć.

Wreszcie zadzwonił telefon. Pani Aakiuq pobiegła go odebrać i wróciła rozpromieniona.

– To pani Umiak! Ma wiadomość z mostka kapitańskiego! Uciekliśmy Wolverinehampton! Przejedziemy jeszcze kawałek, a potem zatrzymamy się i przeczekamy burzę. Wygląda na to, że dobry profesor Pennyroyal poradził Jej Promienistości, aby nie zatrzymywać się pomimo wichury. Cudowny człowiek! Musimy podziękować Bogom Lodu, że zesłali go na nasz pokład. Aha, Hester, kochanie, mam ci przekazać, że twój chłopak jest bezpieczny. Właśnie wrócił do Pałacu Zimowego.

Chwilę później zadzwonił Tom i powiedział mniej więcej to samo. Jego głos, przefiltrowany przez zwoje kabli ciągnące się aż z pałacu, brzmiał cicho i nienaturalnie, jakby dobiegał z innego wymiaru. Rozmowa była urywana i zdawkowa.

– Chciałabym być teraz przy tobie – wyznała Hester, przyciskając usta do słuchawki i ściszej głos, żeby państwo Aakiuq jej nie usłyszeli.

– Co? Słucham? Nie, lepiej nie ruszajmy się na razie z miejsca. Freya powiedziała, że ludzie, którzy wychodzą na ulicę podczas takiej

wichury, często zamarzają na śmierć. Kiedy Smew odwoził nas do pałacu, wiatr o mało nie zdmuchnął żuka z pokładu!

– Więc to już teraz Freya, nie Jej Promienistość tak?

– Słucham?

– „Jenny” jest już prawie naprawiona. Pod koniec tygodnia będziemy mogli odlecieć.

– O! Dobrze! – Słyszała wahanie w jego głosie, a w tle wesołe rozmowy i śmiech, jakby w pałacu trwała huczna zabawa. – Ale może moglibyśmy zatrzymać się tu trochę dłużej – powiedział Tom z nadzieją. – Chciałbym zostać na pokładzie do czasu, aż dotrzemy do Ameryki, a potem... zobaczymy...

Hester uśmiechnęła się, pociągnęła nosem i próbowała odpowiedzieć, ale na chwilę zabrakło jej słów. W głosie Toma było tyle radości, tyle sympatii dla tego miasta, że wydawało się jej niesprawiedliwe złościć się na niego albo zwracać mu uwagę, że ona sama wolałaby znaleźć się gdziekolwiek indziej, byle nie na martwym kontynencie.

– Hester? – zapytał.

– Kocham cię, Tom.

– Przepraszam, nie słyszę.

– Nie szkodzi. Wkrótce się zobaczymy. Gdy tylko skończy się burza.

Jednak burza wcale nie zbliżała się do końca. Jeszcze przez kilka godzin Anchorage jechało na zachód, żeby jak najbardziej oddalić się od żarłocznych szczęk Wolverinehampton, ale stopniowo zwalniało. Teraz trzeba było uważać nie tylko na cienki lód i jeziora. Miasto zbliżało się do północnowschodnich wybrzeży Grenlandii, gdzie szczyty gór przebijają się przez pokrywę lodowca, grożąc

rozerwaniem podwozia. Pan Scabious zmniejszył obroty silników do połowy, a potem do jednej czwartej. Reflektory rozświetlały drogę jak dwa długie białe palce próbujące uchylić kurtynę śniegu. Wysłano również skutery zwiadowcze, aby badały lód. Panna Pye co i rusz spoglądała na mapy i modliła się w duchu, żeby wiatr odsłonił choć na chwilę gwiazdy, dzięki którym mogłaby potwierdzić pozycję miasta. W końcu, kiedy modły nawigatorki nie zostały wysłuchane, Anchorage musiało się zatrzymać.

Nadszedł bezsłoneczny dzień. Hester siedziała przy piecu w domu państwa Aakiuqów i przyglądała się fotografiom ich zmarłych dzieci oraz wiszącej na ścianie kolekcji malowanych talerzy upamiętniających narodziny, śluby i inne wielkie uroczystości związane z rodem Rasmussenów. Wszystkie twarze wyglądały jak Freya, która pewnie siedziała teraz w towarzystwie Toma w Pałacu Zimowym. Prawdopodobnie oboje pili grzane wino i rozmawiali o historii albo o ulubionych książkach.

Łzy napłynęły jej do oczu. Przeprosiła państwa Aakiuqów, nim zdążyli zapytać, co się stało, i pobiegła na górę do pokoiku, w którym urządzili jej sypialnię. Po co mam się tym dłużej zadręczać? – pomyślała. Łatwo mogła z tym wszystkim skończyć. Mogła odszukać Toma po burzy i powiedzieć: Dobra, skończmy z tym raz na zawsze. Zostań ze swoją Królową Śnieżką, jeśli chcesz, nic mnie to nie obchodzi...

A jednak nie potrafiła się na to zdobyć. Tom był jedyną osobą, z którą kiedykolwiek czuła się szczęśliwa. Dla niego i dla Freyi wszystko było prostsze. Oboje byli mili, dobrzy i ładni – i będą mieli mnóstwo okazji, żeby zakochać się z wzajemnością. Hester nie znalazłaby jednak nikogo innego. Tacy jak ona muszą trzymać się

kurczowo miłości, jeśli raz została im dana.

– Szkoda, że Wolverinehampton jednak nas nie pożarło – mruknęła do siebie, kładąc się spać i czekając, aż sen ukoi jej nerwy. W niewolniczych barakach Tom przynajmniej znowu by jej potrzebował.

Kiedy się obudziła, była północ, a burza wreszcie dobiegła końca.

Hester włożyła rękawice i płaszcz, naciągnęła na twarz maskę i zbiegła na palcach na dół. Gdy podkradała się do drzwi, z sypialni Aakiuqów dochodziło ciche chrapanie. Prześliznąwszy się przez komorę ciepłą, wyszła na mróz. Świecił księżyc, jego tarcza lśniła na południowym niebie jak zgubiona moneta. Wszystkie budynki na górnym pokładzie były polukrowane lodem wygiętym przez wiatr w fantastyczne kształty. Sople wisały z kabli nad jej głową, dzwoniąc lekko na wietrze i napełniając pogrążone w ciszy miasto dziwną muzyką.

Zapragnęła Toma. Chciała dzielić z nim to zimne piękno. Gdyby był teraz przy niej na tych wyludnionych ulicach, powiedziałaaby mu, co czuje. Rzuciła się pędem przed siebie, w pożyczonych śnieżnych rakietach brnąc przez zaspy, które sięgały jej niemal do ramion. Mróz wdzierał się przez maskę, szczypał jej twarz i chwycił ją za gardło. Wbiegła na podwyższoną platformę, słysząc urywany śmiech i strzępy muzyki dochodzące z maszynowni. Półprzytomna od mrozu wspięła się po schodach do pałacu.

Po pięciu minutach dzwonienia do drzwi Smew wreszcie jej otworzył.

– Przepraszam – wysapała, przepychając się przez komorę ciepłą i wpuszczając do korytarza powiew lodowatego powietrza. – Wiem, że jest późno. Muszę się zobaczyć z Tomem. Znam drogę, więc możesz się

mną nie przejmować...

– Nie ma go u siebie – odparł Smew z wyrzutem w głosie, zasznurowując mocniej szlafrok i zamykając pośpiesznie drzwi komory ciepłej. – Jest w Komnacie Cudów razem z Jej Promienistością.

– O tej porze?

Smew pokiwał posępnie głową. Było to absolutnie niewybaczalne, ale kiedy próbował kontrolować sytuację, kręcąc się przy Komnacie Cudów, Jej Promienistość syknęła na niego, żeby sobie poszedł i zostawił ją z młodym dżentelmenem sam na sam. Oczywiście, uznał to za naganne, lecz nie zamierzał dzielić się swoimi uwagami z młodą lotniczką.

– Jej Promienistość życzy sobie, aby jej nie przeszkadzano – oświadczył.

– Przeszkodzę jej, czy sobie tego życzy, czy nie – mruknęła Hester, odepchnąwszy go na bok i rzuciwszy się pędem w głąb pałacowego korytarza. Biegając, próbowała sobie wmówić, że cała sprawa jest zupełnie niewinna. Tom i ta rozpieszczona dziewczucha poszli po prostu obejrzeć niemającą sobie równych kolekcję starych śmieci i stracili poczucie czasu. Pewnie zastanie ich rozprawiających z przejęciem o ceramice z czterdziestego trzeciego wieku albo o runicznych kamieniach z ery Rafiowych Kapeluszy...

Przez otwarte drzwi prywatnego muzeum wylewało się światło i Hester zwolniła kroku. Najlepiej byłoby wejść tam jakby nigdy nic i powitać ich radośnie, tylko że nie należała do radosnych osób, wołała raczej ukrywać się po ciemnych kątach. Znalazła więc ciemny kąt za jednym ze szkieletów Łowcy i schowała się tam. Słyszała, że Tom i Freya rozmawiają, ale ich głosy były na tyle niewyraźne, że nie

wiedziała o czym. Tom roześmiał się, a jej serce aż podskoczyło do gardła. Były czasy, po katastrofie Londynu, kiedy tylko ona potrafiła go rozweselić.

Wyszła zza Łowcy i wśliznęła się do Komnaty Cudów. Tom i Freya stali w głębi sali oddzieleni od Hester kilkoma zakurzonymi gablotkami, a przez grube szyby ich postacie były niewyraźne i zniekształcone jak w krzywym zwierciadle. Stali bardzo blisko siebie, ich głosy ściszyły się do szeptu. Hester otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Żeby tylko odwrócić ich uwagę. Ale nie była w stanie wydać żadnego dźwięku. Gdy tak stała i patrzyła, Freya zbliżyła się do Toma i nagle oboje padli sobie w ramiona i zaczęli się całować. Oniemiała Hester wciąż stała w bezruchu i przyglądała się, jak białe palce Freyi gładzą ciemne włosy Toma, a on tuli ją do siebie.

Nie czuła tak dzikiej żądzy krwi, od kiedy ścigała Valentine'a. Zdrętwiała, gotowa chwycić starożytny oręż wiszący na ścianie i zadźgać tych dwoje, Freyę i Toma! Odwróciła się i wybiegła wzburzona z muzeum. Na krużganku była komora ciepła, otworzyła ją i wyszła na mroźną noc.

Rzuciła się na zaspę i rozplakała się. Bez względu na to, jak okropny był ten pocałunek, jeszcze bardziej przeraziła ją własna reakcja. Jak mogła w ogóle pomyśleć o skrzywdzeniu Toma? To nie jego wina! Tylko jej, tej dziewczyny, która go omotała. Tom nigdy nie spojrzał na inną, dopóki nie spotkał margrabiny, Hester w to nie wątpiła. Mogłabym zabić Freyę, pomyślała. Ale co by to pomogło? Tom by ją znienawidził, a poza tym nie chodziło tylko o Freyę, całe miasto go zauroczyło. To już koniec. Przegrała. Będzie tak leżeć na zimnie i umrze, a Tom znajdzie jej zamrożnięte ciało, gdy nadejdzie dzień, i będzie mu przykro...

Jednak zbyt długo walczyła o przetrwanie, żeby teraz umrzeć tak łatwo. Po kilku chwilach podniosła się na klęczki, próbując zapanować nad wstrząsającym jej ciałem urywanym szlochaniem. Mróz wdierał się jej do gardła i szczypał mokre od łez policzki, a w jej głowie, niczym oślizgły czerwony wąż, wykuł się pewien pomysł.

Była to myśl tak okrutna, że przez chwilę nie mogła uwierzyć, iż w ogóle na nią wpadła. Podeszła do pałacowego okna, otarła szybę ze szronu i spojrzała na własne odbicie. Czy ten plan mógł się powieść? Czy było ją stać na coś takiego? Nie miała jednak wyboru, musiała spróbować. Była to jej jedyna nadzieja. Nasunęła na głowę kaptur, zasłoniła twarz maską i ruszyła przez skąpane w bladym świetle księżyca, zaśnieżone ulice.

Był to dziwny dzień dla Toma uwięzionego w Pałacu Zimowym i odciętego od Hester przez rozszalałą wicherę, od której szyby trzeszczały w oknach. Dziwny dzień i jeszcze dziwniejszy wieczór. Siedział w bibliotece, próbując skoncentrować się na lekturze kolejnej książki Pennyroyala, kiedy zjawił się Smew w stroju szambelana, by oznajmić, że margrabina zaprasza go na kolację.

Z miny karła wynikało, że to wielki zaszczyt. Smew przyniósł mu szykowne, świeżo wyprane i nienagannie wyprasowane ubranie.

– Należało do starego szambelana – oznajmił, pomagając Tomowi je włożyć. – Był mniej więcej tego wzrostu co ty, jak mi się zdaje.

Chłopak jeszcze nigdy nie nosił równie eleganckich szat. Kiedy obejrzał się w lustrze, zobaczył przystojnego dżentelmena, zupełnie niepodobnego do niego samego. Bardzo się denerwował, gdy Smew prowadził go do prywatnej jadalni margrabiny. Wiatr zdawał się bić w okiennice z mniejszą siłą, więc być może burza miała się ku

końcowi. Tom postanowił, że zje kolację tak szybko, jak się da, a potem pójdzie odszukać Hester.

Jednak nie sposób było jeść szybko kolacji tak wytwornej jak ta. Smew dwoił się i troił, przebierając się w strój lokaja, by wnieść na stół kolejne potrawy, a potem biegnąc do kuchni, by włożyć fartuch kucharza i przygotować następne dania lub zejść do piwnicy po jeszcze jedną butelkę wspaniałego czerwonego wina z Bordeaux Mobile. Poza tym po kilku minutach Tom zdał sobie sprawę, że nie chce już wychodzić na mróz i wiatr. Z Freyą tak dobrze się rozmawiało i tak miło było przebywać w jej towarzystwie. Tego wieczoru miała w sobie coś olśniewającego, była śmielsza i swobodniej niż przedtem opowiadała o rodzinie, historii Anchorage i słynnej przodkini Dolly Rasmussen. Licealistce, która w proroczym śnie ujrzała zniszczenia wojny sześćdziesięciminutowej i wraz z garstką ludzi, którzy jej uwierzyli, uciekła ze starożytnego miasta, nim zostało zmiecione z powierzchni ziemi.

Tom przyglądał się jej w trakcie rozmowy. Zauważył, że zrobiła coś niezwykłego z włosami i włożyła najbardziej lśniąca ze swych nadżartych przez mole sukni. Zadała sobie tyle trudu dla niego? Ta myśl wzbudziła w nim miły dreszczyk, a zaraz potem poczucie winy. Odwrócił wzrok i spotkał ganiące spojrzenie Smew, który sprzątał właśnie pucharki po deserze i nalewał kawę.

– Czy Wasza Promienistość życzy sobie czegoś jeszcze?

Freya uniosła do ust filiżankę i zerknęła na Toma.

– Nie, dziękuję, Smew. Możesz się oddalić. Myślę, że pójdziemy z Tomem do Komnaty Cudów.

– Oczywiście, Wasza Promienistość. Służę swoim towarzystwem.

Freya spojrzała na niego ostro.

– Nie ma takiej potrzeby, Smew. Możesz się oddalić.

Tom wyczuł zakłopotanie służącego. Sam czuł się lekko zażenowany, ale może wino po prostu uderzyło mu do głowy.

– Cóż, może innym razem... – odezwał się.

– Nie, Tom – odparła Freya, wyciągając rękę i dotykając jego dłoni czubkami palców. – Teraz, dzisiaj. Posłuchaj, burza już się skończyła. Komnata Cudów będzie wyglądać przepięknie przy świetle księżyca...

Komnata rzeczywiście wyglądała przepięknie w świetle księżyca, ale nie tak pięknie jak Freya. Kiedy prowadziła go do swojego małego muzeum, Tom zrozumiał, dlaczego obywatele Anchorage uwielbiają ją i słuchają jej rozkazów. Gdyby Hester była choć odrobinę do niej podobna! Ostatnio często łapał się na tym, że musi tłumaczyć sobie jej zachowanie. Raz za razem przypominał sobie, że Hester jest taka, jaka jest, ponieważ spotkało ją w życiu tyle nieszczęść. Ale Freya też wiele przeszła, a nie była aż tak zgorzkniała i przepelniona nienawiścią.

Księżyc zaglądał przez oszronione szyby, zmieniając znajome przedmioty swoją poświatą. Kawalek folii aluminiowej lśnił jak okno do innego świata, a gdy Freya obróciła go tak, że jego refleksy oświetliły twarz Toma, chłopak zdał sobie sprawę, że dziewczyna pragnie, aby ją pocałował. Poczul, jakby jakaś dziwna siła zbliżyła do siebie ich usta, a gdy ich wargi zetknęły się, Freya zamruczała z rozkoszy. Wtuliła się w jego ramiona, a on objął ją wpół. Pachniała lekko potem, co na początku zdawało się dziwne, a później bardzo miłe. Jej suknia marszczyła się pod jego palcami, a usta smakowały cynamonem.

Wtedy coś – cichy dźwięk od strony drzwi, powiew chłodnego powietrza w korytarzu – sprawiło, że podniosła wzrok, a Tom zmusił się, by odepchnąć ją łagodnie od siebie.

– Co to było? – zapytała szeptem. – Chyba kogoś usłyszałam...

Korzystając z wymówki, by odsunąć się od jej ciepłego i ponętnego ciała, Tom wycofał się do drzwi.

– Nikogo tu nie ma. To pewnie tylko rury grzewcze. Cały czas coś w nich dzwoni i skrzeczy.

– Tak, wiem, to strasznie denerwujące. Jestem niemal pewna, że kiedyś tak nie hałasowały... – Zbliżyła się, wyciągając ku niemu ramiona. – Tom...

– Muszę iść – odparł. – Już późno. Przepraszam i dziękuję.

Wbiegając po schodach na piętro, próbował zignorować cynamonowy smak Freyi w ustach i myśleć o Hester. Biedna Hester! Wydawała się taka samotna, kiedy rozmawiał z nią przez telefon. Powinien do niej pójść. Położy się tylko na moment, żeby zebrać myśli, a potem ubierze się ciepło i pójdzie do portu lotniczego. Jakie miękkie to łóżko! Zamknął oczy i poczuł, jak pokój wiruje wokół niego. Za dużo wina. To dlatego pocałował Freyę. Przecież tak naprawdę kocha tylko Hester. Więc dlaczego nie potrafił przestać myśleć o Freyi?

– Ty idioto! – powiedział na głos.

Rury nad jego głową zabrzęczały, jakby coś w środku przytaknęło ze zrozumieniem. Ale Tom niczego nie zauważył, ponieważ zapadł już w sen.

Nie tylko Hester widziała, jak Tom i Freya się całowali. Caul siedział samotnie w przedniej kabinie pająkomobila, gdy Skewer i Gargle okradali domy Anchorage, i patrzył znudzony w monitor, przeskakując z jednego kanału na drugi, kiedy widok obejmującej się pary wyrwał go z odrętwienia.

– Tom, aleś się wygłupił – mruknął.

Caulowi podobało się, że Tom jest dla wszystkich taki miły. W Grimsby nie ceniono tej cechy charakteru. Przeciwnie, starsi chłopcy byli zachęceni do znęcania się nad młodszymi, którzy później dorastali, żeby dręczyć następne pokolenie małych złodziei. „Uczcie się!” – mawiał Wujek. „Całe życie składa się z kopniaków i kuksańców!” Ale może Wujek nigdy nie spotkał nikogo takiego jak Tom, który był miły dla innych, nie oczekując niczego w zamian. Bo jak wytłumaczyć fakt, że jest z tą brzydką, nikomu niepotrzebną dziewczyną, sprawiając, że czuła się kochana? Caulowi wydawało się to niemal aktem poświęcenia. Dlatego nie mógł znieść widoku Toma całującego Freyę w ten sposób. Zdradzającego Hester i samego siebie, odrzucającego wszystko, co miał.

A może był do tego trochę zazdrosny.

Nagle dostrzegł niewyraźną twarz w drzwiach do muzeum. Zrobił zbliżenie i rozpoznał Hester wybiegającą na korytarz. Kiedy nastawił kamerę z powrotem na Toma i Freyę, oboje odsunęli się od siebie i spoglądali niepewnie w stronę wyjścia, rozmawiając szeptem. Zaraz potem się pożegnali.

– Och, Hester! – Wyłączył obraz z Komnaty Cudów, przeskakując kolejne kanały, aby ją odszukać. Nie wiedział, dlaczego tak się nią przejął. Może sprawiła to zazdrość o Freyę i Toma. Wiedział, że jeśli dziewczyna zrobi coś głupiego, Tom zostawi margrabinę. Jego ręce zadrżały nerwowo, gdy wciskał kolejne guziki.

Żadna z kamer w pałacu nie odnalazła Hester. Caul przesunął jedną z nich na dach i obrócił, przyglądając się ulicom wokół rezydencji margrabin. Ślady dziewczyny biegły wzdłuż alei Rasmussenów, przypominając długie, nieczytelne zdanie na białej kartce papieru. Caul pochylił się nad ekranem, pocąc się lekko, i zaczął rozstawiać

kamery w porcie lotniczym. Gdzie ona jest?

16. Nocny lot

Akiuqowie wciąż spali. Hester wkradła się do swojego pokoju i wyjęła spod materaca pieniądze, które Pennyroyal dał jej w Airhaven, a potem poszła prosto do hangaru. Odgarnęła śnieg sprzed bramy i otworzyła ją na oścież. Zapaliła światło. Czerwony balon „Jenny Haniver” unosił się nad jej głową, drabiny stały oparte o na wpół pomalowane osłony silników. Niepolakierowane kawałki blachy, którymi załatano dziury w gondoli, lśniły jak skóra na świeżo zabliźnionych ranach. Hester wdrapała się na pokład i włączyła ogrzewanie, a następnie wyszła z powrotem na śnieg, kierując się w stronę zbiorników z paliwem.

Pod skrytą w mroku kopułą hangaru coś zazgrzytało i zachrobotowało.

Nietrudno było zgadnąć, co zamierzała. Caul zabębnił palcami o pulpit sterowniczy i jęknął.

– Nie, Hester! On był pijany! Nie chciał jej pocałować!

Siedział na krawędzi fotela, czując się jak wszechwiedzący bóg, który może obserwować rozgrywające się wypadki, ale nie może ich zmienić.

Tylko że Caul mógł to zrobić. Gdyby tylko Tom wiedział, co się

dzieje, na pewno pobiegłby od razu do portu, przemówił Hester do rozsądku, przeprosił ją, wytłumaczył się. Caul widział już kłócące się i godzące pary i był przekonany, że ten głupi incydent nie musiał oznaczać końca... gdyby tylko Tom wiedział, co się stało.

Lecz jedyną osobą, która mogła mu o tym powiedzieć, był Caul.

– Nie bądź głupi – mruknął do siebie rozzłoszczony, cofając dłonie od klawiatury. – Co cię obchodzi para jeleni? Nic! Nie warto ryzykować „Śrubodźdzownicy”. Nie warto sprzeciwiać się woli Wujka.

Sięgnął znowu w stronę pulpitu. Nie potrafił się powstrzymać. Jeśli Hester ucieknie, on będzie za to odpowiedzialny.

Przełączył się na kamerę w sypialni Toma i zastukał jej nóżkami o rurę. Tom leżał na łóżku z szeroko otwartymi ustami. Pograżony w głębokim śnie, nie zdawał sobie sprawy, że jego życie właśnie wali się w gruzy.

Daj sobie spokój, pomyślał Caul. Próbowalesz go obudzić, nie udało się. Trudno. To już koniec.

Sprawdził, co się dzieje u Hester, a potem wysłał kamerę do opuszczonej willi na górnym pokładzie, gdzie pracowali Skewer i Gargle. Obszukał kolejno wszystkie pokoje, aż wreszcie znalazł ich w kuchni, jak wrzucali do toreb srebrne sztuce. Znowu zastukał nóżką kamery. Trzy stuknięcia, pauza, trzy stuknięcia – natychmiast do bazy! Chude postacie na ekranie podskoczyły nerwowo, rozpoznając kod. Pośpiesznie załadowały do toreb ostatnie łupy i ruszyły do drzwi.

Caul wahał się jeszcze przez moment, przeklinając w duchu swoje miękkie serce i przypominając sobie, co Wujek by z nim zrobił, gdyby się o wszystkim dowiedział. Potem wybiegł z kabiny, wspinał się po drabinie na pograżony w ciszy miejski pokład i popędził w stronę schodów na górę.

Obawiała się, że paliwo w cysternach będzie zamrożone, ale nie doceniła przemyślności kierowników portu lotniczego Anchorage, którzy w ciągu ośmiuset lat potrafili przystosować się do arktycznych mrozów. Paliwo było zmieszane ze specjalnym płynem zapobiegającym powstawaniu bryłek lodu, a aparatura obsługująca pompę stała w ogrzewanym budynku nieopodal głównego zbiornika. Hester zdjęła wąż z widełek, zarzuciła jego ciężką metalową końcówkę na ramię i ruszyła z powrotem do hangaru. Wetknęła wąż do baku pod gondolą, a potem wróciła uruchomić pompę. Gdy bak napełniał się paliwem, weszła na pokład i zaczęła przygotowania do startu. Oświetlenie w gondoli nie zostało jeszcze naprawione, ale lampy w hangarze zupełnie jej wystarczyły. Gdy włączała kolejne przyciski na pulpicie, aparatura obudziła się do życia, a podświetlane wskaźniki wypełniły kabinę bladą poświatą.

Tom obudził się zdziwiony, że w ogóle zasnął. Bolała go głowa, a w jego pokoju ktoś był. Pochylał się nad łóżkiem i dotykał chłodnymi palcami jego policzka.

– Freya? – zapytał.

Ale to nie była margrabina. Przybysz zapalił latarkę, oświetlając swoją bladą twarz okoloną platynowozłotymi włosami. Tomowi wydawało się, że zna wszystkich mieszkańców Anchorage przynajmniej z widzenia, ale jeszcze nigdy nie spotkał tego chłopca. Jego głos również okazał się obcy, miał dziwny miękki akcent, zupełnie inny od akcentu ludzi z Anchorage.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia, Tom! Musisz ze mną pójść. Hester jest na lotnisku. Odlatuje bez ciebie!

– Co? – Tom potrząsnął głową, próbując odpędzić od siebie resztki

snu w nadziei, że pochyłona nad nim postać także zniknie. Co to za chłopak i o co mu chodzi? – Dlaczego miałyby to robić?

– Przez ciebie, idioto! – zawołał nieznajomy. Zerwał z Toma kołdrę i rzucił mu płaszcz. – Jak niby miała zareagować, widząc, jak całujesz Freyę Rasmussen?

– Nieprawda! – odparł Tom wzburzony. – To był tylko... A Hester nie mogła... A ty skąd wiesz? – Jednak nieznajomy już zdążył wybiec z pokoju, kierując się w stronę schodów. Jego niecierpliwość udzieliła się Tomowi, który włożył buty i maskę, narzucił na siebie stary lotniczy płaszcz i podążył za tajemniczym chłopcem na dół, a potem bocznym wyjściem, którego wcześniej nawet nie zauważył, na zewnątrz. Noc była dojmująco mroźna, a miasto wyglądało jak kryształowy sen. Na zachodzie góry Grenlandii sterczały ponad lodem, ich ostre zarysy zdawały się w świetle księżyca bliskie jak na wyciągnięcie ręki. Ponad dachami migotała zorza polarna, a w idealnej ciszy Tom miał wrażenie, że słyszy, jak bzyczy i trzeszczy linia wysokiego napięcia.

W alei Rasmussenów nieznajomy poprowadził go w dół schodów, pomostem biegnącym pod górnym pokładem, a potem kolejnymi schodami w górę – prosto do portu lotniczego. Gdy wyszli znowu na świeże powietrze, Tom uświadomił sobie, że mylił się co do pochodzenia dziwnych hałasów. To trzeszczał lód na otwierającej się kopule hangaru, bzyczenie zaś pochodziło z silników „Jenny” ustawiających się w pozycji startowej.

– Hester! – zawołał, przedzierając się przez śnieg. W otwartym hangarze zapaliły się reflektory. Usłyszał trzask odrzucanej drabinki, a potem metaliczny dźwięk otwieranych zatrząsków cumowniczych. W domu Aakiuqów zapaliły się światła. To nie mogła być Hester,

prawda? Ta ciemna postać w oknach kabiny? Tom rzucił się pędem przez ocean śniegu.

– Hester! Hester! – krzyczał, wciąż nie wierząc, że odleciałyby bez niego. Nie mogła wiedzieć o tym głupim pocałunku, prawda? Zdenerwowała się, kiedy oznajmił jej, że chciałby zostać w mieście dłużej. Teraz dawała mu tylko nauczkę. Jeszcze tylko dziesięć metrów dzieliło go od hangaru, gdy nagle „Jenny Haniver” poderwała się w niebo i obrawszy kurs na południowy wschód, odleciała ku bezkresnym śnieżnym polom.

– Hester! – wykrzyknął, wpadając w gniew. Dlaczego nie mogła po prostu wyznać mu, co czuła, jak normalny człowiek? Dlaczego musiała od razu uciekać bez słowa? Tom odwrócił się do tajemniczego nieznajomego. Chłopak zniknął. Został sam, tylko pan Aakuiq brnął przez zasy i wołał:

– Tom? Co się stało?

– Hester! – odparł Tom cicho i usiadł na śniegu. Czuł, jak łyżwiaki wsiąkają w miękką podszewkę jego maski, gdy światełko na rufie „Jenny”, maleńki okruszek ciepła pośród wielkiego mrozu, niął coraz bardziej w oczach, aż wreszcie stopił się z opalizującym blaskiem zorzy polarnej.

17. W pogoni za Hester

Tom zawrócił w stronę biegnącego pod pokładem pomostu, czując okropną, obezwładniającą pustkę. Od odlotu „Jenny Haniver” minęło kilka godzin. Pan Aakiuq usiłował skontaktować się z Hester przez radio, ale nie uzyskał żadnej odpowiedzi.

– Może go nie włączyła – zauważył. – A może radio w ogóle nie działa. Nie zdążyłem sprawdzić wszystkich urządzeń. A w balonie jest za mało gazu, wypełniłem go tylko na próbę, żeby sprawdzić szczelność powłoki. Och, czemu to biedne dziecko odleciało tak nagle?

– Nie wiem – odparł Tom, mimo iż znał odpowiedź. Gdyby tylko wcześniej zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo nienawidziła tego miejsca. Gdyby poświęcił choć chwilę uwagi jej uczuciom, nim rozkochał się w tym mieście. Gdyby tylko nie zobaczyła go z Freyą! Jednak poczucie winy wciąż przemieniało się w gniew. W końcu ona też nie pomyślała o jego uczuciach. Dlaczego nie mógł tu zostać, jeśli tak mu się podobało? Hester jest taka samolubna. To, że tak bardzo pogardzała miejskim życiem, nie znaczyło, że on także miał zamiar włóczyć się bezdomnie po świecie!

Mimo to musiał ją odnaleźć. Nie wiedział, czy przyjmie go z powrotem ani czy w ogóle jej na nim zależy, ale nie mógł pozwolić,

żeby ich związek skończył się w tak okropny, popaprany sposób.

Gdy wyszedł na powietrze, miejskie silniki właśnie budziły się z pomrukiem do życia. Ruszył w stronę Pałacu Zimowego, stąpając po własnych śladach sprzed kilku godzin. Nie chciał spotykać się z Freyą – jego wnętrzości skręcały się jak płonący papier, gdy przypominał sobie, co zaszło między nimi w Komnacie Cudów – ale któż inny mógł mu pomóc? Jedynie ona miała władzę, by zawrócić miasto i ruszyć w pościg za „Jenny”.

Mijał właśnie siedzibę Głównego Nawigatora, gdy otworzyły się drzwi i wybiegła ku niemu zataczająca się postać w jedwabnej tunice.

– Tom! Tom, czy to prawda? – Oczy Pennyroyala były szeroko otwarte i wybałuszone, a uścisk dłoni na ramieniu Toma mocny i nieustępliwy. – Mówią, że twoja dziewczyna odleciała!

Zawstydzony chłopak kiwnął głową.

– Ale bez „Jenny Haniver”...

Tom wzruszył ramionami.

– Może mimo wszystko pojedę z wami do Ameryki, profesorze...

Odepchnął podróżnika i pobiegł do pałacu. Pennyroyal ruszył niepewnym krokiem z powrotem do swojej rezydencji, mruczając pod nosem:

– Do Ameryki! Ha, oczywiście! Gdzieżby indziej!

Freya czekała już na Toma w pałacu. Siedziała na szezlongu w najmniejszej komnacie audiencyjnej, nie większej od boiska do siatkówki i ozdobionej tyloma lustrami, iż zdawało się, że jest w niej tysiąc Frey i tysiąc zmokniętych Tomów zostawiających na marmurowej posadzce tysiące brudnych kałuż.

– Wasza Promienistość – powiedział – musimy zawrócić.

– Zawrócić? – Margrabina spodziewała się wszystkiego, ale nie tego.

Uradowana wiadomością o odlocie Hester, wyobrażała sobie, że ukoi smutek Toma w swoich ramionach i wytłumaczy mu, że dobrze się stało, a Bogowie Lodu oddali mu wielką przysługę, pozbawiając go towarzystwa tej gburowatej brzyduli. Żeby trafić mu do rozumu, włożyła najpiękniejszą ze swoich sukni i nie zapięła ostatniego guzika pod szyją. Z odsłoniętym dekoltem czuła się niesłychanie odważna i bardzo dorosła. Spodziewała się niejednego, ale nie tego.

– Jak zawrócić? – spytała, parsknąwszy śmiechem. Miała nadzieję, że Tom tylko żartuje. – Po co?

– Ale Hester...

– Nie uda nam się dogonić statku powietrznego, Tom! Zresztą dlaczego mielibyśmy to robić? Chyba zapomniałeś o Wolverinehampton...

Lecz on nawet na nią nie patrzył. Jego oczy szklily się od łez. Zapięła guzik pod szyją, czując nagły wstyd, a potem złość.

– Dlaczego miałabym narażać całe miasto dla szalonej dziewczyny w sterowcu? – zapytała.

– Hester nie jest szalona.

– Ale tak się zachowuje.

– Po prostu się zdenerwowała.

– Tak?! Ja też się zdenerwowałam! – wykrzyknęła Freya. – Myślałam, że ci na mnie zależy! Czy to, co wydarzyło się wczoraj, nic dla ciebie nie znaczy? Myślałam, że zapomniałeś o Hester! Hester jest nikim! To zwykły powietrzny włóczęga i cieszę się, że cię rzuciła! Chcę, żebyś był mój, mój, mój! Chyba rozumiesz, jaki to dla ciebie zaszczyt!

Tom wpatrywał się w nią i nie wiedział, co odpowiedzieć. Nagle zobaczył ją taką, jaka najprawdopodobniej była w oczach Hester.

Grubawą, rozpieszczoną, kapryśną nastolatkę oczekującą, że cały świat dostosuje się do jej widzimisię. Wiedział, że miała rację, odrzucając jego prośbę – zawrócenie całego miasta byłoby szaleństwem – jednak jakimś sposobem fakt, że miała słuszość, sprawił, że wydała mu się jeszcze bardziej nierozsądna. Wybełkotał coś niejasnego i pozbawionego znaczenia, a potem odwrócił się do wyjścia.

– Dokąd się wybierasz?! – zawołała ze złością Freya. – Kto pozwolił ci odejść? Nie wydałam ci takiego zezwolenia!

Jednak Tom nie zamierzał czekać na pozwolenie. Wybiegł z komnaty, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, i zostawił Freyę w towarzystwie jej własnych lustrzanych odbić, które kręciły z niedowierzaniem głowami, jakby chciały zapytać: Co zrobiłyśmy nie tak?

Biegł długimi korytarzami Pałacu Zimowego, ledwo zauważając mijane sale czy ciche brzęki, które od czasu do czasu rozlegały się w rurach lub szybach wentylacyjnych i zdawały się podążać za nim w stronę drzwi. Próbował skupić myśli na tym, co zrobić. Od momentu gdy spadł z pokładu Londynu, Hester cały czas była u jego boku, opiekowała się nim, mówiła, jak postąpić, i kochała go na swój dziki, nieśmiały sposób. A teraz odeszła. On zaś nawet nie wiedziałby o jej ucieczce, gdyby nie ten chłopak...

Po raz pierwszy od odlotu „Jenny Haniver” przypomniał sobie o dziwnym nieznajomym. Kim był? Kimś z maszynowni, biorąc pod uwagę jego ubiór – Tom zapamiętał grube ciemne szaty, tunikę pobrudzoną smarem i sadzą, pomalowane czarną, łuszczącą się farbą mosiężne guziki. – Ale skąd wiedział o Hester? Zwierzyła mu się?

Powiedziała mu to, czego nie mogła powiedzieć Tomowi? Poczł dziwną zazdrość na myśl, że mogła podzielić się swoimi sekretami z kimś innym.

Ale może nieznamy chłopak wiedział również, dokąd poleciała? Tom musiał go odnaleźć, porozmawiać z nim. Wybiegł z pałacu i popędził najbliższymi schodkami na dół do maszynowni, mijając obłoki dymu i rozświetlone kule Scabiousów, aż dotarł do biura głównego inżyniera.

Kiedy Caul wrócił zdyszany i spocony z lotniska, już na niego czekali. Czaili się we włązie pająkomobila, ściskając w rękach noże i pistolety, na wypadek gdyby śledził go jakiś jelen, i wprowadzili go do środka, zatykając mu usta do momentu, gdy upewnili się, że nikt za nim nie przyszedł.

– Co ty sobie wyobrażałeś? – spytał ze złością Skewer. – Co ci do łba strzeliło? Wiesz, że nie wolno opuszczać pająkomobila bez straży. A rozmowa z jeleniem! Co jest? W Kleptorium niczego cię nie nauczyli? Tom! Tom! Szybko! Hester odlatuje bez ciebie! – zaczął piskliwie, przedrzeźniając głos Caula. – Ty bałwanie!

Caul siedział na podłodze w ładowni oparty plecami o torby z łupami, uświadamiając sobie rozmiary i konsekwencje swojego błędu.

– Spieprzyłeś sprawę, Caul – powiedział Skewer, wybuchając nagle śmiechem. – Tym razem naprawdę dałeś ciała. Przejmuję dowództwo nad statkiem. Wujek zrozumie. Kiedy usłysz, co nawyrabiałeś, pożałuje, że od razu nie mianował mnie kapitanem. Dziś wieczór wyślę ryborakietę, aby donieść mu o wszystkim. Koniec z węszeniem dookoła, koniec z nocnymi wypadami, Caul. Koniec z wzdychaniem do

margrabiny... Co? Chyba nie sądzisz, że nie zauważyłem twoich maślanych oczu, kiedy Freya pojawia się na ekranie.

– Ale, Skewer... – jęknął Gargle.

– Morda w kubek! – warknął Skewer i zdzielił go po głowie. Pogroził Caulowi pięścią, gdy ten chciał się ująć za chłopcem, i dodał: – Tobie też radzę siedzieć cicho. Od tej pory to ja ustalę reguły.

Willa pana Scabiousa na górnym pokładzie była zbyt pełna bolesnych wspomnień, dlatego stary inżynier spędzał większość wolnego czasu w biurze. Mieściło się ono w małej chatce na dolnym pokładzie. Wewnątrz stało biurko, kartoteka, leżanka, piecyk naftowy, mała miedziana miska, blaszany emaliowany kubek i niewiele więcej. Żałobne szaty, wiszące na gwoździu na drzwiach, zatrzepotały jak skrzydło kruka, gdy Tom wszedł do środka. Sam inżynier siedział nieruchomo za biurkiem niczym melancholijny posąg. Blask pieców za oknem wdzierał się przez żaluzje, malując twarz mężczyzny w migoczące pomarańczowe prążki. Widząc wchodzącego gościa, posłał mu tylko mroźne i ostre jak sople lodu spojrzenie.

– Panie Scabious – pożalił się Tom. – Hester odleciała! Wsiadła do „Jenny” i odleciała!

Inżynier pokiwał głową, wbijając wzrok w ścianę za plecami chłopca, jakby wyświetlano tam niewidoczny dla innych film.

– Czyli zniknęła. Dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

Tom usiadł strapiiony na leżance.

– Jest taki chłopak. Nigdy wcześniej go nie widziałem. Taki blady, jasnowłosy chłopak z maszynowni, trochę młodszy ode mnie. Sprawiał wrażenie, jakby wiedział wszystko o Hester.

Scabious skoczył na równe nogi i podbiegł do Toma. W jego oczach

zapłonął dziwny blask.

– Też go widziałeś?

Tom cofnął się instynktownie, zdziwiony reakcją głównego inżyniera.

– Miałem nadzieję, że powie mi, dokąd poleciała.

– W mieście nie ma chłopca, którego opisałeś. W każdym razie nie wśród żywych.

– Ale... zdawało mi się, że z nią rozmawiał. Gdyby powiedział mi pan tylko, gdzie go znaleźć...

– Nikt nie może znaleźć Axela. On sam cię znajdzie, jeśli będzie chciał. Nawet ja widziałem go tylko z daleka. Co ci mówił? Wspominał o mnie? Dał ci do przekazania wiadomość dla ojca?

– Wiadomość dla ojca? Nie.

Scabious zdawał się go nie słuchać. Sięgnął do kieszeni kombinezonu i wyciągnął małą, oprawioną w srebro fotografię. Tom widywał już takie małe podręczne kapliczki i gdy inżynier otworzył wieczko, zajrzał ciekawie do środka. Zobaczył postawnego, grubokościstego mężczyznę o blond włosach, który wyglądał jak młodsza wersja samego Scabiousa.

– Och – powiedział – to nie jest chłopak, którego spotkałem. Tamten był młodszy i znacznie szczuplejszy...

Starzec spojrział na niego wstrząśnięty, ale po chwili zmarszczył stanowczo brwi.

– Nie bądź głupcem, Tom! – syknął. – Duchy zmarłych mogą przybierać różne kształty. Mój Axel też był kiedyś młody i szczupły. To naturalne, że postanowił zjawić się na ziemi w tej postaci. Jako przystojny i szczęśliwy młodzieniec z głową pełną marzeń i planów.

Tom nie wierzył w duchy. W każdym razie nie sądził, że w nie

wierzy. „Nikt nie wraca z krainy umarłych”, mawiała Hester. Dla pewności powtórzył to sobie pod nosem kilka razy, wychodząc z biura pana Scabiousa i wspinając się po pogrążonych w mroku schodach na górny pokład. Nieznajomy chłopak nie mógł być widmem. Tom widział jego twarz, czuł jego zapach, a nawet ciepło jego ciała. Widział też ślady stóp na śniegu w drodze do hangaru. One udowodniły jego istnienie.

Jednak kiedy dotarł do portu lotniczego, okazało się, że znowu podniósł się wiatr. Odciski stóp wokół hangaru stały się już tak niewyraźne, że nie sposób było stwierdzić, ile osób je zostawiło. Tajemniczy chłopak mógł być równie dobrze halucynacją albo widmem.

18. Złoto drapieżcy

Hester była wdzięczna wiatrowi. Jego powiew niósł ją co prawda coraz dalej i dalej od Anchorage, ale był bardzo zmienny. Czasami spychał ją na północ, przybierał niespodziewanie na sile lub też zanikał niemal zupełnie. Musiała się skupić na utrzymaniu „Jenny Haniver” na kursie, co bardzo jej odpowiadało, bo dzięki temu mogła nie myśleć o Tomie i o tym, co zamierzała zrobić. Wiedziała, że gdyby zaczęła się nad tym zastanawiać, sumienie nie dałoby jej spokoju i zmusiłoby ją do powrotu do Anchorage.

Jednak czasami, kiedy kładła głowę na pulpicie, żeby trochę się zdrzemnąć, zdarzało jej się rozmyślać o Tomie. Co teraz robi? Czy jest mu przykro, że go opuściła? Czy w ogóle to zauważył? Czy Freya Rasmussen zajęła jej miejsce? Nieważne, powtarzała sobie. Niedługo wszystko będzie takie jak dawniej i znów wyruszą z Tomem na podniebne szlaki.

Drugiego dnia podróży dostrzegła Wolverinehampton. Po nieudanym polowaniu na Anchorage miasteczko skierowało się na południe, gdzie udało mu się schwytać konwój osad wielorybnych, które zboczyły ze szlaku podczas śnieżycy. Były znacznie większe od Wolverinehampton, ale drapieżnik dogonił je szybko, odgryzając im

koła i płozy, a teraz zawracał, by je pożreć. Wyglądało na to, że zajmie mu to co najmniej parę tygodni, i Hester ucieszyła się w duchu, że nie ruszy na zachód za Anchorage i nie pokrzyżuje jej własnych planów.

Mijały szare dni i długie, ciemne noce, aż wreszcie w radiu odezwał się sygnał miasta. Hester poprawiła kurs i po kilku godzinach lotu ujrzała przed sobą Archangielsk.

Na wielkim i hałaśliwym lotnisku drapieżnego kolosa poczuła dziwną tęsknotę za spokojnym Anchorage, a bezczelne zachowanie obsługi naziemnej i celników sprawiło, że z sympatią wspomniała pana Aakiuqa. Połowę pieniędzy od Pennyroyala wydała na paliwo i gaz, resztę zaś ukryła w sekretnym schowku pod pokładem „Jenny”. Następnie, chora ze wstydu na myśl o tym, co zamierzała zrobić, udała się na Giełdę. W wielkim budynku za stacją paliw przyjezdni handlarze spotykali się z miejscowymi kupcami. Kiedy zaczęła rozpytywać o Piotra Masgarda, ludzie odwracali się od niej z obrzydzeniem, a pewna kobieta splunęła jej pod nogi, jednak po chwili miły starszy pan zlitował się nad nią i odciągnął ją na stronę.

– Archangielsk jest inny od większości miast – wyjaśnił, prowadząc ją w stronę stacji wind. – Bogaci nie mieszkają tu na górnym pokładzie, tylko w głębi, gdzie jest najcieplej, w dzielnicy zwanej Rdzeniem. Młody Masgard ma tam willę. Wsiądź na stacji Kael i zapytaj kogoś o drogę.

Uczynny dżentelmen przyglądał się jej, gdy kupowała bilet i wsiadła do windy. Potem zakasał powłóczyście szaty i pokłusował do sklepu mieszczącego się w sporym baraku po drugiej stronie lotniska. Nad jego wejściem wisiał szyld „U Blinkoe’a. Antyki i Stara Technologia”.

– Szybko, żony! – wysapał, wpadając na zaplecze. Pięć pań Blinkoe podniosło leniwie głowy znad książek i haftów. – Jest tutaj! Ta

dziewczyna! Ta brzydka! Tyle tygodni bezskutecznych poszukiwań i nagle wchodzi na Giełdę w biały dzień, jakby nigdy nic! Prędko, musimy się przygotować! – zawołał, zacierając ręce i już zastanawiając się, na co wyda nagrodę, jaką Zielona Burza zapłaci za dostarczenie Hester i „Jenny Haniver” do Gniazda Szerszeni.

Rdzeń okazał się osobliwym miejscem. Była to olbrzymia hala hucząca od pracy miejskich silników, zasnuta dymem i parą wodną, poprzecinana setkami pomostów, torów i szybów wind. Zabudowania stały stłoczone na podwyższonych platformach lub wisiały przylepione do masywnych, dźwigających strop słupów niczym gniazda os. Niewolnicy w żelaznych obrożach zamiatali chodniki. Obok odziani w skóry nadzorcy z batami w dłoniach gnali ich towarzyszy na mróz do niehumanitarnej pracy. Hester starała się nie zwracać na nich uwagi, tak samo jak na bogate damy prowadzące małych chłopców na smyczach oraz na mężczyznę kąpiącego niemilosierdzie niewolnika, który otarł się przypadkiem o jego ramię. To nie był jej problem. Archangielsk to miasto, w którym bogaci robią, co chcą.

Bramy Willi Masgarda strzegły żeliwne posągi wilczego boga Eisengrima. Wewnątrz, w przestronnej sieni płonęły gazowe znicze, rzucając migotliwe refleksy na stalowe ściany. Karlica z wysadzaną drogimi kamieniami obrożą przyjrzała się Hester od stóp do głów i zapytała, w jakiej sprawie przyszła. Hester powiedziała jej to samo co strażnikom przed bramą.

– Mam informację dla Wilczego Stada.

Pod ciemnym wysokim sklepieniem rozległ się warkot silników i Masgard zleciał do niej, siedząc na skórzanej sofie huśtającej się pod

niewielkim balonem i sterowanej za pomocą śmigła zainstalowanego za zagłówkiem. Był to kanapolot, zabawka dla znudzonych bogaczy. Masgard zawisł w powietrzu przed Hester, rozkoszując się jej zaskoczoną miną. Niewolnica otarła przymilnie głowę o jego nogę, łasząc się jak kocica.

– No, no, no – ozwał się gospodarz. – Znam cię! Jesteś tą pokiereszowaną dziewczyną z Airhaven. Przyszłaś przyjąć moją propozycję?

– Przyszłam powiedzieć, gdzie znajdziecie zdobycz – odparła Hester, starając się zapanować nad drżącym głosem.

Masgard przyglądał jej się w milczeniu, studiując grę wstydu i strachu na zeszpeconej twarzy. Jego miasto było zbyt duże, by przetrwać bez pomocy mętów takich jak ona, i nienawidził jej za to.

– A więc? – zapytał w końcu. – Jaką osadę chcesz nam wydać na żer?

– To nie osada, lecz miasto – odrzekła Hester. – Anchorage.

Masgard robił, co mógł, żeby wciąż wyglądać na śmiertelnie znudzonego rozmową, ale Hester dostrzegła w jego oczach iskrę zainteresowania.

– Na pewno słyszał pan o Anchorage, panie Masgard – dodała, żeby podsycić jego ciekawość. – O pięknych willach, w których roi się od wszelkich bogactw, o największym na świecie kole napędowym i o wspaniałych silnikach zwanych kulami Scabiousów. Ten łakomy kąsek jedzie teraz u podnóża Grenlandii, kierując się na zachód.

– Dlaczego?

Hester wzruszyła ramionami. Uznała, że lepiej nie wspominać o podróży do Ameryki. Kto uwierzyłby w tak głupi pomysł?

– Nie wiem. Może mieszkańcy usłyszeli, że znajdą tam mnóstwo starej technologii, i postanowili pojechać na wykopaliska. Jestem

przekonana, że uda się panu wyciągnąć wszystkie te informacje od ich pięknej młodej margrabiny...

Masgard wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Julianna, którą właśnie poznałaś, była córką margrabiego, nim wielki Archangielsk pożarł miasto jej tatusia.

– To niech pan pomyśli, jaką ozdobą pańskiej kolekcji stanie się Freya Rasmussen – powiedziała beznamiętnie Hester. Porzuciła wszelkie skrupuły, nie czuła absolutnie niczego z wyjątkiem lekkiej dumy, że potrafi być tak okrutna. – A jeżeli chcielibyście przekąskę po drodze, mogę wam sprzedać kurs Wolverinehampton, które właśnie pożarło stado osad wielorybnych.

Masgard złapał przynętę. Słyszał już o Anchorage i Wolverinehampton od Widgery’ego Blikoe’a parę dni wcześniej, lecz kupiec nie potrafił podać aktualnej pozycji drapieżnego miasteczka. Jeśli zaś chodzi o Anchorage, Masgard wątpił, by mogło się zapuścić tak daleko na zachód. Jednak ta szkaradna dziewczyna zdawała się wiedzieć, o czym mówi, a potwierdzenie jej słów ze strony Blikoe’a na pewno wystarczy, żeby przekonać Radę do zmiany kursu. Odczekał jeszcze chwilę, żeby dać dziewczynie odczuć, jak nisko upadła, przychodząc do niego, a potem otworzył schowek w poręczy latającej sofy i wyjął z niej kartkę grubego pergaminu. Niewolnica podała papier Hester. Widniały na niej gotyckie litery oraz pieczęcie z imionami bóstw Archangielska – Eisengrima i Thatcher.

– To kontrakt – wyjaśnił Masgard, unosząc się na kanapolocie. – Jeśli twoje informacje okażą się prawdziwe, po schwytaniu Anchorage możesz zgłosić się po zapłatę. Szczegóły na temat obu osiedli przekażesz mojemu kanceliście.

Hester potrząsnęła głową.

– Nie robię tego dla złota.

– Nie?

– Na pokładzie Anchorage przebywa Tom Natsworthy. To chłopak, którego widział pan ze mną w Airhaven. Przekażecie mi go, gdy pożrecie miasto. Tylko nie mówcie mu, że wszystko zostało ukartowane. Chcę, żeby myślał, że go uratowałam. Wszystko inne na pokładzie tego cholernego miasta jest wasze, zależy mi tylko na Tomie. On będzie moją zapłatą.

Masgard przypatrywał się jej przez chwilę z wysokości fruwającej kanapy, nie kryjąc zdziwienia. Potem odrzucił głowę i wybuchł głośnym rechoczącym śmiechem.

Czekając na winde, która miała ją zabrać z powrotem na lotnisko, poczuła pod stopami drżenie płyt pokładowych. Archangielsk ruszał na polowanie. Poklepała się po kieszeni, po raz kolejny sprawdzając, czy kontrakt Masgarda jest na swoim miejscu. Jak Tom się ucieszy, kiedy ocali go od niewoli w trzewiach tego potwornego miasta! Jak łatwo zapomni o margrabinie, gdy znowu wzbiją się w powietrze w gondoli „Jenny Haniver”!

Zrobiła, co musiała, i nie było już odwrotu. Pomyślała, że weźmie ze sterowca trochę rzeczy, a potem znajdzie pokój w jakimś hoteliku i przeczeka tam podróż.

Kiedy stanęła ponownie na płycie lotniska, zapadł już zmrok, a w powietrzu tańczyły płatki śniegu. Z tanich tawern za dokami dochodziły salwy rubasznego śmiechu i dźwięki skocznej muzyki, wybuchające ze wzmożoną siłą, ilekroć ktoś otwierał drzwi. W szarym świetle latarni stały olbrzymie statki handlowe o obco brzmiących nazwach, a na pokładzie pod ich balonami kładły się atramentowe

złowrogie cienie. Czując narastającą niepewność, ruszyła w stronę stanowiska, gdzie przycumowała „Jenny Haniver”. Znalazła się w niebezpiecznym mieście, musiała mieć się na baczności.

– Panno Shaw! – usłyszała za sobą. Sięgnęła po nóż, ale gdy się odwróciła, rozpoznała starego uczynnego kupca, który pomógł jej trafić do Masgarda. – Odprowadzę panią do statku, panno Shaw. Na pokładzie roi się od śnieżnych nomadów, to bardzo niebezpieczne typy. Młoda dama nie powinna spacerować samotnie. Pani statek to „Jenny Haniver”, zgadza się?

– Tak – odparła Hester, zastanawiając się, skąd to wiedział. Uznała, że musiał ją o to zapytać już wcześniej albo przeczytał po prostu tablicę przylotów.

– Widziała się już pani z Masgardem? – spytał przyjaznym głosem i wziął ją łagodnie za rękę. – Czy ma to jakiś związek z naszym nagłym skretem na zachód? Sprzedała mu pani jakieś miasteczko?

Pokiwała głową.

– Sam pracuję w bardzo podobnej branży – oznajmił kupiec i pchnął ją z impetem na metalowy wspornik pod sterowcem o nazwie „Tymczasowe Zawierowania”. Hester stęknęła, zdumiona. Już miała wezwać pomocy, gdy coś ukuło ją w szyję. Handlarz cofnął się o krok, dysząc ciężko. Mosiężna strzykawka błysnęła w świetle latarni, gdy chował ją do kieszeni.

Hester próbowała podnieść rękę do szyi, lecz narkotyk działał szybko i nie panowała już nad mięśniami. Usiłowała krzyknąć, ale wydała tylko głuchy jęk. Zrobiła krok do przodu i upadła na ziemię tuż obok butów podstępного kupca.

– Bardzo mi przykro – usłyszała dziwnie odległy głos. – Mam pięć żon na utrzymaniu, a wszystkie mają bardzo kosztowne upodobania,

sama rozumiesz.

Hester jęknęła znowu i jej ślina pociekła na pokład.

– Nie przejmuj się! – pocieszył ją. – Zabieram cię tylko do Gniazda Szerszeni na przesłuchanie. To wszystko.

– Ale Tom... – zdołała wyjąkać.

Obok pojawiła się druga para butów, modnych i drogich damskich kozaków.

– Jesteś pewien, że to ona, Blinkoe? – zatrajkotał kobiecy głos.

– Uuu, jaka ohydna! – odezwał się inny.

– Taka brzydula nie może być nic warta!

– Dziesięć tysięcy w gotówce – odparł uradowany Blinkoe. – Zabiorę ją do Gniazda Szerszeni jej własnym statkiem i wezmę „Zawirowania” na hol, żeby mieć czym wrócić. Nim się obejrzyicie, przylecę z torbami pełnymi forsy. Pilnujcie sklepu, kochane.

– Nie! – próbowała wykrzyknąć Hester. Jeśli ją zabierze, nie będzie mogła ocalić Toma. Zostanie pożarty wraz z innymi i cały jej plan pójdzie na marne... Lecz chociaż usiłowała protestować, gdy Blinkoe sięgał po klucze, nie mogła się ruszyć ani nawet mrugnąć okiem. Najgorsze było jednak to, że nie straciła przytomności. Patrzyła bezsilnie, jak kupiec i jego żony wnoszą ją na pokład „Jenny Haniver” i przygotowują się do startu.



CZEŚĆ 2

19. Komora pamięci

Obudził ją silny strumień lodowatej wody, odrzucając ją na ścianę wyłożoną białymi kafelkami. Otworzyła usta, próbując zaczerpnąć tchu i woda zalała jej gardło. Odgarnęła lepiące się do czoła mokre włosy. Zobaczyła zimny biały pokój oświetlony pojedynczą argonową kulą i mężczyzn w białych uniformach, oblewających ją strumieniami wody ze szlauchów.

– Dosyć! – zawołał kobiecy głos.

Mężczyźni zakręcili krany i odwiesili gumowe węże na metalowe haki wbite w ścianę. Hester odkasznęła, wypluwając lodowatą wodę na kamienną posadzkę. Mętne strzępy wspomnień zaczęły wdzierać się do jej świadomości – Archangielsk, kupiec, niejasne chwile, gdy budziła się z ciężkiego snu w kajucie „Jenny”, by zdać sobie sprawę, że jest związana. Szarpała się, próbowała się oswobodzić, krzyczała. Wtedy zjawiał się ten człowiek, przeproszał ją i znowu to ukłucie w szyję, i znowu ciemność. Uśpił ją narkotykami i wywiózł oszołomioną z Archangielska aż tutaj... Gdziekolwiek to jest.

– Tom! – jęknęła.

Zbliżyły się do niej nogi w ciężkich butach. Podniosła wzrok, spodziewając się kupca, ale była to młoda kobieta w białym mundurze

z brązową odznaką kapitana Ligi na piersi i opaską z zieloną błyskawicą na ramieniu.

– Ubrać ją – warknęła kobieta i mężczyźni poderwali Hester za włosy do góry. Nie tracąc czasu, żeby ją wytrzeć, wcisnęli jej osłabione ciało w szary bezkształtny kombinezon i wypchnęli bosą z białego pomieszczenia. Ruszyli w głąb wilgotnego, wykutego w skale korytarza. Na ścianach wisiały plakaty ze statkami powietrznymi atakującymi ruchome miasta oraz pięknymi mężczyznami i kobietami w białych mundurach patrzącymi na wschód słońca nad zielonym wzgórzem. Pod spodem widniały hasła w nieznanym Hester językach. Po drodze mijali ich inni żołnierze, dudniąc głucho butami o kamienną posadzkę. Większość z nich była niewiele starsza od Hester, ale wszyscy nosili przy bokach miecze i mieli butne miny ludzi przekonanych o własnej słuszności.

Na końcu korytarza znajdowały się stalowe drzwi, a za nimi ciasna cela z wysokim sklepieniem i pojedynczym okienkiem. Pod popękany betonowym stropem biegły rury grzewcze, ale nie dawały żadnego ciepła. Hester dygotała z zimna. Cienki materiał kombinezonu nie dawał ciepła wilgotnej jeszcze skórze. Ktoś rzucił jej ciepły płaszcz. Zdała sobie sprawę, że to jej własny, i okryła się nim z wdzięcznością.

– Gdzie jest reszta? – wymamrotała niewyraźnie. Szczękała zębami, jeszcze odczuwała działanie narkotyku. – Reszta moich rzeczy?

– Buty – oznajmiła pani kapitan, biorąc je od jednego z mężczyzn i podając Hester. – Reszta została spalona. Nie martw się, nie będziesz ich potrzebować.

Drzwi się zatrzasnęły. Klucz zazgrzytał w zamku, zaszurały buty oddalających się żołnierzy. Zza okna dochodził szum morskich fal

objających się o skalisty brzeg gdzieś w dole. Owinęła się płaszczem, usiadła na zimnej posadzce i wybuchnęła płaczem. Nie myślała o sobie ani nawet o Tomie, ale o spalonych ubraniach. O kamizelce z fotografią Toma w kieszeni, o ukochanej czerwonej chuście, którą kupił dla niej w Peripatetiapolis. Teraz nic jej po nim nie pozostało.

Mrok za okienkiem bladł powoli, stopniowo ustępując brudnej szarości. Stalowe drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Do celi zajrzała surowa żołnierska twarz.

– Wstawać, dzikusko. Pani komandor czeka.

Pani komandor czekała w przestronnym, czystym pokoju o ścianach pomalowanych cienką warstwą białej farby, spod której przebijały niewyraźne postacie nimf i delfinów. Siedziała za wielkim metalowym biurkiem, jej śniade palce bębniły nerwowo o dużą brązową kopertę. Wstała dopiero, gdy strażnicy prowadzący Hester zasalutowali.

– Możecie odejść – powiedziała im.

– Ale, pani komandor... – odezwał się jeden z nich.

– Myślę, że poradzę sobie z jedną chudą dzikuską. – Odczekała, aż zamkną za sobą drzwi, a potem wyszła wolno zza biurka, ani na chwilę nie spuszczając Hester z oka.

Hester widziała już kiedyś to mroczne, nieustępliwe spojrzenie. Pani komandor okazała się Sathya, uwielbiającą Annę Fang dziewczyną, którą poznała w Batmunkh Gompa. Jakoś wcale jej to nie zaskoczyło. Odkąd przybyła do Anchorage, jej życie kierowało się dziwną logiką snu. Wydawało się naturalne, że na końcu swojej drogi spotka wrogą twarz. Od ich ostatniego spotkania minęło dwa i pół roku, ale Sathya wyglądała znacznie starzej, jakby dla niej upłynęło

dużo więcej czasu. Jej twarz stała się pociągła i ponura, a ciemne oczy nabrały wyrazu, którego Hester nie potrafiła rozszyfrować. Jak gdyby wściekłość, duma i strach zmieszały się tak dokładnie, że przemieniły się w nową jakość.

– Witaj w Bazie – powiedziała chłodno Sathya.

Hester rozejrzała się dookoła.

– Co to za miejsce? Gdzie jesteśmy? Nie wiedziałam, że Liga ma jeszcze jakieś bazy na Północy, od kiedy upadł Spitsbergen.

Sathya uśmiechnęła się krzywo.

– To mało o nas wiesz, panno Shaw. To prawda, że Wysoka Rada rozkazała wycofać wojska z okolic podbiegunowych, ale niektórzy z nas nie godzą się z porażką tak łatwo. Zielona Burza wciąż ma na Północy kilka tajnych obozów. Ponieważ już nigdy się stąd nie wydostaniesz, mogę ci zdradzić, że to Gniazdo Szerszeni, wyspa położona jakieś trzysta kilometrów na południe od Grenlandii.

– Naprawdę? – ironizowała Hester. – Rozumiem, że przyjechałaś tu z powodu wspaniałego klimatu.

Sathya spoliczkowała ją tak mocno, że Hester aż zamroczyło.

– Anna Fang wychowała się w tej okolicy. Jej rodzice handlowali z miasteczkami Północy, do momentu gdy zostali schwytani przez Archangielsk i zniewoleni.

– Jasne. W takim razie jesteś tu z sentymentu – mruknęła Hester. Zesztywniała, oczekując następnego uderzenia, ale Sathya odwróciła się tylko w stronę okna.

– Trzy tygodnie temu zniszczyliście nasze sterowce nad górami Tannhauser – powiedziała.

– Tylko dlatego, że zaatakowały nasz statek – odparła Hester.

– To nie jest wasz statek – ucięła dziewczyna. – Tylko Anny. Tamtej

nocy, gdy Anna zginęła, ukradłaś go ze swoim barbarzyńskim kochankiem. Gdzie on się teraz podziewa? Porzucił cię?

Hester wzruszyła ramionami.

– Co robiłaś na pokładzie Archangielska?

– Zdradziłam kilka miast Wilczemu Stadu Masgarda.

– Wcale mnie to nie dziwi. W końcu masz to we krwi.

Hester zmarszczyła brwi. Czy Sathya zaciągnęła ją aż tutaj, żeby jej ubliżyć i obrażać jej rodziców?

– Jeśli chodzi o to, że moja mama wykopała Meduzę, to rzeczywiście było to z jej strony bardzo głupie, ale nigdy nikogo nie zdradziła.

– Nie – przyznała Sathya. – Ale twój ojciec...

– Mój ojciec był rolnikiem! – wykrzyknęła Hester z gniewem. Nie mogła zrozumieć, dlaczego ta obca dziewczyna obraża pamięć jej biednego ojca, który nigdy nie zrobił nikomu nic złego.

– Kłamiesz – syknęła Sathya. – Twoim ojcem był Thaddeus Valentine.

Hester spojrzała w okno. Na zewnątrz padały drobne płatki śniegu. Z szarego zimowego morza sterczały góry lodowe, tnące wzburzone fale niczym kadłuby wielkich białych okrętów.

– To nieprawda – jęknęła cicho.

Sathya wyciągnęła z koperty gęsto zapisaną kartkę papieru.

– To raport, jaki Anna przedstawiła Wysokiej Radzie, kiedy przywiozła was do Batmunkh Gompa. Chcesz wiedzieć, co o tobie napisała? O, proszę: „Dwoje młodych ludzi: zupełnie niegroźny, choć godzien podziwu czeladnik Cechu Historyków z Londynu i biedna dziewczyna z zeszpeconą twarzą o imieniu Hester, która jest według mnie zaginioną córką Pandory Rae i Thaddeusa Valentine’a”.

– Mój tata to David Shaw, z Dębowej Wyspy... – zaprotestowała

bezsilnie Hester.

– Twoja matka miała wielu kochanków, nim wyszła za Davida Shawa – oświadczyła Sathya z naganą w głosie. – Jednym z nich był Valentine. Jesteś jego dzieckiem. Anna nie napisałaby czegoś takiego, gdyby nie była tego pewna.

– Mój tata to David Shaw – powtórzyła Hester, ale wiedziała, że to nieprawda. W głębi duszy podejrzewała, że Valentine był jej ojcem, już od przeszło dwóch lat. Od momentu gdy ich spojrzenia spotkały się w katedrze londyńskiej nad ciałem jego konającej córki. Coś zaiskrzyło wtedy między nimi – jakiś rodzaj porozumienia, który wyparła z siebie natychmiast. Nie chciała, żeby Valentine okazał się jej ojcem. Jednak w głębi duszy cały czas wiedziała, że nim był. Nic dziwnego, że nie potrafiła zdobyć się na to, żeby go zabić!

– Anna myliła się co do was – powiedziała Sathya, odwracając się i podchodząc do okna. Śnieg przestał padać, a słońce przedzierające się przez chmury rozjaśniło gdzieniegdzie szarą powierzchnię morza.

– Ty nie zaginęłaś, a Tom wcale nie był niegroźny. Oboje współpracowaliście z Valentine'em. Wykorzystaliście dobroć Anny, żeby dostać się do Batmunkh Gompa i pomóc w spaleniu naszej floty.

– Nieprawda! – zaprotestowała Hester.

– Zwabiliście Annę w ustronne miejsce, żeby Valentine mógł ją zabić, a potem ukradliście jej statek.

– Mylisz się! To nie tak! – potrząsnęła głową Hester.

– Przestań się wykręcać! – zawołała Sathya, zwracając się znowu w jej stronę. Miała łzy w oczach.

Hester próbowała przypomnieć sobie tamtą noc w Batmunkh Gompa. Jej wspomnienia zlały się już w jeden wielki obraz rozbuchanych płomieni i biegających dookoła przerażonych ludzi, ale

coś podpowiadało jej, że Sathya nie zachowała się wtedy, jak powinna. Mimo wielkich, przepełnionych wolą walki słów zostawiła swoją ukochaną Annę samą. Hester wiedziała, że nie można sobie wybaczyć takiego czynu. Można tylko starać się o tym zapomnieć lub pogrążyć się w rozpacz.

Albo znaleźć sobie winnego. Na przykład kogoś takiego jak córka Valentine'a.

– Już niedługo zapłacisz za to, co zrobiłaś – powiedziała Sathya. – Teraz jednak możesz nam się na coś przydać. – Wzięła z biurka pistolet i wskazała lufą niepozorne drzwi w ścianie naprzeciwko. Hester podeszła do nich, nie zastanawiając się nawet nad tym, co znajduje się po drugiej stronie. Mogła myśleć tylko o jednym. Córka Valentine'a, powtarzała sobie. Córka Valentine'a otwiera drzwi. Córka Valentine'a schodzi po metalowych schodkach. Córka Valentine'a. Nic dziwnego, że ma taki charakter. Nic dziwnego, że sprzedała Archangielskowi miasto pełne dobrych ludzi, nie odczuwając prawie żadnych wyrzutów sumienia. Była córką Valentine'a, miała to we krwi.

Schody prowadziły do wąskiego tunelu, który kończył się czymś w rodzaju przedsionka. Dwóch wartowników zlustrowało Hester zimnym wzrokiem zza przyciemnionych szyb hełmów. Obok ciężkich stalowych drzwi stał trzeci mężczyzna. Nerwowy drobny człowieczek o zaczerwienionych króliczych oczkach, obgryzający nieustannie paznokcie. Jaskrawe światło argonowych lamp pod stropem odbijało się od jego lśniącej łysej czaszki. Na jego czole, tuż nad brwiami, czerwienił się niewielki tatuaż w kształcie koła.

– To londyński inżynier! – zawołała Hester. – Myślałam, że wszyscy zginęli...

– Kilku przeżyło – oznajmiła Sathya. – Po pożarze Londynu zostałam dowódcą szwadronu, który miał za zadanie schwytać uciekinierów z płonącego wraku. Większość została zesłana na roboty przymusowe w głąb terytorium Ligi. Ale kiedy przesłuchiwałam doktora Popjoya i dowiedziałam się, czym się zajmował, zdałam sobie sprawę, że możemy wykorzystać jego wiedzę.

– Do czego? Myślałam, że Liga brzydzi się technologią.

– W naszych szeregach zawsze byli ludzie, którzy uważali, że nie powinniśmy cofać się przed żadnymi środkami w walce z mobilizmem – odparła Sathya. – Po tym, co ty i twój ojciec zrobiliście w Batmunkh Gompa, ich głosy zyskały szersze uznanie. Stworzono tajemne stowarzyszenie wojskowych – Zieloną Burzę. Kiedy powiedziałam im o Popjoyu, od razu dostrzegli jego potencjał i zgodzili się pomóc mi w zorganizowaniu tej bazy.

Inżynier wyszczerzył żółte zęby w nerwowym uśmiechu.

– Więc to jest Hester Shaw? – zapytał. – Może okazać się bardzo pomocna. O tak. Ktoś, kto był przy samej śmierci. Jej obecność w Komorze Pamięci może dostarczyć impulsu, jakiego potrzebujemy.

– Dość gadania, doktorze Popjoy – ucięła Sathya i Hester zdała sobie sprawę, że ona także bardzo się denerwuje.

Popjoy przesunął dźwignie na drzwiach i elektromagnetyczne zamki otworzyły się z głuchym metalicznym trzaskiem. Strażnicy wyprężyli się nerwowo, odbezpieczając karabiny. Żołnierze – uświadomiła sobie Hester – nie strzegli tego miejsca przed ludźmi, którzy chcieliby dostać się do środka. Chodziło raczej o to, żeby ktoś nie mógł wyjść na zewnątrz.

Pancerne drzwi rozchyliły się ze zgrzytem.

Później Hester miała się dowiedzieć, że Komora Pamięci mieściła się

w starym zbiorniku na paliwo, w jednej z kilkunastu kulistych stalowych cystern porozstawianych na całej wyspie, ale na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie monstrualnie wielkiego pokoju o pokrytych rdzą ścianach, z kopułą i wklęsłą jak miska podłogą. Wszędzie dookoła porozlepiano powiększone do rozmiaru plakatów ziarniste zdjęcia ludzkich twarzy, fotografie Londynu, Archangielska i Marsylii. Wisiał tam także malowany na jedwabiu i oprawiony w kość słoniową obraz Batmunkh Gompa. Na białych ekranach puszczano bez przerwy porysowane fragmenty jakichś starych rodzinnych filmów z roześmianą dziewczynką o blond włosach, baraszkującą na zielonej łące, i młodą kobietą palącą fajkę z długim cienkim cybuchem i wydmuchującą dym w stronę kamery.

Nagle Hester ogarnął dziwny, nieuzasadniony lęk.

Dookoła pomieszczenia pod ścianami zbudowano pomost, z którego biegła wąska kładka do platformy wzniesionej w centrum. Tam, na samym środku, stała podobna do mnicha postać w szarej szacie. Gdy Sathya i Popjoy weszli na kładkę, Hester próbowała pozostać z tyłu, lecz strażnik pchnął ją silnie do przodu. Sathya zatrzymała się na platformie i wyciągnęła rękę, by dotknąć ramienia tajemniczej postaci. Płakała, na jej oświetlonej rozproszonym światłem twarzy zalśniły łzy.

– Mam dla ciebie prezent, najdroższa – powiedziała cicho. – Gościa. Kogoś, kogo na pewno pamiętasz!

Postać odwróciła głowę, ukazując twarz, która niegdyś należała do Anny Fang.

20. Nowy model

Doktor Popjoy wykonał dla nowych mocodawców kawał dobrej roboty. Oczywiście zarówno on, jak i jego londyńscy koledzy od lat studiowali budowę Łowców. Wiele dowiedzieli się od Shrike'a, mechanicznego płatnego zabójcy, który kiedyś adoptował Hester. Stworzyli nawet własne cyborgi, Hester widziała ich oddziały maszerujące ulicami Londynu tuż przed wybuchem Meduzy. Jednak w porównaniu z tamtymi bezmyślnymi automatami cyborg, którego zobaczyła przed sobą, wyglądał jak najnowszy model powietrznego jachtu Serapis w zestawieniu ze starym, rozwalającym się balonem towarowym.

Był smukły i pełen gracji, wzrostem nie różnił się od żywej panny Fang. Jego twarz została ukryta pod spiżową maską pośmiertną lotniczki, a rurki i kable, które sterczały z jego czaszki, ułożono skrupulatnie w taki sposób, że imitowały włosy. Gdy przyglądał się Hester, jego głowa drgała nieznacznie jakby z ciekawości i wyglądał przy tym tak ludzko, iż na moment dziewczyna uwierzyła, że inżynierowi rzeczywiście udało się wskrzesić pannę Fang.

– Jeszcze sobie nie przypomniała, ale nie możemy tracić nadziei – zaczęła mówić Sathya urywanym, nerwowym głosem. – Ta komora

służy jej za pamięć, dopóki nie wrócą jej własne wspomnienia. Zebraliśmy tu fotografie wszystkich ludzi, jakich знаła, miejsc, które odwiedziła, miast, z którymi walczyła, jej kochanków i wrogów. Na pewno odzyska pamięć. Przywróciliśmy ją do życia dopiero kilka miesięcy temu...

Nagle zamilkła, jakby zdała sobie sprawę, że przepełniony nadzieją słowotok, jaki z siebie wyrzuciła, czynił to, co zrobiła, jeszcze bardziej ohydny. Echo pod wielką kopułą powtarzało za nią szeptem: „temu, temu, temu”...

– O bogowie! – odezwała się Hester. – Dlaczego nie pozwoliliście jej po prostu spoczywać w pokoju?

– Bo jej potrzebujemy! – wykrzyknęła Sathya. – Liga się zatraciła! Potrzebujemy nowych przywódców. Anna była z nas najlepsza i wskaże nam drogę do zwycięstwa!

Łowca poruszył lekko ręką, wysuwając z palców cienkie błękitne ostrza.

– Ale to nie jest Anna – powiedziała Hester. – Nikt nie wraca z Krainy Bez Słońca. Waszemu inżynierkowi udało się wskrzesić jej ciało, ale to nie ona. Znałam jednego zmartwychwstańca. Oni nie pamiętają, kim byli za życia, nie są już tymi samymi osobami. Wszczepiając martwemu człowiekowi do mózgu tę całą starożytną elektronikę, nie ożywasz go, tylko tworzysz kogoś innego. To tak jakby do domu wprowadził się nowy lokator...

Sathya nie odpowiedziała, choć jej wargi poruszyły się, jakby próbowała zabrać głos.

Popjoy zachichotał.

– Nie wiedziałem, że jest pani ekspertem od zmartwychwstańców, panno Shaw. Oczywiście ma pani na myśli stary model znany jako

Shrike. To bardzo toporna konstrukcja. Przed zainstalowaniem elektronicznych urządzeń w mózgu panny Fang, zaprogramowałem je na wyszukiwanie ośrodków pamięci. Jestem przekonany, że uda nam się przywołać wspomnienia, które się tam kryją. Właśnie do tego służy ta komora. Ma stymulować obiekt, nieustannie przypominając mu poprzednie życie. Wszystko zasadza się na znalezieniu odpowiedniego mnemonicznego klucza – zapachu, przedmiotu, twarzy. Na tym właśnie polega pani zadanie.

Sathya pchnęła Hester i dziewczyna stanęła zaledwie kilka centymetrów od Łowcy.

– Spójrz, najdroższa! – oznajmiła radośnie. – To Hester Shaw! Córka Valentine’a! Pamiętasz, jak znalazłaś ją w Zewnątrz i przywiozłaś do Batmunkh Gompa? Była przy tobie, kiedy umarłaś!

Cyborg pochylił się nad Hester. Pod spiżową maską czarny martwy język oblizwał spękane wargi.

– Nie znam tej dziewczyny – oznajmił chropawym, świszczącym głosem.

– Ależ znasz, Anno! – nie ustępowała Sathya. – Musisz ją znać! Przypomnij sobie!

Łowca podniósł wzrok, omiatając spojrzeniem setki zdjęć na ścianach i suficie kulistego więzienia. Byli tam rodzice panny Fang i Stilton Kael, jej pan z czasów niewoli w Archangielsku, Valentine i kapitan Khora, a nawet Pandora Rae, lecz brakowało wśród nich zniekształconej twarzy Hester. Jeszcze raz skierował soczewki mechanicznych oczu na dziewczynę.

– Nie znam jej – oznajmił. – Nie jestem Anną Fang. Traciecie tylko czas, nędzni śmiertelnicy. Chcę stąd wyjść.

– Oczywiście, Anno, ale musisz odzyskać pamięć. Potem zabierzemy

cię do domu. Wszyscy w Lidze cię uwielbiają, kiedy usłyszą, że wróciłaś, powstaną i pójdą za tobą.

- Pani komandor – wtrącił się Popjoy, wycofując się w stronę kładki.
- Myślę, że powinniśmy już wyjść...
- Nie jestem Anną Fang – powtórzył zmartwychwstaniec.
- Pani komandor, naprawdę uważam...
- Proszę, Anno!

W instynktownym odruchu Hester chwyciła Sathyę za ramię i odepchnęła do tyłu. Pazury Łowcy błysnęły zaledwie centymetr od gardła dziewczyny. Strażnik uniósł karabin i cyborg zawahał się na chwilę, a cała „delegacja” uciekła w popłochu na mostek. Gdy dobiegli do drzwi, wartownik przy wejściu pchnął dużą czerwoną dźwignię. Nad framugą zapaliła się lampka ostrzegawcza.

- Nie jestem Anną Fang! – krzyknął cyborg.

Przestępując próg, Hester obejrzała się przez ramię i ujrzała, jak Łowca obserwuje ich, przebierając zakończonymi ostrzami palcami. Chwilę później strażnicy zatrzasnęli drzwi.

- Fascynujące – zauważył Popjoy, notując coś w zeszycie. – Choć zapewne trochę się pośpieszyliśmy, instalując pazury tak wcześnie...

- Co się z nią dzieje? – zapytała Sathya.

– Trudno powiedzieć coś pewnego – przyznał inżynier. – Wygląda na to, że program odzyskiwania pamięci, który wprowadziłem do elektronicznego mózgu, zaburza jej podstawowe instynkty agresji.

- Czyli że cyborg zwariował? – spytała Hester.

– Doprawdy, panno Shaw, termin, którego pani użyła, jest nieprecyzyjny. Wolałbym powiedzieć, że dawna panna Fang wykazuje obecnie cechy osoby z zaburzeniami psychicznymi.

- Biedna Anna – wyszeptała Sathya.

– Nie przejmuj się Anną – powiedziała Hester. – Ona nie żyje. To ty jesteś biedna. Trzymasz tam doskonałą maszynę do zabijania, a te głupie karabiny nie wystarczą, żeby powstrzymać ją przed ucieczką. Jeżeli to coś zejdzie z platformy i dotrze do drzwi...

– Kładka jest pod wysokim napięciem, panno Shaw – oznajmił stanowczym tonem Popjoy. – Podobnie jak wewnętrzna strona drzwi i sama platforma. Nawet Łowcy nie lubią silnego prądu. A jeśli chodzi o karabiny, jestem przekonany, że panna Fang nie zna jeszcze swoich możliwości i przynajmniej na razie woli się od nich trzymać z daleka. Może to nawet dowodzić, iż rzeczywiście pozostały jej pewne wspomnienia z poprzedniego, ludzkiego życia.

– Tak, tak, doktorze – podchwyciła z nadzieją Sathya. – Nie wolno nam tracić nadziei. Przeprowadzimy tu Hester ponownie – powiedziała z uśmiechem.

Inżynier odwrócił głowę, ale Hester i tak spostrzegła panikę w jego oczach. Naukowiec nie miał pojęcia, jak przywrócić pamięć martwej lotniczce. Na pewno nawet Sathya uświadomi sobie wkrótce, że szalony eksperyment zakończył się niepowodzeniem. A kiedy do tego dojdzie, nie będzie już powodu, żeby trzymać Hester przy życiu.

Umrę tu, pomyślała z rozpaczą, gdy strażnicy odprowadzali ją do celi i zatrzasnęli za nią drzwi. Zabije mnie Sathya albo ta potworna maszyna i już nigdy nie zobaczę Toma, nie zdołam go ocalić. On też umrze w niewoli na pokładzie Archangielska, przeklinając moje imię.

Oparła się plecami o ścianę i zsunęła się wolno, siadając na posadzce. Skuliła się i objęła ramionami kolana. Za oknem szumiał ocean, a fale huczały, rozbijając się o skaliste brzegi wyspy. Słyszała małe grudki tynku spadające z przesiąkniętego wilgocią stropu i cichy brzęk w rurach grzewczych, przypominający jej Anchorage.

Pomyślała o panu Scabiousie i o Sathyi, o beznadziejnych, desperackich próbach, jakie podejmują ludzie, żeby zatrzymać przy sobie najbliższych.

– Och, Tom! – wyszlochała. Wyobraziła go sobie bezpiecznego i szczęśliwego na pokładzie Anchorage. Biedak nie podejrzewa nawet, że Archangielsk już ruszył w pogoń.

21. Kłamstwa i pająki

Mijały dni i tygodnie. Anchorage sunęło wzdłuż osiemdziesiątego trzeciego równoleżnika na zachód, poprzedzane przez grupę skuterów badających grubość lodu. Jeszcze żadne miasto nie przemierzało tej drogi i panna Pye wolała nie zdawać się na same mapy.

Również Freya miała wrażenie, jakby znalazła się na niezbadanym terytorium. Z jakiego powodu była taka nieszczęśliwa? Jak to się stało, że wszystko skończyło się tak źle, skoro zapowiadało się tak wspaniale? Nie potrafiła pojąć, dlaczego Tom jej nie chce. Przecież nie może wciąż tęsknić za Hester, pomyślała, wycierając z kurzu lustro, aby przyjrzeć się swemu odbiciu. Musiał zauważyć, że jestem od niej sto razy lepsza.

Czasami, użalając się nad sobą, układała zawile intrygi, żeby odzyskać jego względy. Kiedy indziej, unosząc się gniewem, przemierzała zamaszystym krokiem puste pałacowe korytarze, mamrocząc pod nosem to, co powinna była powiedzieć podczas ich kłótni. Raz albo dwa razy zastanawiała się nawet, czy nie ściąć go za zdradę stanu, ale kat Anchorage – bardzo leciwy starzec, którego urząd był od dawna niepotrzebny – umarł jeszcze przed zarazą, Freya

zaś wątpiła, czy Smew potrafiłby unieść topór.

Tom przeprowadził się z Pałacu Zimowego do wielkiej opuszczonej willi nieopodal lotniska. Nie mając dostępu do Komnaty Cudów ani biblioteki margrabiny, które zajęłyby jego uwagę, skupił się całkowicie na uzalaniu się nad sobą i zastanawianiu się na tym, jak odzyskać Hester, a przynajmniej – jak ją odszukać.

Nie było sposobu, żeby wydostać się z Anchorage – co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Już na samym początku próbował namówić pana Aakiuqę, żeby przystosował „Grackulę” do długich podróży, ale kierownik portu pozbawił go wszelkich złudzeń. Do maleńkiego sterowca nie można było przymocować większych baków, a z tymi, które miał, stateczek przeleciałby najwyżej parę kilometrów.

– Poza tym – dodał pan Aakiuq – czym byś je napełnił? Sprawdziłem niedawno poziom paliwa w zbiornikach. Prawie nic nie zostało. Zupełnie tego nie rozumiem. Wskaźniki pokazują, że są prawie pełne, a w środku pustki.

Nie tylko paliwo ulatniało się w niewyjaśnionych okolicznościach. Nie uwierzywszy w Scabiousowe opowieści o duchach, Tom zaczął rozpytywać w dzielnicy maszynowej o tajemniczego przyjaciela Hester. Nikt niczego o nim nie wiedział, za to każdy zdawał się mieć własną historię o dziwnych postaciach czających się w mrocznych zakątkach albo o ginących z warsztatów narzędziach. Z zamkniętych szaf i zaryglowanych pokoi znikwały różne przedmioty, a zbiornik z paliwem stojący przy Heat Exchange Street okazał się całkiem pusty, mimo że wskaźnik pokazywał co innego.

– Co się tu dzieje? – dopytywał się Tom. – Kto mógł zabrać to wszystko? Myśli pan, że ktoś ukrywa się na pokładzie? Ktoś, kto

przeżył zarazę, a teraz nas okrada?

– A gdzieżby, młody człowieku? – roześmiał się brygadzysta. – Kto pozostałby na pokładzie, gdyby nie chciał pomóc Jej Promienistości dotrzeć do Ameryki? Nie ma sposobu, żeby wydostać się z miasta, ani nikogo, kto odkupiłby skradzione rzeczy.

– To kto za tym stoi?

– Duchy – odpowiadali wszyscy jak jeden mąż, kręcąc trwożliwie głowami i zaciskając w dłoniach amulety. – Lodowe Pustkowia zawsze były nawiedzone. Umarli zstępują na ziemię i igrają z żywymi. Wszyscy o tym wiedzą.

Tom nie dał się jednak przekonać. Rzeczywiście w dzielnicy maszynowej działo się coś tajemniczego i niepokojącego. Czasami, gdy spacerował samotnie bocznymi uliczkami, sam odnosił dziwne wrażenie, że ktoś go obserwuje. Nie potrafił jednak zrozumieć, po co duchom paliwo, narzędzia albo eksponaty z muzeum margrabiny.

– Zwiertzył nas – powiedział ponuro Skewer pewnego wieczoru, obserwując na monitorach, jak Tom kręci się po opustoszałych uliczkach i zagłębia w każdy ciemny kąt. – Wie o nas.

– Nie wie – odparł Caul. – Najwyżej coś podejrzewa, to wszystko. Zorientował się, że coś nie gra, ale nie ma pojęcia co.

Skewer spojrzał na niego zdziwiony, a potem parsknął śmiechem.

– Doskonale wiesz, o czym myśli, co?

– Mówię tylko, że nie musimy się nim przejmować, to wszystko – mruknął Caul.

– A ja mówię, że trzeba go wykończyć. Upozorować wypadek. Co ty na to?

Caul nie odpowiedział. To prawda, że rabusie musieli być znacznie

ostrożniejsi, od kiedy Tom wszczął swoje śledztwo, i w związku z tym działali wolniej niż zwykle. Skewer postawił sobie za punkt honoru, żeby przywieźć Wujkowi jak najwięcej łupów i tym samym udowodnić, iż podjął słuszną decyzję, przejmując dowodzenie. Lecz chociaż zarówno on, jak i Caul co noc wychodzili w miasto, bali się kraść cenniejsze przedmioty, żeby nie wzbudzić dalszych podejrzeń. Usunęli też rurkę ze zbiorników na lotnisku, co oznaczało, że wkrótce zaczną im brakować paliwa.

Rozum złodziejaska podpowiadał Caulowi, że Skewer ma rację. Wystarczyło pchnąć Toma nożem między żebra, a potem zrzucić ciało z jakiegoś pomostu i można było powrócić do normalnych kradzieży. Jednak jakaś inna, lepsza część jego natury nie mogła znieść takiej myśli. Marzył o tym, żeby Skewer zostawił go tu, zanim wróci do Grimsby. W ten sposób zostałby w Anchorage i mógłby w spokoju przyglądać się życiu Toma, Freyi i innych. Czasami zastanawiał się nawet, czy nie ujawnić się i nie zdać na łaskę mieszkańców Anchorage. Jednak jak daleko sięgał pamięcią, zawsze powtarzano mu, że jelenie nie znają miłosierdzia. Instruktorzy w Kleptorium, koledzy i Wujek – wszyscy zgodnie twierdzili, że choćby jelenie wydawali się nie wiadomo jak cywilizowani, w stosunku do Zaginionego Chłopca stać ich na najgorsze bestialstwo.

Caul nie był już pewien, czy to prawda, ale nie miał dość odwagi, by przekonać się o tym na własnej skórze. Zresztą jak miał to zrobić? Powiedzieć: Cześć, jestem Caul. Okradałem was....

Telegraf w tylnej kajucie zaczął terkotać z ożywieniem, wyrywając Caula z zamyślenia. Skewer odwrócił głowę, słysząc niespodziewany hałas, a Gargle, który stał się ostatnio jeszcze bardziej nerwowy, krzyknął z przerażenia. Maszynka machała mosiężnymi łapkami

niczym metalowy pajak, wypływając z siebie zwoje perforowanej papierowej taśmy. Gdzieś pod Anchorage przepływała ryborakieta z Grimsby, emitując sygnał, który docierał przez grubą lodź aż tutaj.

Chłopcy popatrzyli na siebie zdziwieni. A to niespodzianka. Żaden z nich nie był nigdy na pokładzie pajakomobila, do którego Wujek wysłałby wiadomość. Zdumiony Skewer zapomniał na chwilę o swojej roli i spojrzał na Caula zaniepokojony.

– Co o tym sądzisz? Myślisz, że w domu stało się coś złego?

– Teraz ty jesteś kapitanem, Skewer – odparł Caul. – Lepiej sprawdź.

Skewer odepchnął Gargle'a i podbiegł do urządzenia. Chwycił papierową taśmę i zmrużył oczy, wczytując się w rzędy dziurek.

– Co to jest, Skewer? – zapytał podekscytowany Gargle. – Od Wujka?

Starszy chłopak pokiwał głową. Spojrzał na Caula, a potem znowu na taśmę, jakby nie wierzył własnym oczom.

– Jasne, że od Wujka, pacanie. Pisze, że czytał nasze raporty. Mamy natychmiast wrócić do Grimsby. I przywieźć mu Toma Natsworthy'ego.

– Profesorze Pennyroyal!

W ciągu ostatnich tygodni wielki podróżnik rzadko pokazywał się w Anchorage. Cały czas siedział w swojej rezydencji i nie bywał nawet na zebraniach Rady Nawigacyjnej.

– Przeziębilem się! – wyjaśnił bełkotliwym głosem, gdy Freya wysłała Smew, żeby sprawdził, co się z nim dzieje.

Jednak tego wieczoru, gdy Tom wracał z maszynowni i wyszedł na aleję Rasmussenów, zobaczył przed sobą znajomą postać profesora, brnącą przez śnieg.

– Profesorze Pennyroyal! – zawołał znowu i pobiegł w jego stronę.

Dogonił słynnego historyka na stopniach jego rezydencji.

– Ach, Tom! – powiedział Pennyroyal z bladym uśmiechem na ustach. Język mu się plątał, a w rękach trzymał skrzynię taniego wina, które „pożyczył sobie” z opuszczonej tawerny Smak Północy. – Miło cię widzieć. Jak tam stateczek? Obawiam się, że znowu pech...

– Jaki stateczek?

– Wróbelki ćwierkały, że pytałeś pana Aakiuqa o jego stary sterowiec. „Pakuła”, „Drakula” czy jak tam on się nazywa... Żeby móc opuścić to arktyczne królestwo i wrócić do cywilizacji.

– To było wiele tygodni temu, profesorze.

– Aha.

– Nic z tego nie wyszło.

– Ech. Szkoda.

Na chwilę zaległa niezręczna cisza.

– Szukałem pana – powiedział w końcu Tom. – Chciałem pana o coś zapytać. Jako podróżnika i historyka.

– Ach! – odrzekł Pennyroyal, przybierając uczoną minę. – W takim razie lepiej wejdźmy do środka.

Od ostatniej wizyty Toma w apartamencie Głównego Nawigatora zaszły niepokojące zmiany. Stosy papierów i brudnych naczyń przykrywały każdy blat w mieszkaniu, po podłodze wały się pogniecione ubrania, a na fotelach i na kanapie leżały puste butelki po winie.

– Zapraszam, zapraszam – wybełkotał Pennyroyal, wskazując Tomowi krzesło i przetrząsając biurko w poszukiwaniu korkociągu. – W czym mogę ci pomóc?

Chłopak pokręcił głową. Teraz, gdy miał wreszcie powiedzieć, co go dręczy, cała sprawa wydała mu się strasznie głupia.

– To pewnie nic ważnego, ale czy w czasie swoich podróży spotkał pan kiedykolwiek na pokładzie północnego miasta intruzów?

Pennyroyal omal nie upuścił butelki.

– Intruzów? Nie! Dlaczego? Chyba nie mówisz, że na pokładzie jest ktoś obcy...

– Nie. Nie jestem pewien. Ale może. Ktoś tutaj kradnie, a nie widzę powodu, dlaczego miałyby to robić któryś z mieszkańców. Każdy z nich i tak może mieć, co zechce.

Pennyroyal otworzył wino i pociągnął solidny łyk prosto z butelki.

– Może mamy pasożyta... – zauważył.

– Pasożyta?

– Nie czytałeś *Miast zigguratów*, gdzie opisałem swoją podróż po osadach Neo-Majów? Jest tam cały rozdział poświęcony *los villas vampiros*.

– Nigdy nie słyszałem o miastach pasożytach – zauważył Tom powątpiewająco. – Ma pan na myśli padliniarzy?

– O nie! – Pennyroyal usiadł w fotelu naprzeciwko chłopca, wydychając mu w twarz opary alkoholu. – Istnieją różne sposoby żerowania na miastach. Wampiryczne osady ukrywają się w śmieciach Zewnętrzza, a kiedy przejeżdża nad nimi miasto, podskakują do góry i przyczepiają się do jego podwozia za pomocą gigantycznych przyssawek. Biedne miasto podróżuje dalej, niczego nie podejrzewając, a w tym czasie ludzie z wampirzej osady buszują po jego pokładach, kradnąc paliwo i narzędzia, mordując mieszkańców jednego po drugim i porywając piękne dziewczęta, żeby sprzedać je na targu niewolników w Itzal. W końcu miasto żywiciel zatrzymuje się – jest już wtedy tylko pustą skorupą bez paliwa, silników i mieszkańców – tłusty pasożyt zaś odpełza w dal w poszukiwaniu

nowej ofiary.

Tom zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Ale to niemożliwe! – orzekł wreszcie. – Jak miasto może nie wiedzieć, że cała osada siedzi mu pod podwoziem? Mieszkańcy na pewno zauważyliby hordeę złodziei i skrytobójców! To nie ma sensu! A te przyssawki...

Pennyroyal nie krył wzburzenia.

– Sugerujesz, że kłamię?

– Pan to wszystko zmyślił! Tak samo jak tę historię o miniaturowych ludzikach i o ruinach wieżowców w Ameryce... – Mimo że apartament był ogrzewany, Tomowi zrobiło się nagle bardzo zimno. – O wielki Quirke'u! Czy w ogóle był pan w Ameryce? Czy to też wysłał pan z palca?

– Jasne, że byłem! – zdenerwował się Pennyroyal.

– Nie wierzę! – Dawny Tom wychowany w szacunku dla starszych nigdy nie śmiałyby powiedzieć czegoś takiego. Trzy tygodnie bez Hester zmieniły go jednak bardziej, niż przypuszczał. Wstał z krzesła i spojrzał z góry na nalaną, perlącą się od potu twarz historyka. – To wszystko bujda, prawda? – zapytał. – Zmyślił pan całą wyprawę do Ameryki, opierając się na opowieściach podchmielonych lotników i legendach o mapie Snøriego Ulvaeussona, która prawdopodobnie nigdy nie istniała!

– Jak śmiesz! – zakrzyknął Pennyroyal, dźwigając się z fotela i wygrażając Tomowi butelką. – Jak ty, pospolity czeladnik Cechu Historyków, śmiesz mnie obrażać?! Moje książki sprzedano w przeszło stu tysiącach egzemplarzy! Przetłumaczono je na dziesiątki języków! „Gazeta Shudderfield” nazwała mnie „nieustraszoną, błyskotliwym obieżyświatem”! „Express Wieczorny Koblencji” napisał

o mnie: „mistrz zapierającej dech w piersiach narracji”! „Goniec Paryski” stwierdził, że „prace Pennyroyala to powiew świeżego powietrza w nudnym świecie historii praktycznej”...

Powiew świeżego powietrza był właśnie tym, czego Tom w tym momencie potrzebował. Zostawił perorującego profesora i wybiegł wzburzony na ulicę. Nic dziwnego, że Pennyroyal tak często pytał o postępy w naprawie „Jenny” i tak mocno przejął się odlotem Hester. Jego opowieści o zielonej krainie były zmyślane! Od początku wiedział, że Freya Rasmussen prowadzi miasto na pewną zgubę!

Popędził do Pałacu Zimowego, ale zatrzymał się w połowie drogi, uświadomiwszy sobie, że Freya na pewno go nie wysłucha. Dając rozkaz podróży do Ameryki, postawiła wszystko na jedną kartę. Gdyby teraz Tom wpadł do jej komnaty, twierdząc, że Pennyroyal się myli, duma nie pozwoliłaby jej przyjąć tego do wiadomości. Co gorsza, mogłaby pomyśleć, że to tylko podstęp, żeby skłonić ją do zawrócenia miasta i ruszenia za Hester.

– Pan Scabious! – powiedział na głos. Stary inżynier nigdy do końca nie uwierzył Pennyroyalowi. Scabious go wysłucha. Odwrócił się więc i pognął z powrotem w stronę schodów. Kiedy mijał rezydencję nawigatora, Pennyroyal stał na balkonie i krzyczał:

– Recenzent „Głosu Młodych Mobilistów” nazwał mnie „talentem na miarę światową”! „Gwiazdą pierwszej wielkości na firmamencie literatury faktu”...

Na dole, w gorącej i mrocznej dzielnicy maszynowej wszystko drżało i huczało w rytm pracy silników niosących miasto ku katastrofie. Tom zatrzymał pierwszego napotkanego człowieka i zapytał o Scabiousa. Mężczyzna skinął głową w kierunku rufy, zaciskając w rękę amulet.

– Szuka syna, jak co noc.

Tom pognął dalej, zapuszczając się w głąb spokojnych, rdzewiejących uliczek, w których panował zupełny bezruch. No, prawie zupełny. Kiedy przebiegał pod jedną z argonowych lamp, kątem oka spostrzegł dziwny srebrzysty błysk za kratką szybu wentylacyjnego. Zatrzymał się, dysząc ciężko. Serce waliło mu jak młotem, po grzbiecie przebiegł zimny dreszcz. Odkrywszy łgarstwa Pennyroyala, całkiem zapomniał o intruzach. Teraz wszystkie na wpół uformowane teorie znowu zakłębiły się w jego głowie. Szyb wentylacyjny wyglądał w tej chwili zupełnie niewinnie, lecz Tom wiedział, że coś się w nim kryje. Coś, co cofnęło się w mrok, lecz wciąż mu się przygląda.

– Och, Hester – szepnęła, zdjęty nagłym strachem, żałując, że nie może liczyć na jej pomoc. Hester wiedziała, jak postąpić. Bez niej czuł się zupełnie bezradny. Próbując wyobrazić sobie, co zrobiłaby na jego miejscu, zmusił się do marszu, aż – krok po kroku – oddalił się od szybu, schodząc zaczajonemu intruzowi z pola widzenia.

– Chyba nas zobaczył – powiedział Caul.

– Nigdy w życiu! – prychnął Skewer.

Caul przeciągnął się niespokojnie. Przez cały wieczór śledzili Toma za pomocą ukrytych kamer, czekając, aż znajdzie się w miejscu dość odludnym i na tyle blisko „Śrubodźdźownicy”, żeby mogli bezpiecznie wykonać tajemniczy rozkaz Wujka. Jeszcze nigdy nie obserwowali żadnego jelenia tak długo i tak dokładnie, a coś w twarzy Toma sprawiło, że Caul poczuł się nieswojo.

– Daj spokój, Skewer – powiedział. – Po jakimś czasie to wszystko musi się na siebie nałożyć, nie? Hałasy, wrażenie, że jest się pod

obserwacją. A on już wcześniej coś podejrzewał...

– Oni nigdy nie widzą! – odparł Skewer z naciskiem. Dziwna wiadomość od Wujka wytrąciła go z równowagi. Jakby tego było mało, śledząc Toma, zmuszony był przyznać, że Gargle steruje kamerami lepiej od niego, i w końcu, niepokieszony, ustąpił mu miejsca przy pulpicie. Dlatego uczeplił się przekonania o swojej wyższości nad jeleniami jak ostatniej deski ratunku. – Nawet jeśli patrzą, to niczego nie widzą. Po prostu są od nas mniej spostrzegawczy. O! A nie mówiłem? Poszedł dalej. Durny jeleń.

To nie mógł być szczur. Wszystkie szczury w Anchorage wyginęły w czasie zarazy, a poza tym to coś wyglądało na automat. Skradając się z powrotem w stronę kratki wentylacyjnej, zobaczył metalowy korpus wielkości pięści, stojący na kilku drucianych nóżkach. I pojedyncze oko kamery.

Przypomniał sobie tajemniczego chłopca, który zdawał się wiedzieć o wszystkim, co działo się w porcie lotniczym i w pałacu. Ile takich kamer kryło się jeszcze w rurach miasta, podglądając mieszkańców? I dlaczego ta szpiegowała właśnie jego?

– Gdzie on się podział, Gargle? Znajdź go...

– Musiał zniknąć – powiedział Gargle, przeskakując z jednego kanału na drugi.

– Uważaj! – ostrzegł Caul, kładąc dłoń na ramieniu młodszego chłopca. – Tom wciąż jest gdzieś w pobliżu.

– Co, teraz stałeś się jeszcze jasnowidzem? – prychnął Skewer.

Tom wziął głęboki oddech, a potem machnął ręką tuż przed obiektywem kamery. Metalowy pajak zachrobotał, próbując ukryć się

w głębi szybu. Dziękując losowi, że wciąż ma na dłoniach grube rękawice, Tom chwycił maszynę za nóżki i pociągnął.

– Ma nas!

– Zwijaj! Zwijaj!

Osiem stalowych nóżek. Magnesy zamiast stóp. Opancerzony korpus. I obiektyw z wyłupiastym szklanym okiem. Maszyna tak bardzo przypominała gigantycznego pająka, że Tom upuścił ją, a potem cofnął się z obrzydzeniem, gdy zaczęła wywijać nóżkami, miotając się bezsilnie na podłodze. Wtem cieniutki kabelek, do którego była przyczepiona, naprężył się, podrywając ją do góry i ciągnąc z powrotem do szybu. Tom rzucił się za nią szczupakiem, ale za późno. Mechaniczny pająk zdążył już zniknąć w mrocznej dziurze.

Tom podniósł się z ziemi, nasłuchując cichnącego dudnienia w rurze. Serce waliło mu jak młotem. Po co komu takie urządzenie? Kto chciałby szpiegować mieszkańców Anchorage? Nagle przypomniał sobie opowieść Pennyroyala. Teraz historyjka o wampirycznych osadach przestała mu się wydawać tak nieprawdopodobna. Oparł się na chwilę o ścianę, żeby złapać oddech, a potem pobiegł dalej.

– Panie Scabious! – zawołał, a echo powtórzyło jego słowa, niosąc je w głąb miasta pod łukowate sklepienia pustych ulic. – Panie Scabious!

– Znowu zniknął! Nie, jest... w kamerze dwunastej... – Gargle przerzucał się nerwowo z jednego kanału na drugi.

Z malutkiego głośniczka dobiegał krzyk Toma:

– Panie Scabious! To nie duch! Wiem, skąd się wziął!

– Zdaje się, że biegnie na rufę – stwierdził chłopiec.

– Musimy go złapać! – zawołał Skewer, przetrząsając szafkę w poszukiwaniu pistoletu i sieci. – Zdemaskuje nas! Wujek nas zabije! Naprawdę zabije! Jak ja tego nienawidzę! Jesteśmy złodziejami, a nie porywaczami! Co Wujek sobie wyobraża? Jeszcze nigdy nie porywaliśmy żadnego jelenia! Nie dorosłego!

– Wujek zawsze wie najlepiej – przypomniał mu Gargle.

– Zamknij się, do cholery!

– Ja pójdę – odezwał się Caul.

– Ale ze mną – powiedział Skewer. – Nie ufam ci, za bardzo polubiłeś tych jeleni!

– Dobra. – Caul wspinał się już na górę. – Ale pozwól mi to załatwić. Tom trochę mnie zna, pamiętasz?

– Pan Scabious?

Tom wpadł zziębnięty na galerię na rufie. Nieznajomy chłopak czekał już na niego w poświacie księżyca.

– Jak się masz, Tom? – zapytał. Wyglądał na zdenerwowanego i trochę onieśmiałego, ale przyjaznego, jakby to, że znowu się spotykają, było najnaturalniejszą rzeczą na świecie.

Tom ledwo powstrzymał się od krzyku.

– Kim jesteś? – zapytał, wycofując się. – Te mechaniczne pająki... musisz ich mieć mnóstwo w całym mieście. Podglądasz wszystko, co się dzieje. Dlaczego? Kim jesteś?

Chłopak uniósł rękę w pojedynczym geście, prosząc Toma, żeby został.

– Nazywam się Caul.

Tomowi zaschło nagle w ustach. Słowa Pennyroyala dzwoniły mu w uszach jak ostrzeżenie: „Mordują mieszkańców jednego po drugim,

plądrują miasto, aż zostaje jedynie pusta, martwa skorupa...”.

– Nie martw się – powiedział Caul z uśmiechem, jakby czytał w jego myślach. – Jesteśmy tylko złodziejami, a teraz wracamy do domu. Ale musimy zabrać cię ze sobą. Wujek tak chce.

Wszystko wydarzyło się niemal jednocześnie. Tom rzucił się do ucieczki, ale sieć z cienkiego drutu, zrzucona z pomostu nad jego głową, oplątała go i upadł na ziemię.

– Skewer, nie! – krzyknął Caul.

– Axel! – zawołał w tym samym momencie inny głos.

Tom podniósł wzrok i ujrzał Scabiousa stojącego w głębi galerii, zahipnotyzowanego widokiem chudego jasnowłosego chłopca w szarym kombinezonie, którego wziął za ducha syna. Wtem w ciemnościach na górze rozległ się wystrzał, niebieski blask rozświetlił na chwilę mrok. Scabious zaklął, kryjąc się za stalową kolumną. Z pomostu zeskoczył chłopak z długimi ciemnymi włosami. Podbiegł do Caula i razem unieśli miotającego się w sieci Toma, unosząc go w głąb wąskiego mrocznego korytarza.

Było ciemno, posadzka drżała od huku silników. Grube rury strzelały w górę z pokładowych płyt niczym drzewa stalowego lasu. Gdzieś w tyle majaczyło światło księżyca, a echo niosło gniewny krzyk Scabiousa:

– Ej, wy! Wracać! Zatrzymać się!

– Panie Scabious! – zawołał Tom, przyciskając twarz do drucianej siatki. – To pasożyty! Złodzieje! Są...

Porywacze rzucili go bezceremonialnie na pokład. Kątem oka zobaczył, jak pochylają się i otwierają jakąś klapę. Ukryty właz!

– Zatrzymać się! – krzyknął Scabious, teraz znacznie bliżej. Jego ciemna sylwetka migiała między rzędami rur. Towarzysz Caula uniósł

pistolet i wystrzelił. Z jednej z rur buchnął biały gejzer gorącej pary.

– Tom! – zawołał Scabious. – Sprowadzę pomoc!

– Panie Scabious! – wrzasnął Tom, ale stary inżynier już zniknął, słyhać było tylko jego stłumiony głos wołający o pomoc.

Przez otwarty właz sączyło się blade niebieskie światło. Caul i drugi chłopak podnieśli Toma, a potem wrzucili go do środka jak worek kartofli. Uderzył w twardą podłogę. Porywacze zeszli po drabinie, stukając butami o szczelbelki, a właz ponad nimi zamknął się.

22. „Śrubodżdżownica”

Duszną komora była wypełniona łupami jak żołądek sytego gada. Na poprzecinanych stalowymi żebrami ścianach za metalowymi kratkami umocowano niebieskie żarówki. W powietrzu unosił się stęchły smród potu i brudu.

Tom usiadł z wysiłkiem na podłodze. Podczas upadku jedna z jego rąk oswobodziła się z sieci, lecz zanim zdążył to wykorzystać, Caul schwycił go od tyłu, a jego towarzysz, chłopak o imieniu Skewer, przykucnął przed nim i przyłożył mu nóż do gardła. Zimna klinga błysnęła złowrogo w błękitnym świetle.

– Nie, błagam! – jęknął Tom. Nie wierzył, że porywacze zadali sobie tyle trudu tylko po to, by go teraz zabić, ale zębate ostrze wpijało mu się w skórę, a ołowiane oczy Skewera lśniły wrogością.

– Nie, Skewer – zaprotestował Caul.

– Niech wie, co go czeka, jak zacznie svirować – wyjaśnił Skewer, cofając powoli nóż.

– Posłuchaj go, Tom – powiedział Caul, pomagając mu powstać. – Nie możesz uciec, więc lepiej niczego nie próbuj. Czeka nas długa podróż, a jeśli zamkniemy cię w ładowni, nie będzie ci zbyt wygodnie... – Wyjął z kieszeni kawałek rzemienia i związał Tomowi ręce. – To tylko

dopóki nie opuścimy Anchorage. Później cię rozwiążemy, jeśli będziesz grzeczny.

– Opuścimy Anchorage? – zapytał Tom. – Dokąd jedziemy?

– Do domu – odparł Caul. – Wujek chce się z tobą zobaczyć.

– Jaki Wujek?

Nagle za plecami Caula, niczym przesłona w aparacie fotograficznym, rozsunęły się okrągłe drzwi. Pomieszczenie po drugiej stronie wypełniał elektroniczny sprzęt. Na jednym z foteli, przed zestawem monitorów siedział trzeci chłopiec, znacznie młodszy od pozostałych.

– Skewer, musimy się zwijać! – krzyknął malec.

Caul uśmiechnął się do Toma przelotnie.

– Witamy na pokładzie „Śrubodźdzownicy”! – powiedział, a potem wbiegł do kabiny. Tom poszedł jego śladem, popychany silną ręką Skewera. Dziwne, oświetlone błękitem pomieszczenie nie było, jak pomyślał w pierwszej chwili, częścią Anchorage, ale nie należało również do pasożytniczego miasta z opowieści Pennyroyala. Wyglądało raczej na kabinę nawigacyjną jakiegoś pojazdu. Przy wszystkich ścianach roilo się od rozmaitych wskaźników, przycisków i pokręteł, a za okrągłymi oknami o grubych szybach przesuwała się spowita mrokiem ziemia. Na stojących w rzędach owalnych ekranikach mrugał ziarnisty obraz kul Scabiousów, galerii na rufie, alei Rasmussenów, korytarza Pałacu Zimowego. Na piątym monitorze Freya Rasmussen spała spokojnie w swojej komnacie. Na szóstym Scabious prowadził grupę robotników w stronę ukrytego wjazdu.

– Idą po nas! – jęknął strachliwie najmłodszy ze złodziei.

– Dobra, Gargle. Zwijamy się. – Caul podszedł do jednego z pulpitych i zaczął przesuwać dźwigienki. Wszystkie, podobnie jak cała pozostała

aparatura, wyglądały na domowej roboty, lecz mimo zgrzytów i pisków, jakie z siebie wydawały, okazały się sprawne. Z ekranów kolejno znikał obraz, kurcząc się do rozmiarów białej kropki. Po chwili kabinę wypełnił metaliczny świst, gdy kable kamer, które opanowały instalację wentylacyjną i kanalizację Anchorage niczym pnącza winorośli, zaczęły się zwijać. Tom wyobraził sobie, jak ludzie w całym mieście podnoszą ze zdumieniem głowy, słysząc nagle dudnienie w rurach. Tutaj, na dole, hałas podniósł się do ogłuszającego jęku, a potem zakończył serią przytłumionych stuknięć, gdy opancerzone kamery lądowały w specjalnych schowkach nad jego głową. Kiedy przebrzmiało echo ostatniego uderzenia, do uszu Toma dobiegł inny metaliczny dźwięk. Scabious i jego robotnicy walili w klapę wjazdu młotami i łomami.

Caul i Skewer stali razem przy pulpicie, ich palce poruszały się sprawnie po rzędach klawiszy i przełączników. Tom, który zawsze dbał o przyrządy na pokładzie „Jenny Haniver”, był wstrząśnięty złym stanem tej aparatury. Wszystkie metalowe elementy pokrywały brud i rdza, szklane osłony wskaźników były popękane, a po wiązkach przewodów przebiegały błękitne iskry. Jednak ku jego zdumieniu cały ten sprzęt zdawał się działać. Kabina zaczęła się trząść i grzechotać, a igły w zegarach kontrolnych skakały. Ta maszyna, czymkolwiek była, rzeczywiście mogła go zabrać z Anchorage, nim Scabious i jego ludzie zdołają przyjść mu z pomocą.

– Spadamy! – zawołał Skewer.

Pojazd zatrząsł się i zachybotał. Rozległ się metaliczny trzask uwalniających się zaczepów i „Śrubodźdzownica” odpadła od podwozia miasta. Tomowi przewróciło się w żołądku i chwycił się kurczowo poręczy. Czy to statek powietrzny? Ale pojazd nie leciał,

tylko spadał, a po chwili wylądował z hukiem na ziemi. Za oknami przesunęły się olbrzymie płozy, obryzgując szyby szarawą śniegową papką. Po chwili widać było już tylko bezkresne śnieżne pola w świetle księżyca.

Gargle pochylił się nad instrumentami.

– Cienki lód jedenaście kilometrów stąd na północny wschód – oznajmił piskliwym głosem.

Tom nie miał pojęcia, jakiego rozmiaru i kształtu jest „Śrubodźdźownica”, ale wartownicy na górnym pokładzie Anchorage widzieli zupełnie wyraźnie, jak pojazd wyłonił się spod rufy miasta, o mało nie zderzywszy się z kołem napędowym. Był to wielki jak dom metalowy pająk, jego pękaty odwłok podtrzymywało osiem hydraulicznych nóg zakończonych szerokimi dyskami wyposażonymi w kolce. Z rur wydechowych umieszczonych po jego bokach buchały kłęby smolistego dymu. Pojazd oddalał się od miasta, jadąc wzdłuż wyrytych przez nie w śniegu śladów.

– Pasożyt! – warknął Scabious, wybiegając na platformę na rufie i patrząc, jak mechaniczny pająk kroczy na wschód. Krew zawrzała w nim od gniewu. Naraz wszystkie ściany, jakie wybudował, odgradzając się od świata po śmierci syna, legły w gruzach pod naporem wściekłości. Ten paskudny pasożyt wpił się w jego miasto jak kleszcz! Jacyś brudni rabusie oszukiwali jego zmysły, aż uwierzył, że Axel wrócił z zaświatów!

– Dopadniemy ich! – krzyknął do swoich ludzi. – Dostaną nauczkę! Zawiadomić Radę Nawigacyjną! Zawracamy! Umiak, Kinvig i Kneaves za mną!

Miasto wykręciło gwałtownie, wzbijając spod płóz tumany śniegu, które zasłoniły uciekającego pasożyta. Po chwili jednak pajak znów się pojawił – półtora kilometra dalej na północnym wschodzie. Anchorage ruszyło w pościg, szybko doganiając niezgrabny pojazd. Ludzie Scabiosa uruchomili miejskie szczęki, otwierając je i zaciskając, żeby rozkruszyć lód na stalowych zębiskach. Reflektory cięły mrok, chwytając „Śrubodźdzownicę” w kręgi białego światła. Coraz bliżej i bliżej, aż opadające szczęki chwytają kłęby spalin z rur wydechowych pajaka.

– Jeszcze raz! – zawołał Scabious. – Już nam się nie wymknie!

Jednak Windolone Pye spojrzała na mapy i zauważyła, że miasto pędzi wprost w miejsce, które zwiadowcy zaznaczyli czerwonymi krzyżykami jako cienki lód. Natychmiast wydała rozkaz „Stop”. Anchorage wyłączyło silniki i wryło się hamulcami w lód, zatrzymując się tak gwałtownie, że z budynków posypały się dachówki, a jedna zardzewiała willa zawałiła się z hukiem.

Mechaniczny pajak pobiegł dalej na wschód, stąpając po zdradliwym lodzie. Scabious wyjrzał przez rozwarte szczęki i spostrzegł, jak machina zwalnia i przystaje.

– Ha! Zapędziliśmy ich w zasadzkę! – wykrzyknął triumfalnie. – Boją się ruszyć! Są nasi!

Wyrwawszy jednemu z ludzi strzelbę, pognał czym prędzej do garażu, wsiadł na skuter i wyjechał na lód, gnając prosto na spotkanie z pasożytem. Za nim podążało dziesięć innych skuterów.

Tom wyglądał przez okienko pająkomobila, mrużąc oczy przed blaskiem reflektorów. Słyszał już krzyki wybawców, strzały i ryk silników.

– Jeśli mnie wypuścicie, wstawię się za wami – obiecał porywaczom.
– Scabious nie jest wcale taki zły. Da się ułagodzić, jeśli oddacie mu wszystko, co ukradliście z maszynowni. A Freya na pewno was nie ukáže.

– Stul gębę – nakazał Skewer.

Gargle spoglądał strachliwie to na Toma, to na zbliżające się skutery z miną, która świadczyła, że poważnie rozważa propozycję. Caul stał przy konsoli, przebierając palcami po klawiaturze. „Śrubodźdźownica” poruszyła się, podkurczając odnóża, aż korpusem osiadła na śniegu. Z jej odwłoka wysunęły się wirujące piły tarczowe, a strumienie gorącej wody zaczęły smagać lód, wzbijając w powietrze kłęby gęstej pary. Nieporadnymi ruchami patykowatych kończyn pająkomobil zaczął się obracać, wycinając w lodzie wielki przerębel. Następnie wsunął piły, odepchnął na bok lodową taflę i zanurzył się w stalowoszarych odmętach.

Scabious był zaledwie kilkaset metrów od pająka, gdy zobaczył, co się dzieje. Zdesperowany zdjął ręce z kierownicy i uniósł strzelbę, jednak kula odbiła się tylko od stalowego pancerza i poleciała ze świstem w śnieg. Okrągłe okna pasożyta znikły pod wodą, spienione fale obmyły magnetyczne przyssawki na jego tułowiu. Długie odnóża złożyły się i wkrótce cały pojazd pogrążył się w morskich toniach.

Scabious zatrzymał skuter i zarzucił strzelbę na ramię. Jego ofiara uciekła z Tomem i złodziejami, którzy go porwali, a on nie miał pojęcia, dokąd odpłynęła ani jak ją dogonić. Biedny Tom, pomyślał, bo pomimo swojej gburowatości polubił młodego lotnika. Biedny Tom i biedny Axel, który rzeczywiście umarł i nie błąka się po pokładach Anchorage. „Nikt nie wraca z krainy umarłych, panie Scabious”,

usłyszał w myślach głos Hester.

Cieszył się, że ma na twarzy maskę, bo dzięki niej ludzie, którzy zatrzymali się przy jego boku, nie widzieli łez, ciekących mu po policzkach. Nie miał za wiele do oglądania. Tylko szeroki krąg wody i fale uderzające rytmicznie o okno z odgłosem, który przypominał sarkastyczne oklaski.

Freya została obudzona nagłym wstrząsem i brzękiem flaszek oraz słoiczków z solami do kąpeli i szamponami, które pospadały z półek w łazience. Zadzwoiła po Smew, ale gdy ten się nie zjawiał, postanowiła sama wyjść z pałacu, stając się być może pierwszą margrabiną, która odważyła się na taki krok, od czasów Dolly Rasmussen.

Na mostku kapitańskim wszyscy mówili tylko o mechanicznych pająkach i podstępnej szajce złodziei. Dopiero kiedy pościg dobiegł końca, Freya dowiedziała się, że Tom został porwany.

Nie mogła pozwolić, żeby Windolene Pye i jej ludzie zobaczyli, jak płacze. Wybiegła więc za drzwi, powstrzymując się od łez, i popędziła z powrotem do pałacu. Na schodach natknęła się na pana Scabiousa, który właśnie wchodził na górę. Był zarumieniony i ożywiony, jakby odkrycie pasożyta wyrwało go z odrętwienia, w jakie wpadł po śmierci syna. Prawie się do niej uśmiechnął.

– Zdumiewająca maszyna, Wasza Promienistość! Trzeba to przyznać małym hultajom! Słyszałem legendy o pasożytach grasujących po Lodowych Pustkowiach, ale muszę wyznać, że w nie nigdy nie wierzyłem. Żałuję, że nie byłem bardziej czujny.

– Porwali Toma – jęknęła Freya zgnębiona.

– Tak. Bardzo mi przykro. Dzielny z niego chłopak. Próbował mnie

przed nimi ostrzec. Złapali go i zaciągnęli do tej swojej maszyny.

– Co z nim teraz będzie? – wyszeptała.

Inżynier popatrzył na nią, a potem pokręcił głową, zdejmując z szacunkiem czapkę. Nie miał pojęcia, czego załoga pasożytniczego mechanicznego pajaka mogła chcieć od młodego lotnika, ale obawiał się, że nie było to nic miłego.

– Nie możemy nic zrobić? – spytała Freya płaczliwie. – Może powinniśmy zacząć kopać albo wiercić? A co jeśli ten pasożyt znowu wypłynie na powierzchnię? Musimy na niego zaczekać...

Scabious pokręcił głową.

– Już dawno zniknął, Wasza Promienistość. Nie możemy się tu zatrzymać.

Freya osłupiała, jakby ktoś wymierzył jej policzek. Nie przywykła do tego, żeby poddani kwestionowali jej rozkazy.

– Ale Tom jest naszym przyjacielem! Nie możemy go opuścić!

– To tylko jeden chłopiec, a Wasza Promienistość musi myśleć o całym mieście. Wolverinehampton może wciąż deptać nam po piętach. Musimy jechać dalej.

Freya potrząsnęła głową, ale wiedziała, że stary inżynier ma rację. Nie zawróciła dla Hester, kiedy Tom błagał ją o to, i nie powinna robić wyjątku także dla niego bez względu na to, jak by tego pragnęła. Gdyby chociaż przez ostatnie tygodnie była dla niego miłsza! Gdyby ostatnie słowa, jakie z nim wymieniła, nie były tak oschłe i zimne!

– Chodźmy, margrabino – powiedział łagodnie Scabious, wyciągając ku niej rękę. Przez moment Freya wpatrywała się w nią zdumiona, a potem ujęła ją i weszli razem na górę. Na mostku panowała cisza. Ludzie odwrócili głowy, kiedy Freya stanęła w drzwiach. Wiedziała, że jeszcze przed chwilą o niej rozmawiali.

Dziewczyna pociągnęła nosem, wytarła rękawem oczy i oświadczyła:

– Cała naprzód, panno Pye.

– Jaki kurs, Wasza Promienistość?

– Na zachód – odparła Freya. – Do Ameryki.

– O Klio! – westchnął Pennyroyal zaszyty w kąt. – O wielki Poskicie!

Silniki znów zaczęły pracować, Freya poczuła pod stopami ich wibracje. Opuściwszy Scabiousa, podeszła do okna i spojrzała za rufę. Miasto oddalało się, zostawiając za sobą splątane ślady skuterów na śniegu i idealnie okrągły przeręb, który już pokrył się cienką warstwą świeżego lodu.

23. W głębinach

Mijały kolejne dni, choć trudno je było zliczyć. W bladym niebieskim świetle na pokładzie „Śrubodźdzownicy” miało się wrażenie, jakby czas zatrzymał się o wpół do czwartej w dżdżyste listopadowe popołudnie.

Tom spał w kącie ładowni na stosie kołder i gobelinów zrabowanych z willi Anchorage. Czasami śnił, że idzie z kimś za rękę zakurczonym korytarzem Pałacu Zimowego, i budził się, nie wiedząc, czy była to Hester, czy Freya. Czy naprawdę nie zobaczy już nigdy żadnej z nich?

Wyobrażał sobie, jak ucieka, wydostając się na powierzchnię i ruszając w poszukiwanie Hester, ale „Śrubodźdzownica” płynęła przez świetliste kaniony pod lodem, więc było to zupełnie niemożliwe. Dostanie się do przedniej kabiny i wysłanie Anchorage ostrzegawczej wiadomości o kłamstwach Pennyroyala również nie wchodziło w grę. Nawet gdyby udało mu się znaleźć wśród dziwnej zardzewiałej aparatury radio, chłopcy, którzy go porwali, i tak nigdy nie pozwoliliby mu się do niego zbliżyć.

Wszyscy byli w stosunku do niego bardzo ostrożni. Skewer odnosił się do niego z wyraźną wrogością i zawsze gdy Tom znajdował się

w pobliżu, stawał się milkliwy i patrzył na niego spode łba lub za wszelką cenę starał się zmanifestować swoją wyższość. Przypominał Tomowi Melliphanta, chłopaka, który znęcał się nad nim w Londynie. Gargle, który mógł mieć najwyżej dziesięć albo jedenaście lat, wpatrywał się tylko w Toma szeroko otwartymi okrągłymi oczami, kiedy myślał, że ten go nie widzi. Jedynie Caul zdawał się skory do rozmowy, ale nawet on nie chciał odpowiadać na pytania, jakie Tom mu zadawał.

– Na miejscu wszystko zrozumiesz – mówił tylko.

– To znaczy gdzie?

– W domu. W naszej bazie. U Wujka.

– Kim jest twój wujek?

– To nie mój wujek, tylko po prostu Wujek. Jest przywódcą Zaginionych Chłopców. Nikt nie zna jego prawdziwego imienia i nikt nie wie, skąd pochodzi. Słyszałem, że kiedyś był kimś ważnym w Breidhaviku albo Archangielsku, ale mieszkańcy wygnali go i wtedy stał się złodziejem. To geniusz. To on zaprojektował pająkomobile i zdalnie sterowane kamery. Znalazł nas i wybudował Kleptorium, w którym się szkolimy.

– Znalazł was? Gdzie?

– Nie wiem – przyznał Caul. – Tu i tam. W różnych miastach. Pająkomobile porywają dzieci, które zostaną złodziejami, tak samo jak wykradają wszystko inne, czego Wujek potrzebuje. Kiedy mnie zabrali, byłem tak mały, że niczego nie pamiętam. Inni zresztą też.

– Ale to okropne!

– Wcale nie! – roześmiał się chłopak.

Rozmowy z Tomem zawsze kończył śmiechem. Dziwnie i nieswojo było tłumaczyć komuś z zewnątrz życie i sprawy, które Caul uważał

za oczywiste. Jak mógł przekonać Toma, że dorastanie w Kleptorium to zaszczyt i że woli być Zaginionym Chłopcem niż nudnym jeleniem?

– Na miejscu wszystko zrozumiesz – obiecał. A potem, ponieważ powrót do domu oznaczał nieprzyjemną rozmowę z Wujkiem, zmienił temat i zapytał: – Jaka jest Freya? Naprawdę uważasz, że Pennyroyal nie zna drogi do Ameryki?

– Jasne, że zna – odrzekł Tom z wisielczym humorem. – Każdy półgłówek wie, jak dotrzeć do Ameryki. Tylko obawiam się, że profesor wyssał z palca opowieść o tym, co tam znalazł. Nie wierzę, że gdzieś w głębi kontynentu jest jakaś zielona kraina. – Zwiesił ponuro głowę, żałując, że nie zdążył ostrzec Freyi, nim został porwany. Teraz Anchorage zajęchało już tak daleko, że nie będzie miało paliwa, by zawrócić.

– Nigdy nic nie wiadomo – powiedział Caul, wyciągając rękę, żeby poklepać Toma po ramieniu, lecz nagle cofnął ją, jakby obawiał się, że się oparzy. – W końcu okazało się, że miał rację z pasożytami. No, w każdym razie mniej więcej.

Pewnego dnia (a może pewnej nocy) Caul wyrwał Toma z niespokojnego snu radosnym okrzykiem:

– Tom! Jesteśmy w domu!

Chłopak wygramolił się z legowiska kradzionej pościeli i pobiegł do kabiny. Kiedy jednak dotarł na miejsce, okazało się, że „Śrubodźdzownica” wciąż znajduje się głęboko pod wodą. Z jednej z maszyn dobiegał cichy przerywany pisk. Skewer, zajęty sterami, podniósł na chwilę wzrok.

– To sygnał Wujka! – oznajmił.

Pająkomobil wykręcił gwałtownie, przyprawiając Toma o mdłości,

i obrał nowy kurs. Ciemność za oknami rozjaśniła się, przybierając barwę ciemnej zieleni, i chłopak zorientował się, że nie płyną już pod pokrywą lodu, lecz znaleźli się na otwartym morzu. Kilkaset metrów nad ich głowami promienie słoneczne rozświetlały toń. Mijali góry lodowe, wyglądające niczym kile gigantycznych okrętów, a w mroku przed ich oczami zaczęły się zarysowywać inne kształty. Oplecione wodorostami łuki i słupy, oblepiona małżami gigantyczna śruba, a potem pokryty szlamem pokład, z którego wyrastały rzędy zardzewiałych domostw. Niczym statek powietrzny lecący ponad krainą gór stołowych i kanionów, „Śrubodźdzownica” płynęła nad olbrzymim morskim miastem, które zatoneło pochłonięte przez zdradliwe odmęty.

– Witamy w Grimsby – powiedział Skewer, skierowując pająkomobila w stronę górnego pokładu.

Tom słyszał oczywiście o Grimsby. Wszyscy o nim słyszeli. Było to największe i najgroźniejsze z drapieżnych miast Północnego Atlantyku, które zatoneło pamiętnej Żelaznej Zimy dziewięćdziesiąt lat temu. Zdumiony chłopak wyjrzał przez okno pająkomobila. Ławice ryb połyskiwały pomiędzy martwymi domami, świątynie i wielkie budynki administracyjne zdobiły festony wodorostów. Wtem między szarością, granatem i czernią ukazała się ciepła plama żółci i złota. Gargle pisnął radośnie, a Skewer uśmiechnął się szeroko, przesuwając drążki sterów i wznosząc „Śrubodźdzownicę” na poziom najwyższego pokładu.

Tom aż wstrzymał oddech. W oknach wielkiego ratusza paliły się światła, a za szybami widać było poruszające się ludzkie postacie. Ogromny zatopiony budynek zdawał się ciepły i przytulny, jak dom dla znużonego wędrowca w ciemną zimową noc.

– Co to takiego? – zapytał. – To znaczy, jak...

– Nasz dom – odparł Caul, który milczał do tej pory, z trwogą oczekując powitania, jakie zgotuje mu Wujek. Był jednak dumny, że Grimsby wywarło na Tomie takie wrażenie, mimo że młody lotnik widział w życiu tyle dziwnych miast.

– Wujek go wybudował! – zawołał z zapalem Gargle.

„Śrubodźdzownica” wpłynęła do długiego tunelu na parterze, zatrzymując się często przed stalowymi śluzami i czekając, aż się przed nią otworzą. Cały ten skomplikowany system poddzielanych masywnymi bramami komór służył do tego, by powstrzymać wodę od wtargnięcia na wyższe piętra budynku, lecz Tom nie zdawał sobie z tego sprawy i zdziwił się bardzo, gdy pająkomobil wynurzył się w wielkiej sali z wysokim sklepieniem.

Ucichły silniki, ale z zewnątrz dobiegły brzęki zakładanych haków, a po chwili stalowe ramię dźwigu uniosło pająkomobil w powietrze. Kłapa do wjazdu odskoczyła do góry z cichym świstem. Caul zdjął ze ściany drabinkę i zamocował ją we wlocie.

– Ty pierwszy – powiedział do Toma, który wdrapał się po metalowych szczeblach i stanął na pancerzu pająkomobila, wdychając w płuca zimne przesiąknięte amoniakiem powietrze i rozglądając się dookoła.

Okazało się, że pojazd wynurzył się z okrągłej dziury w podłodze ogromnej, zwieńczonej kopułą sali, w której niegdyś zbierali się zapewne rajcy Grimsby (na suficie namalowano Duszę Miejskiego Darwinizmu – dość masywnie zbudowaną młodą kobietę ze skrzydłami, która wskazywała ojcom miasta pomyślną przyszłość). Cała posadzka usiana była kilkunastoma podobnymi otworami, nad którymi stały żurawie o dość skomplikowanej konstrukcji. Na hakach

kilku z nich wisiały pająkomobile i Tom zdumiał się niepomieranie, widząc, jak obskurnie wyglądają te przemysłne pojazdy. Sprawiały wrażenie, jakby sklecono je z byle jakich części, które nawinęły się akurat pod rękę niewprawnym budowniczym. Parę z nich przechodziło właśnie jakieś naprawy, ale pracujący przy nich ludzie – młodzieńcy i chłopcy, z których niewielu było starszych od Caula i Skewera – opuścili swoje stanowiska i zbliżyli się do „Śrubodźdźownicy”.

Wszyscy gapili się na Toma, a on odetchnął z ulgą, kiedy Caul stanął u jego boku. Nawet w najbardziej podłych miasteczkach, w jakich zdarzyło się wylądować „Jenny Haniver”, nie natknął się nigdy na równie groźnie wyglądającą bandę jak ta. Nastolatki w jego wieku, żyłaści młodzi mężczyźni, malcy młodszy od Gargle’a – wszyscy wpatrywali się w niego z dziwną mieszaniną strachu i nienawiści w oczach. Wszyscy mieli długie włosy, a ci, którzy byli na tyle dorośli, by się golić, nigdy nie zhańbili się tą czynnością. Na ich strój składały się za duże lub za małe części najrozmaitszej garderoby: mundury wojskowe, damskie szale i czepki, kombinezony do nurkowania, hełmy strażackie, a nawet blaszane cedzaki.

Wtem rozległ się pisk głośnika, a potem szum. Wszyscy unieśli głowy. Z tub zamocowanych do słupów żurawi wydobył się dudniący głos.

– Przeprowadźcie mi tego jelenia, chłopcy. Mam z nim do pogadania. Tylko migiem.

24. Wujek

Grimsby nie wyglądało tak, jak Tom wyobrażał sobie podwodną kryjówkę geniusza zbrodni. Było w nim zbyt chłodno, a powietrze za bardzo cuchnęło potem i gotowaną kapustą. Budynek, który z zewnątrz zdawał się tak magiczny, wewnątrz okazał się brudny i zaśmiecony łupami z wieloletnich kradzieży niczym stara rupieciarnia. W korytarzach zalegały bele drogich haftowanych tkanin, na których pojawiły się już nowe wzory pleśni. W ciasnych pokoikach, które mijali, na półkach leżały stosy ubrań, butwiejących książek i zeszytów, biżuterii, broni i narzędzi. W kątach stały umazane smarem manekiny wykradzione z eleganckich butików, kineskopy, koła zębate, akumulatory i wszelkiego rodzaju żelastwo.

A do tego kamery. Wszędzie aż się od nich roiło. Spacerowały po posadzkach, ścianach i meblach, wciskały się w ciemne kąty, zwisały z wiązek kabli biegnących pod sufitem. Ich szklane ślepia lśniły i wirowały, śledząc każdy ruch Toma, gdy Caul i Skewer prowadzili go po schodach na górne piętro. Wszystko w Grimsby znajdowało się pod czujnym okiem Wujka.

Kiedy znaleźli się w oświetlonym dziesiątkami monitorów gabinecie, Wujek wstał z krzesła i wyszedł im na spotkanie. Był to

niski i wychudły człowieczek o bladej od wieloletniego braku słońca pergaminowej cerze. Miał na sobie rękawiczki bez palców, kanciasty kapelusz, wyszywany złotą nitką mundur, który mógł kiedyś należeć do generała albo windziarza, pod nim jedwabną suknię i nankinowe spodnie, a na nogach puchate kapcie. Strąki przerzedzonych szpakowatych włosów opadały mu na ramiona, z kieszeni wystawały grzbiety książek, a do jego pokrytej szczeciną brody przylgnęły okruszki jedzenia.

– Caul, mój drogi chłopcze! – wymamrotał chrapliwym głosem. – Dziękuję, że usłuchałeś starego Wujka i przywiozłeś mi jelenia tak prędko. Nie poturbowaliście go, mam nadzieję? Nic mu nie jest?

Caul, pamiętając o tym, co wydarzyło się w Anchorage, i o raportach, które Skewer wysłał do domu, bał się odezwać.

– Cały i zdrowy, Wujku – wyręczył go Skewer. – Tak jak rozkazałeś.

– Doskonale, doskonale – mruknął Wujek. – A ty, Skewer, zdaje się, że też nie próżnowałeś. Hę?

Skewer skinął gorliwie głową, lecz nim zdążył się odezwać, Wujek zamachnął się i zdzielił go tak mocno, że chłopak potknął się i przewrócił, wydając z siebie dziecinny jęk bólu i zaskoczenia. Wujek kopnął go jeszcze kilka razy. Pod futrzanymi kapciami miał buty z metalowymi noskami.

– Za kogo ty się masz, smarkaczu?! – wrzasnął. – Mianowałeś się kapitanem bez mojej zgody! Wiesz, co robię z chłopakami, którzy mnie nie słuchają? Pamiętasz, co się stało, kiedy Sonar z „Remory” wyciął mi taki numer?

– Tak, Wujku – zabeczał Skewer. – Ale to nie moja wina, Wujku. To Caul! To on rozmawiał z jeleniem! Myślałem, że reguły...

– Więc może Caul nagiął trochę reguły – powiedział Wujek łagodnie

i kopnął Skewera w brzuch. – Jestem rozsądnym człowiekiem. Lubię, jak moi chłopcy wykazują inicjatywę. W końcu Caul nie ujawnił się byle komu, tylko naszemu drogiemu przyjacielowi Tomowi, prawda?

To mówiąc, chwycił Toma wilgotną dłonią za podbródek i przybliżył jego twarz do światła.

– Nie pomogę panu – zarzekł się Tom. – Jeżeli planuje pan zaatakować Anchorage, nie zamierzam panu pomagać.

Wujek zachichotał piskliwie.

– Zaatakować Anchorage? Wcale mnie to nie interesuje, Tom. Moi chłopcy to złodzieje, a nie wojownicy. Złodzieje i szpiedzy. Patrzą. Słuchają. Piszą mi raporty o tym, co dzieje się na pokładach miast. O tym, co się mówi. Tak. Dzięki temu wciąż mamy co rabować. Dzięki temu nikt nas nie schwytał. Dostaję mnóstwo raportów, Tom, zestawiam je ze sobą, porównuję, wyciągam wnioski. Zwracam uwagę na nazwiska, które pojawiają się w dziwnych kontekstach. Na przykład Hester Shaw... albo Thomas Natsworthy...

– Hester?! – zawołał Tom, wrywając się do przodu, aż Caul musiał go przytrzymać. – Co pan słyszał o Hester?

Pod ścianą strażnicy, niewidoczni do tej pory, wyciągnęli miecze gotowi bronić Wujka. Ten jednak gestem dłoni kazał im pozostać na miejscu.

– Czyli że raporty Caula mówiły prawdę? – zapytał Wujek. – Jesteś chłopakiem Hester Shaw? Jej kochankiem? – W jego głosie zabrzmiała zgrzytliwa prześmiewcza nuta i Tom zaczerwienił się, kiwając głową. Wujek przypatrywał mu się przez chwilę, a potem zachichotał. – Na początku zwróciłem uwagę na wasz statek. „Jenny Haniver”. O tak, ta nazwa wiele mi mówi. To sterowiec tej wiedzmy Anny Fang, zgadza się?

– Anna była naszą przyjaciółką – wybąkał Tom.

– Przyjaciółką, powiadasz?

– Niestety, nie żyje.

– Wiem.

– A my niejako odziedziczyliśmy „Jenny”.

– Odziedziczyliście, co? – zarechotał Wujek. – Ładne! Bardzo mi się to podoba, Tom! Odziedziczyliście! Jak widzisz, mam tu wiele rzeczy, które „odziedziczyłem”. Szkoda, że nie porwałem cię dziesięć lat temu. Byłby z ciebie świetny Zaginiony Chłopiec. – Roześmiał się raz jeszcze, a potem wrócił za biurko i usiadł w fotelu.

Tom spojrział na Caula i Skewera, na którego policzku wciąż czerwienił się odcisk Wujkowej dłoni. Dlaczego mu na to wszystko pozwalają? – zdziwił się. Są młodszy i silniejsi od niego, dlaczego słuchają jego rozkazów? Ale wystarczyło rozejrzeć się po wiszących na ścianach monitorach i posłuchać cichych rozmów, które płynęły z głośników, żeby domyślić się odpowiedzi. Wujek wiedział o wszystkim, co działo się w Grimsby, dlatego nikt nie śmiał mu się sprzeciwić.

– Powiedział pan coś o Hester – przypomniał starcowi, starając się mówić jak najuprzejmiej.

– Informacja, Tom – powiedział Wujek, zupełnie go ignorując. – Informacja. Oto klucz do wszystkiego. Raporty, które przysyłają mi moi mali złodzieje, są jak części wielkiej układanki. Jestem pewnie najlepiej poinformowanym człowiekiem na całej Północy, Tom. A to dlatego, że zwracam uwagę na zaskakujące szczegóły. Na małe zmiany. Zmiany potrafią być bardzo niebezpieczne.

– A Hester? – zapytał ponownie Tom. – Co pan wie o Hester?

– Na przykład – ciągnął Wujek – jest taka wyspa niedaleko stąd.

Nazywa się Gniazdo Szerszeni. Kiedyś miał tam siedzibę Czerwony Loki i jego piraci. Niezły był z niego koleś, ten Loki. Nigdy nie wchodził mi w paradę. Zajmowaliśmy inne miejsca w łańcuchu pokarmowym. Ale teraz już go nie ma. Został zamordowany. Jego wyspę przejęła banda antymobilistów. Zwą się Zieloną Burzą. To frakcja radykałów. Terroryści. Wywrotowcy. Słyszałeś może o nich, Tomie Natsworthy?

Tom zaczął się gorączkowo zastanawiać nad odpowiedzią. Pennyroyal mówił mu coś o Zielonej Burzy, kiedy nad górami Tannhauser ścigały ich sterowce, ale tyle się wtedy działo, że ledwo co pamiętał.

– Raczej nie – odparł.

– Ale oni słyszeli o tobie – oświadczył Wujek, pochylając się do przodu. – Bo niby dlaczego mieliby wynajmować szpiega, żeby odszukał wasz statek? I z jakiego innego powodu mieliby gościć twoją dziewczynę w swojej bazie?

– Hester jest z nimi? – uradował się Tom. – Jest pan pewien?

– Przecież właśnie to powiedziałem, prawda? – odparł Wujek, podrywając się z fotela i zacierając ręce. – Chociaż „gościna” nie jest może najodpowiedniejszym słowem – zauważył, wychodząc znowu zza biurka. – Obawiam się, że nie jest jej tam zbyt wygodnie. I chyba nie czuje się szczęśliwa. Siedzi samotnie w ciasnej celi. Od czasu do czasu zabierają ją, nie wiadomo dokąd. Na tortury... na przesłuchania...

– Ale jak się tam znalazła? Dlaczego? Czego od niej chcą? – Tom był wzburzony. Nie wiedział, czy Wujek mówi prawdę, czy tylko bawi się jego kosztem. Mógł myśleć tylko o Hester cierpiącej w więzieniu. – Nie mogę tu zostać! – oświadczył. – Muszę ją stamtąd wyciągnąć...

Wujek uśmiechnął się szeroko.

– Jasne, że musisz, drogi chłopcze. Właśnie dlatego cię sprowadziłem. Bo widzisz, tak się składa, że mamy wspólny interes. Ty uratujesz swoją biedną dziewczynę z Gniazda Szerszeni. A ja i moi chłopcy pomożemy ci w tym.

– Dlaczego? – zapytał Tom. Miał co prawda ufną naturę – zbyt ufną, jak mawiała Hester – ale nie był aż tak naiwny, żeby zaufać Wujkowi.

– Dlaczego chce mi pan pomóc? Co pan na tym zyska?

– Dobrze pytanie! – zachichotał Wujek, zacierając ręce. – Chodź, zjedzmy coś. W sali z mapami podają właśnie kolację. Caul, drogi chłopcze, idziesz z nami. A ty, Skewer, zejdź mi wreszcie z oczu!

Skewer wymknął się na korytarz jak zbity kundel, a Wujek wyprowadził Toma i Caula tylnymi drzwiami z gabinetu. We trójkę wspięli się krętymi schodkami na górę i weszli do pokoju od podłogi po sam sufit umeblowanego drewnianymi regałami. W każdą wolną przestrzeń na półkach powciskane były rulony map i planów, a stojący na drabinach smutni, anemiczni chłopcy – złodzieje nieudacznicy, którym zabroniono pracy w terenie – zdejmowali dokumenty, których Wujek potrzebował do zaplanowania nowych kradzieży, i wkładali na ich miejsce te, z których już skorzystał. Właśnie tutaj skończy biedny mały Gargle, pomyślał ze smutkiem Caul. Nie miał wątpliwości, że po tym, jak źle spisał się malec w Anchorage, Wujek nigdy już nie puści go na żadną misję. Resztę życia będzie musiał spędzić, przekopując się przez stosy butwiejących dokumentów lub sterując szpiegowskimi kamerami.

Wujek zasiadł u szczytu stołu i włączył małe monitor, który stał przy jego talerzu. Nawet w czasie jedzenia obserwował, co robią jego chłopcy.

– Siadajcie! – zawołał, wskazując szerokim gestem ustawione na obrusie talerze. – Częstujcie się! Czym chata bogata!

W Grimsby można było zjeść tylko to, co ukradli Zaginieni Chłopcy, a ci rabowali wyłącznie to, co lubią zwykli chłopcy, których nikt nie poucza o zdrowej diecie i nie przestrzega przed jedzeniem słodczy. W miskach leżały więc słodkie biszkopty i tanie czekoladki, na talerzach stały kanapki z tłustym bekonem i cieniutkie pajdy chleba z wodorostów posmarowane grubą warstwą miodu, obok zaś kieliszki podłego, nieumiejętnie dobranego wina. Jedyne ustępstwo na rzecz zdrowej żywności stanowiła micha gotowanego szpinaku ustawiona pośrodku stołu.

– Pilnuję, żeby chłopcy zawsze przywozili trochę warzyw – wyjaśnił Wujek, nakładając sobie łychę zielonej papki. – Nie chcę tu mieć szkorbutu... Pytasz więc, dlaczego ci pomagam – powiedział po jakimś czasie, przeżuwając szybko jedzenie i co chwila zerkając na monitor. – Cóż, Tom, sprawa wygląda następująco. Szpiegowanie Gniazda Szerszeni to trudne zadanie. Od miesięcy mam tam bazę nasłuchową, ale wciąż nie wiem, co knuje Zielona Burza. Antymobiliści są czujni. Udało nam się wprowadzić do środka zaledwie kilka kamer i boję się posłać tam któregoś z chłopców. Miałby jedną szansę na dziesięć, że nie zostanie złapany. Dlatego wymyśliłem, że wyślę tam ciebie. Ty będziesz mógł uwolnić swoją Hester, a ja dowiem się przy okazji czegoś więcej o Gnieździe.

Tom spojrzał na niego zdumiony.

– Ale pańscy chłopcy to wyszkoleni złodzieje! Jeżeli nie potrafią dostać się do środka, dlaczego uważa pan, że mnie się to uda?

Wujek roześmiał się chrapliwie.

– Jeśli zostaniesz schwytany, w niczym mi to nie zaszkodzi. Za to

dowiem się wiele o ich ochronie, obserwując, jak cię łapią. A gdyby cię przesłuchali, nie wydasz żadnej z moich tajemnic. Nie wiesz, gdzie leży Grimsby. Nie wiesz, iloma pająkomobilami dysponuję. Zresztą i tak pewnie by ci nie uwierzyli. Uznaliby, że działałeś na własną rękę z miłości do swojej dziewczyny. Czyż to nie słodkie?!

– Mówi pan tak, jakby spodziewał się, że mnie złapią – zauważył Tom.

– Niezupełnie – zaprotestował Wujek. – Ale musimy się przygotować na wszelkie ewentualności, Tom. Przy odrobinie szczęścia i z pomocą moich chłopców przedostaniesz się do środka, uwolnisz dziewczynę i uciekniesz, a za parę dni wszyscy będziemy siedzieć przy tym stole i słuchać, jak Hester opowiada o Zielonej Burzy i jej planach – wyjaśnił, po czym wepchnął do ust garść popkornu i skupił uwagę na monitorze, przerzucając beztróska kanały.

Caul wpatrywał się smętnie w talerz, wstrząśnięty słowami Wujka. Wyglądało na to, że jego szef chce wykorzystać Toma niczym kamerę szpiegowską, której stratę można wkalkulować w koszty operacji...

– Nie zrobię tego! – odparł Tom.

– Ależ przyjacielu! – wykrzyknął Wujek, podnosząc wzrok.

– Chcę pomóc Hester, ale to szaleństwo! Gniazdo Szerszeni to forteca! A ja jestem historykiem, a nie komandosem!

– Ale musisz – powiedział Wujek. – Bo Hester tam jest. Czytałem raporty Caula i Skewera. Wiem, jak ją kochasz i jak bardzo zadręczałeś się po jej utracie. Pomyśl, o ile gorzej będziesz się czuł ze świadomością, że nawet nie próbowałeś jej ocalić. Mimo że miałeś taką okazję. A oni chyba naprawdę ją tam torturują. Obwiniają ją o śmierć Anny Fang.

– Ale to niesprawiedliwe! To śmieszne!

– Może i tak. Zapewne to właśnie próbuje wytłumaczyć im biedna Hester podczas przesłuchań. Ale wątpię, żeby dali się przekonać. Zresztą nawet jeśli uznają w końcu, że jest niewinna, raczej nie puszczą jej wolno, prawda? Zastrzelą ją i zrzucą jej ciało do morza. Wyobrażasz to sobie, Tom? To dobrze. Lepiej do tego przywyknij. Bo jeśli nie spróbujesz jej teraz uratować, ten okropny obraz będzie ci się śnił do końca życia.

Tom odepchnął krzesło i wstał od stołu. Chciał wyrzeć przez okno, byle tylko nie patrzeć na chytrą, wszechwiedzącą minę Wujka, ale w pokoju nie było żadnych okien, na zewnątrz zaś i tak nie zobaczyłby niczego poza wodą i dachami zatopionego miasta. Na tablicy przy drzwiach wisiała mapa Gniazda Szerszeni, otoczonej oceanem wyspy, okopów, zasieków i stromych skał. Tom wpatrywał się w nią przez chwilę, zastanawiając się, w którym z zaznaczonych na niebiesko budynków przetrzymują Hester i co się z nią teraz dzieje. Zamknął oczy, a ona już czekała na niego w mroku pod powiekami dokładnie tak, jak Wujek przewidział.

To wszystko jego wina. Gdyby nie pocałował Freyi, Hester nie odleciałaby z Anchorage i nigdy nie dostałaby się w łapska Zielonej Burzy. Freyi też groziło niebezpieczeństwo, ale znajdowała się daleko stąd, a on nie mógł pomóc ani jej, ani jej miastu. Mógł jednak pomóc Hester. Nawet jeśli miał tylko jedną szansę na dziesięć.

Opanował się i starając się nie okazać lęku, odwrócił się do Wujka.

– Dobrze – powiedział. – Zrobię to.

– Wyśmienicie! – roześmiał się Wujek, klaszcząc w dłonie. – Wiedziałem, że się zgodzisz! Jutro z samego rana Caul zabierze cię „Śrubodźdzownicą” na miejsce!

Caul siedział ze spuszczoną głową, rozdzierany przez

przeciwstawne emocje. Z jednej strony lękał się o los Toma, lecz z drugiej rozpierała go radość, a nawet duma, bo mimo tego, jak zachował się w mieście Freyi, wciąż był kapitanem pająkomobila. Po chwili wstał i podszedł do Toma.

– Nie bój się – rzekł. – Nie będziesz sam. Teraz jesteś jednym z nas. Pomożemy ci dostać się na wyspę i wrócić z Hester. Wszystko będzie dobrze.

Wujek spojrział w monitor, przeskakując z kanału na kanał, bo nigdy nie wiadomo, do czego mogą być zdolni Zaginieni Chłopcy, jeśli nie ma się ich pod stałą kontrolą. Potem, uśmiechając się szeroko, napełnił Tomowi i Caulowi kieliszki, żeby łatwiej przełknęli półprawdy i kłamstwa, jakimi ich uraczył.

25. Laboratorium doktora Popjoya

Uwięzionej w Gnieździe Szerszeni Hester czas mijał bardzo powoli. Między dniem a nocą nie było właściwie różnicy. Tylko kolor nieba w okienku zmieniał się z czarnego na szary. Raz do celi zajrzał księżyc w pełni i zdała sobie sprawę, że od jej rozstania z Tomem upłynął już ponad miesiąc.

Siedziała w kącie, jadła, gdy przez kłapkę w drzwiach strażnicy wtykali miskę, a kiedy natura dopominała się o swoje prawa, kuciała nad blaszanym wiadrem. Wpatrując się w zagrzybioną ścianę, wyobrażała sobie mapę i próbowała obliczyć, w którym miejscu Archangielsk dopadnie Anchorage i kiedy to się stanie. Głównie jednak myślała o tym, że jest córką Valentine'a.

Zdarzały się dni, kiedy miała do siebie pretensje, że nie zabiła go, gdy nadarzyła się okazja. Kiedy indziej żałowała, że już nie żyje, bo chciała mu zadać tyle pytań. Czy kochał jej matkę? Czy wiedział, kim jest Hester? Dlaczego tak bardzo zależało mu na Katherine, a tak mało na drugim dziecku?

Czasami otwierały się drzwi i żołnierze zabierali ją do Komory Pamięci, gdzie czekała Sathya, Popjoy i istota, która niegdyś była Anną

Fang. Wielkie brzydkie zdjęcie jej twarzy zostało dodane do innych fotografii na ścianach kulistej celi, lecz Sathya nalegała, aby Hester uczestniczyła w sesjach, podczas których ona cierpliwie, raz za razem, opowiadała historie z życia Anny Fang obojętnemu cyborgowi. Nienawiść, jaką na początku czuła do Hester, zdawała się słabnąć, jak gdyby Sathya zaczęła pojmować, że ta zeszpecona chuda dziewczyna nie jest wcale okrutną, pozbawioną skrupułów agentką Londynu, jak to sobie wyobraziła. Hester zaś powoli zaczynała rozumieć Sathyę i powód, dla którego tak bardzo zależało jej na tym, żeby przywrócić pannę Fang do życia.

Sathya urodziła się na gołej ziemi, w jaskiniach na południu Indii. Gdy nadchodziła pora sucha, jej plemię musiało przenosić się z całym dobytkiem z miejsca na miejsce, aby uniknąć zmiądzenia pod kołami wielkich miast, takich jak Chidanagaram, Gutak albo Juggernathpur. Kiedy zaś zaczynały padać deszcze, ziemia pod ich bosymi stopami zmieniała się w grząskie błoto. Wszyscy marzyli o dniu, kiedy będą mogli zamieszkać w jakiejś statycznej osadzie na północy, lecz dorastając, Sathya zrozumiała, że nigdy nie wybiorą się w tak daleką podróż. Samo przetrwanie pochłaniało cały ich czas i energię.

I wtedy nadleciał statek. Czerwony sterowiec pilotowany przez wysoką, miłą, piękną kobietę, która wylądowała na naprawy w drodze na północ po wykonaniu misji w Palau Pinang. Dzieci z obozowiska obległy ją, słuchając z przejęciem opowieści o Lidze Antymobilistów i pracy, jaką dla niej wykonywała. Anna Fang zatopiła całe morskie miasto, które zaatakowało Tysiąc Wysp. Toczyła powietrzne bitwy z myśliwcami Paryża i Cittamotore. Podkładała bomby w trzewiach wielkich miejskich drapieźników.

Stojąc nieśmiało z tyłu za grupą dzieciaków, Sathya po raz pierwszy zrozumiała, że nie musi do samej śmierci żyć jak nędzny robak. Może walczyć.

Tydzień później, w połowie drogi do stolicy Ligi w Tienjing, panna Fang usłyszała hałasy dochodzące z ładowni „Jenny Haniver” i znalazła Sathyę przycupniętą wśród bagaży. Zlitowawszy się nad biedną dziewczyną, opłaciła jej naukę w wojskowej szkole lotniczej Ligi. Sathya przykładała się do pracy, dobrze się uczyła i wkrótce została mianowana dowódcą eskadry w Północnej Flocie Powietrznej. Miesiąc w miesiąc trzy czwarte żołdu wysyłała na południe, żeby wspomóc rodzinę, jednak rzadko o niej myślała. Teraz Liga była jej rodziną, a Anna Fang stała się zarazem jej matką, siostrą i mądrą, wyrozumiałą przyjaciółką.

A jak Sathya odpłaciła się za całą tę dobroć? Wraz z grupką fanatyków z Zielonej Burzy wkradła się do lodowych jaskiń Zhan Shan, gdzie Liga chowała najbardziej zasłużonych wojowników, i zabrała stamtąd zamrożone ciało Anny. Przetransportowała je potem do Gniazda Szerszeni i pozwoliła doktorowi Popjoyowi uprawiać na nim diabelskie sztuczki. Hester coraz bardziej współczuła Sathyi, widząc, jak ta próbuje wykrzesać z Łowcy dawne, ludzkie wspomnienia. „Nie jestem Anną Fang” – powtarzał raz za razem cyborg swoim metalicznym, świszczącym głosem. Czasami wpadał w gniew i musieli wychodzić. Raz przez kilka dni z rzędu nie odbyła się żadna sesja. Później Hester dowiedziała się, że zmartwychwstaniec zabił strażnika i próbował wydostać się z celi.

W lepsze dni, kiedy bestia zdawała się skłonna do współpracy, całą czwórką wybierali się specjalnie chronionym korytarzem do hangaru, w którym stała „Jenny Haniver”. W jej małej gondoli Hester musiała

odgrywać wszystko, co zapamiętała z dwóch krótkich podróży z Anną, a Sathya po raz kolejny opowiadała o tym, jak panna Fang zbudowała statek, wykradając części ze złomowiska w Archangielsku, gdzie pracowała jako niewolnica.

Łowca patrzył na nią zimnymi zielonymi oczyma i szeptał:

– Nie jestem Anną Fang. Traciecie czas, nędzni śmiertelnicy. Skonstruowaliście mnie, żebym dowodziła Zieloną Burzą. Chcę burzyć miasta, palić i mordować.

Pewnej nocy Sathya zjawiła się samotnie w celi. Wyglądała na jeszcze bardziej roztrzęsioną i ponurą niż zazwyczaj. Miała cienie pod oczami i obgryzione do krwi paznokcie. Dziwna myśl przyszła Hester do głowy, gdy podnosiła się z podłogi, aby powitać gościa. Ona też czuje się uwięziona.

– Chodź – powiedziała Sathya.

Poprowadziła Hester długim mrocznym tunelem do laboratorium. Doktor Popjoy siedział zgarbiony przy stole, jego łysa czaszka lśniła w świetle argonowej lampy, gdy pracował przy małym, delikatnym mechanizmie. Sathya musiała kilkakrotnie powtórzyć jego imię, nim chrząknął, dokonał kilku ostatnich poprawek i podniósł się z krzesła.

– Chcę, żeby Hester dowiedziała się wszystkiego, doktorze – oświadczyła Sathya.

Popjoy zamrugał wilgotnymi przekrwionymi oczami.

– Jest pani pewna, że to mądre posunięcie? Gdyby komuś o tym powiedziała... Ale wydaje mi się, że panna Shaw nie wyjdzie stąd żywa, prawda? W każdym razie nie w potocznym tego słowa znaczeniu! – zachichotał i zaprosił gości do środka.

Gdy Hester zbliżyła się do stołu, zobaczyła, że mechanizmem, nad

którym inżynier pracował, jest mózg Łowcy.

– Fascynująca technologia, nieprawdaż, moja droga? – zauważył Popjoy z dumą. – Oczywiście, potrzebuje jeszcze ciała. Teraz to tylko zmyślna, bezużyteczna zabaweczka, ale poczekaj, aż ją zainstaluję! Trochę chemii, elektryczne zasilanie i bum! – zarechotał.

Zatańczył żwawo po laboratorium, podrygując wśród szklanych retort, słoików z martwą tkanką i mechanicznych części Łowców. W kącie, na stojaku w kształcie litery T stał wielki martwy ptak świdrujący gości zielonymi żarzącymi się ślepiami. Kiedy Popjoy wyciągnął ku niemu rękę, zwierzę rozprostowało skrzydła i otworło dziób.

– Jak widzisz – powiedział inżynier – nie ograniczam się tylko do wskrzeszania ludzi. Prototypy ptaków cyborgów już patrolują niebo wokół Bazy, a ja wciąż pracuję nad innymi pomysłami. Wyobraź sobie na przykład kota cyborga albo półmechanicznego wieloryba, który podkładałby materiały wybuchowe pod morskie miasta. W międzyczasie poczyniłem zaś wielkie postępy we wskrzeszaniu ludzi...

Hester zerknęła na Sathyę, ale ta nie śmiała spojrzeć jej w oczy, tylko podążyła za Popjoyem do drzwi w głębi sali. Kościste palce inżyniera zatańczyły na klawiaturze, wstukując odpowiedni kod. Elektromagnetyczny zamek otworzył się z cichym zgrzytem, dając dostęp do lodowej jaskini, w której pod foliowymi płachtami stały jakieś dziwne postacie.

– Z przykrością muszę stwierdzić, że starożytnym konstruktorom zabrakło wyobraźni – wyjaśnił Popjoy, biegając po chłodni i zrywając po kolei plastikowe nakrycia. – To, że Łowca potrzebuje ludzkiego mózgu i systemu nerwowego, nie oznacza jeszcze, że musimy się

ograniczać do ludzkich kształtów. Po co zatrzymywać się na dwóch nogach i rękach? Dlaczego pozostawiać im tylko parę oczu? Po co kłopotać się z ustami? Łowcy nie potrzebują jedzenia, a my nie budujemy ich dlatego, że cenimy sobie ich dar wymowy...

W mroźnej jaskini stały stalowe centaury o dwudziestu ramionach i gąsienicach zamiast nóg. Stwory z patykowatymi odnóżami zakończonymi pazurami przypominające pająki i karabinami maszynowymi wbudowanymi w tułów. Łowcy z dodatkowymi oczami z tyłu głowy. Na półce przy drzwiach leżał niedokończony mechanizm wmontowany w ciało biednego Widgery'ego Blinkoe'a.

Hester zakryła ręką usta.

– To kupiec, który porwał mnie z Archangielska!

– Och, to tylko płatny agent – oznajmiła Sathya. – Za dużo wiedział. Musieliśmy go zlikwidować tej samej nocy, kiedy cię przywiózł.

– A jeśli jego żony przylecą go szukać?

– Szukałabyś Blinkoe'a, gdybyś była na ich miejscu? – zapytała Sathya, nie spojrzawszy nawet na martwego szpiega.

– Cóż! – powiedział Popjoy radosnym głosem, zakrywając nowe modele Łowców folią. – Lepiej wyjdźmy na zewnątrz, nim moi chłopcy zaczną rozmarzać. Przed uruchomieniem zachodzi niestety niebezpieczeństwo, że zgniją.

Hester nie była w stanie się ruszyć. Sathya wepchnęła ją z powrotem do laboratorium, mówiąc:

– Dziękuję, doktorze Popjoy. To było niezwykle pouczające.

– Cała przyjemność po mojej stronie – zapewnił inżynier, kłaniając się szarmancko. – Zawsze do usług... Jestem pewien, że wkrótce przywrócimy pamięć pani przyjaciółce Annie. Do widzenia! Do widzenia, panno Shaw! Z radością zajmę się pani ciałem po egzekucji.

Znalazły się na korytarzu, a po chwili wyszły na zewnątrz, na zardzewiałą kładkę biegnącą wzdłuż ściany klifu. Hester zwymiotowała, wychyliwszy się przez barierkę, zdołała jeszcze poczuć na twarzy podmuchy silnego wiatru wiejącego od lodowca.

– Pytałaś mnie kiedyś, dlaczego Zielona Burza popiera moje prace – powiedziała Sathya. – Teraz już wiesz. Tak naprawdę Anna mało ich interesuje. Zależy im głównie na tym, żeby Popjoy zbudował armię Łowców, dzięki którym przejmą władzę w Lidze i rozpoczną wojnę przeciwko mobilizmowi.

Hester wytarła usta i spojrzała w dół, na spieniony ocean.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytała.

– Bo chcę, żebyś wiedziała. Bo kiedy zaczną spadać bomby i cyborgi Zielonej Burzy ruszą do boju, chciałabym, żeby ktoś wiedział, że to nie moja wina. Zrobiłam to dla Anny. Tylko dla Anny.

– Ona nie pragnęła tego, nie pragnęła wojny.

Sathya spuściła smutno głowę.

– Uważała, że powinniśmy atakować ruchome miasta tylko wtedy, gdy stanowią dla nas bezpośrednie zagrożenie. Nigdy nie twierdziła, że wszyscy mieszczenie to barbarzyńcy. Mówiła, że większość z nich jest tylko zagubiona. Myślałam, że kiedy Anna stanie się znowu sobą, pokaże nam, jak powinniśmy walczyć. Że będzie mniej zaślepiona od Zielonej Burzy, ale bardziej zdecydowana od starych władz Ligi. Jednak Zielona Burza rośnie w siłę z każdym dniem, nowe cyborgi są niemal gotowe, a Anna niczego sobie jeszcze nie przypomniwała...

Hester poczuła, jak jej twarz wykrzywia się w sarkastycznym uśmiechu, i szybko odwróciła głowę, żeby Sathya tego nie zauważyła. Trudno było przejąć się moralnymi dylematami dziewczyny, która z zimną krwią zamordowała starego Blinkoe'a. Ale dostrzegła w tym

pewną szansę. Wątpliwości Sathyi były jak obłuzowana krata w więziennym oknie. Oto słabość, którą mogła wykorzystać.

– Powinnaś ostrzec Ligę – powiedziała. – Wyślij posłańca do Wysokiej Rady. Niech im opowie o planach Zielonej Burzy.

– Nie mogę – odparła Sathya. – Gdyby Zielona Burza dowiedziała się o tym, byłabym martwa.

Hester wciąż wpatrywała się w ocean, zlizując z warg kropelki słonej wody.

– A gdyby uciekł ci więzień? – zapytała. – Nie mogliby cię za to winić. Gdyby więzień, który wie, co się tu dzieje, wykradł sterowiec i odleciał, nie mogliby mieć do ciebie pretensji.

Sathya podniosła nagle wzrok. Hester zadrżała z podniecenia na myśl o ucieczce. Mogła opuścić to miejsce! Ocalić Toma! Była dumna, że tak sprytnie i okrutnie igra z nieszczęściem Sathyi. Zachowanie godne córki Valentine'a.

– Daj mi uciec – powiedziała. – Polecę „Jenny Haniver” na terytorium Ligi. Znajdę kogoś godnego zaufania, na przykład kapitana Khorę. On sprowadzi tu statki wojenne, odbije wyspę i pogrąży cyborgi Popjoya w oceanie, nim Zielona Burza zdąży je wykorzystać.

Oczy Sathyi zalsniły, jakby wyobrażała sobie, jak przystojny Afrykańczyk wyskakuje z gondoli Achebe 9000 i pomaga jej wydostać się z pułapki, w jaką sama się zapędziła. Po chwili jednak pokręciła głową.

– Nie mogę – odparła. – Gdyby Khora zobaczył Annę w jej obecnym stanie... mógłby nie zrozumieć. Nie pozwolę, żeby cokolwiek przeszkodziło mi w pracy, Hester. Jesteśmy już tak blisko... Zresztą jak mogłabym cię wypuścić? Przecież przyłożyłaś rękę do śmierci Anny.

– Nie wierzysz w to – powiedziała Hester. – Już nie. Inaczej dawno

byś mnie zabiła.

Dwie srebrzyste łzy spłynęły po śniadych policzkach Sathyi.

– Już sama nie wiem – wyznała. – Ostatnio dręczy mnie tyle wątpliwości. – Nagle objęła Hester, tuląc jej twarz do szorstkiego wykrochmalonego munduru. – Dobrze mieć z kim porozmawiać. Nie zabiję cię. Kiedy Anna wydobrzeje, na pewno sama powie, czy ponosisz winę za jej śmierć. Musisz tu zostać, aż odzyska pamięć.

26. Widok z góry

Gdyby spojrzeć na świat z bardzo wysoka – z punktu widzenia boga albo ducha zamieszkującego jedną ze starych amerykańskich stacji orbitalnych, które wciąż krążą nad biegunem – na pierwszy rzut oka Lodowe Pustkowia wyglądałyby równie nieinteresująco jak białe ściany w celi Hester. Jak śnieżne bielmo zasnuwające błękitne oko biednej Ziemi. Ale wystarczy skupić bardziej wzrok, żeby dojrzeć czarne poruszające się punkciki. Widzicie tę małą plamkę na zachód od Grenlandii? To Anchorage, które posuwa się między zaśnieżonymi górami po niezbadanym terenie. Miasto jest ostrożne, cały czas przed jego dziobem jadą skutery zwiadowcze. Mieszkańcy pamiętają też o pasożycie, który porwał biednego Toma. W maszynowni rozstawiono strażę, a każdego ranka wartownicy obchodzą wszystkie dzielnice w poszukiwaniu nieproszonych gości.

Nikt na pokładzie nie podejrzewa jednak, że prawdziwe niebezpieczeństwo czyha gdzie indziej. Jest nim ta druga plamka, większa i ciemniejsza, która zbliża się do Anchorage ze wschodu i opuściwszy gąsienice, przedziera się właśnie przez wzgórza Grenlandii. To Archangielsk. W jego trzewiach niewolnicy rozmontowują właśnie Wolverinehampton i trzy osady

wielorybnicze. Głęboko w Rdzeniu zaś, w wyłożonym kością słoniową gabinecie burmistrza, Piotr Masgard namawia ojca, żeby rozkazał miastu przyśpieszyć.

– Szybkość oznacza większe zużycie paliwa, mój chłopcze – mówi burmistrz, gładząc siwą brodę. – Schwytaliśmy już Wolverinehampton, nie jestem przekonany, czy warto pchać się dalej na zachód po Anchorage. Może nigdy go nie znajdziemy. Doniesiono mi, że dziewczyna, która sprzedała ci jego kurs, zniknęła.

Piotr Masgard wzrusza ramionami.

– Zdrajcy często zaszywają się gdzieś na czas polowania. Ale mam wrażenie, że tę dziewczynę jeszcze tu zobaczymy. Wróci po swoją zapłatę. Musimy ich upolować, ojcze! – przekonuje, waląc pięścią w blat biurka. – Tu nie chodzi o jakąś mizerną osadę wielorybniczą, ale o Anchorage! O bogactwa pałacu Rasmussenów! O silniki! Sprawdziłem dokumentację. Kule Scabiousów są podobno aż dwadzieścia razy bardziej wydajne od zwykłych systemów napędowych.

– To prawda – przyznaje ojciec. – Scabiousowie od wieków strzegą tajemnicy ich konstrukcji. Pewnie lękają się, żeby nie dobrał się do nich jakiś drapieżnik.

– Widzisz, ojcze? – mówi Masgard z triumfem. – A teraz my możemy je mieć. Søren Scabious mógłby zmodernizować nasze silniki tak, że będziemy potrzebować dwa razy mniej paliwa, a to pozwoli nam schwycić dwa razy więcej łupów!

– Dobrze. Masz moją zgodę – wzdycha stary burmistrz.

– Nie pożalujesz, tato. Jeszcze tylko tydzień podróży, a potem ja i moje Wilcze Stado znajdziemy ci to miasto.

A gdyby na pokładzie stacji kosmicznej rzeczywiście był duch, który

potrafi posługiwać się starożytną techniką i zobaczyć, co dzieje się głęboko pod powierzchnią wody, to ujrzałby, że w Grimsby Wujek wpatruje się w największy ze swoich monitorów i obserwuje, jak „Śrubodźdźownica” wypływa z miasta. Z Caulem za sterami oraz Skewerem do pomocy, wiezie Toma Natsworthy’ego do Gniazda Szerszeni.

– Zrób zbliżenie, chłopcze! Szybko! – rozkazuje Wujek, rozkoszując się widokiem tylnych świateł pająkomobila, niknących w ciemnej morskiej toni. Gargle, który siedzi obok przy konsolce, posłusznie wykonuje polecenie. Wujek klepie go po rozczochranej czuprynie. Dobry chłopak, na pewno przyda się w archiwum i przy kamerach. Czasami Wujek ma wrażenie, że właśnie takich bezbronnych, grzecznych malców lubi najbardziej. Przynajmniej nie przysparzają mu kłopotów. Inaczej niż dziwny wrażliwy Caul, który ostatnio zachowywał się tak, jakby budziło się w nim sumienie. Inaczej niż twardy, ambitny Skewer, którego trzeba nieustannie mieć na oku, żeby nie zwrócił się przeciwko swojemu chlebodawcy.

– Odpłynęli, Wujku – mówi Gargle. – Myśli Wujek, że temu jeleniowi się uda?

– A kogo to obchodzi? – odpowiada Wujek, chichocząc. – Skorzystamy na tym tak czy siak. Nie wiem co prawda o Gnieździe Szerszeni tyle, ile bym chciał, ale w raportach Wrassego znalazłem kilka interesujących szczegółów. Wystarczy dodać je do siebie i wyciągnąć wnioski. Londyński inżynier... Trumna z Shan Guo w skrzyni obłożonej lodem... Sathya, która wciąż gada o swojej biednej martwej przyjaciółce... Dla geniusza takiego jak ja wszystko jest jasne. Elementarne, drogi chłopcze.

Gargle spogląda na Wujka okrągłymi, szeroko otwartymi oczami.

– Czyli że... Tom?

– Nie przejmuj się – mówi Wujek, mierzwiąc mu czuprynę. –
Wysłałem go tam tylko po to, żeby odwrócić uwagę Zielonej Burzy.

– Ale od czego, Wujku?

– Zobaczysz, mały. Zobaczysz.

27. Schody

Stacja nasłuchowa Zaginionych Chłopców znajdowała się niedaleko wschodniego brzegu wyspy, gdzie wysokie skały opadały stromo do oceanu. Jeden ze statków powietrznych Czerwonego Lokiego rozbił się tam podczas bitwy z Zieloną Burzą i w ponurym wypalonym szkielecie jego balonu skryły się trzy złączone ze sobą pająkomobile. „Śrubodźdźownica” wpłynęła do wraku i za pomocą hermetycznego korytarza połączyła się ze środkowym pająkomobilem o nazwie „Pchli Duszek”.

– Więc tak wygląda nowy rekrut Wujka? – zapytał wysoki młody mężczyzna czekający przy włączu, gdy Caul, Skewer i Tom zeszli do kabiny. Był to najstarszy członek gangu złodziei, jakiego Tom do tej pory widział. Na jego twarzy błąkał się dziwny lekceważący uśmiech.

– Dziewczyna Toma, Hester Shaw, jest uwięziona na wyspie – zaczął wyjaśniać Caul.

– Tak, tak. Ryborakieta Wujka dotarła tu przed wami. Wiem już wszystko o tych kochasiach. Czego się nie robi w imię miłości, co? – powiedział i zniknął w wąskim korytarzu prowadzącym do centrum operacyjnego.

– To Wrasse – szepnął Caul, idąc wraz z Tomem i Skewerem za

wysokim mężczyzną. – Jest jednym z pierwszych.

– Jakich pierwszych? – spytał Tom.

– Jednym z pierwszych chłopców ściągniętych przez Wujka do Grimsby. Teraz jest jednym z dowódców. Wujek pozwala mu brać połowę tego, co zrabuje. Wrasse jest jego prawą ręką.

Weszli za Wrassem do ładowni, w której urządzono tymczasową stację wywiadowczą. Inni chłopcy, wszyscy młodszy od Wrassego, ale starsi od Skewera i Caula, wylegiwali się ze znudzonymi minami na podłodze lub siedzieli przy pulpitych sterowniczych, wpatrując się uważnie w niebieskawe okrągłe ekrany, które zajmowały prawie całą ścianę. Panował tu straszny tłok. Caul nigdy nie słyszał o tak wielkiej misji. Dlaczego Wujek wysłał na przeszpiegi aż tylu chłopców? I dlaczego większość monitorów jest wyłączona?

– Używacie tylko trzech kamer! – zdziwił się. – W Anchorage mieliśmy ich trzydzieści!

– To co innego niż okradanie leniwych mieszczan – odrzekł Wrasse.

– Zielona Burza to poważni zawodnicy. Porozstawiali wszędzie uzbrojonych wartowników. Jest tylko jeden sposób, żeby wprowadzić kamery – przez starą rurę ściekową do toalety mieszczącej się w opuszczonym zachodnim skrzydle, a potem do instalacji grzewczej. Udało nam się ulokować tam trzy kamery, ale jelenie usłyszeli hałasy i stali się podejrzliwi, więc nie możemy nimi poruszać i zrezygnowaliśmy z wysyłania następnych. Pewnie nie moglibyśmy umieścić nawet tych trzech, gdyby Wujek nie zaopatrzył nas w swoje najnowsze modele. Są sterowane przez radio i mają kilka dodatkowych funkcji.

Znowu ten uśmiech. Caul zerknął na pulpit sterowniczy. Między pustymi kubkami po kawie leżały tam pliki notatek dotyczących

głównie godzin zmian warty i zwyczajów poszczególnych strażników. Jego uwagę zwrócił jednak rząd dużych czerwonych przycisków osłoniętych klapkami z przezroczystego plastiku.

– Co to takiego? – zapytał.

– Nie twoja sprawa – powiedział Wrasse.

– To co waszym zdaniem dzieje się tam na górze? – zapytał Skewer.

Wrasse wzruszył ramionami, przełączając kanały.

– Nie mam pojęcia. Do miejsc, które najbardziej interesują Wujka, czyli do laboratorium i Komory Pamięci, w ogóle nie udało nam się dostać. Podśluchujemy rozmowy w głównym hangarze, ale nie zawsze je rozumiemy. Ci żołnierze nie gadają po angielsku albo nordycku jak normalni ludzie. Najczęściej słyszymy jakiś azjatycki bełkot. To ich dowódca – oznajmił, wskazując niewyraźny obraz śniadej twarzy, która wydała się Tomowi znajoma. – Straszna wariatka. Mówi o zmarłej przyjaciółce, jakby wciąż żyła. Wujek bardzo się nią interesuje. No i mamy jeszcze tę uroczą osobkę...

Tom wstrzymał oddech. Na ekranie pojawiła się ciemna postać przycupnięta na podłodze ciasnej celi. Obraz był tak niewyraźny i źle oświetlony, że po dłuższym czasie patrzenia zamieniał się w kaszę zupełnie abstrakcyjnych kształtów. Tomowi wystarczyło jednak tylko jedno spojrzenie.

– To Hester! – wykrzyknął.

Zaginieni Chłopcy zachichotali, trącąc się nawzajem łokciami. Widzieli już twarz dziewczyny i uważali za niezwykle zabawne, że komuś może na niej zależeć.

– Muszę tam pójść – powiedział Tom, pochylając się bliżej i żałując, że nie może zanurzyć ręki w szklany ekran i dotknąć jej, żeby wiedziała, że nie jest sama.

– I pójdiesz – oznajmił Wrasse. Wziął Toma za ramię i zaciągnął go do malutkiego pomieszczenia, na którego ścianach wisiały karabiny, miecze i dzidy. – Jesteśmy gotowi. Dostaliśmy od Wujka instrukcje. Wszystko zaplanowane. – Wręczył Tomowi mały pistolecik i dziwny metalowy przyrząd. – Wytrych – powiedział.

Za niedomkniętych drzwi do centrum operacyjnego zaczęły dobiegać odgłosy krzątania. Teraz nikt się tam nie nudził. Zerknąwszy w szparę, Tom ujrzał chłopców biegających tam i z powrotem z papierami i tablicami, wciskających jakieś guziki na pulpity, przymierzających słuchawki na uszy.

– Chyba nie wyślecie mnie w tej chwili? – zapytał. Miał nadzieję, że dadzą mu trochę czasu na przygotowanie albo przynajmniej powiedzą, czego dowiedzieli się o Gnieździe Szerszeni. Przez myśl mu nie przeszło, że wypchną go do akcji zaraz po przybyciu do bazy.

Jednak Wrasse chwycił go znowu za ramię i pociągnął przez centrum operacyjne oraz płataninę korytarzy.

– Im prędzej, tym lepiej – oświadczył.

Na zachodnim brzegu wyspy stare metalowe schody pięły się zygzakiem w górę klifu. U jego podnóży wdzierało się w morze osłonięte wielkimi głazami żelazne molo. Za czasów Czerwonego Lokiego cumowały tu łodzie z zaopatrzeniem, ale od przejęcia Gniazda Szerszeni przez Zieloną Burzę nie zawinęła tu żadna łajba i molo wyglądało na zaniedbane, przeżarte przez rdzę i nieustępliwy ocean.

„Śrubodźdzownica” wynurzyła się w jego cieniu w chwili, gdy słońce chowało się za zasnutym gęstą mgłą horyzontem. Zbliżał się przypływ i mimo braku wiatru silne fale biły o pancierz pająkomobila,

gdy jego magnetyczne chwytacze przyczepiły się do słupów mola.

Tom spojrział przez spływającą wodą okienko na światła palące się w budynkach wysoko w górze i poczuł, że robi mu się słabo. Przez całą drogę z Grimsby wmawiał sobie, że wszystko będzie dobrze, ale teraz nie potrafił uwierzyć, że zdoła dostać się do fortecy Zielonej Burzy, o uratowaniu Hester i ucieczce w ogóle nie wspominając.

Żałował, że nie ma przy nim Caula, ale Wrasse sam sterował „Śrubodźdzownicą”, nakazawszy młodszemu chłopcu pozostać na pokładzie „Pchlego Duszka”.

– Schody prowadzą do drzwi znajdujących się na wysokości jakichś siedemdziesięciu metrów – oznajmił Wrasse. – Nie są strzeżone, Zielona Burza nie spodziewa się ataku od morza. Będą zamknięte, ale powinieneś sobie poradzić. Masz wytrych?

Tom poklepał kieszeń płaszcz. Kolejna fala uderzyła w „Śrubodźdzownicę”, przechylając ją gwałtownie.

– No to cóż... – powiedział, zastanawiając się nerwowo, czy nie jest za późno, żeby się wycofać.

– Będę tu na ciebie czekał – zapewnił Wrasse z lekkim uśmiechem. Tom jakoś mu nie ufał.

Wspiął się jak najszybciej po drabince, próbując myśleć tylko o Hester, ponieważ wiedział, że gdyby choć przez moment pomyślał o żołnierzach i karabinach w fortecy na górze, natychmiast owładnąłby nim strach. Gdy wychylił się przez właz, uderzyła go fala lodowatej wody. Po chwili stał już na pancerzu „Śrubodźdzownicy”, słysząc w uszach monotony szum oceanu. Nagle poczuł się szczęśliwy, jak gdyby bez względu na to, co miało się stać, warto było odbyć tę podróż, choćby po to, żeby odetchnąć wreszcie świeżym powietrzem. Gdy przetoczyła się kolejna fala, chwycił się słupa pod

molem i zaczął się wspinać na górę. Był przemoczony do suchej nitki i już wstrząsały nim dreszcze. Kiedy biegł w kierunku schodów, moło podskakiwało pod nim, jakby próbowało go zrzucić.

Wspinał się szybko, korzystając z okazji, żeby się rozgrzać. W szarym mroku nad jego głową krążyło stado ptaków, ich wirujący ruch przyprawiał go o mdłości. Po prostu myśl o Hester, powtarzał sobie, jednak nawet wspomnienie najlepszych chwil, jakie razem spędzili, nie wystarczało, żeby odwrócić jego uwagę od narastającego lęku. Próbował w ogóle nie myśleć, ale na próżno. To samobójstwo, stwierdził. Wujek po prostu go wykorzystał. Historyjka o potrzebie poznania planów Zielonej Burzy nie była w pełni prawdziwa, uświadomił sobie nagle. I ta stacja wywiadowcza z całym arsenałem broni – zauważył zdumienie Caula, kiedy ujrzał tyle karabinów. Był tylko pionkiem w grze, której reguły zostały przed nim zatajone. Może powinien poddać się żołnierzom Zielonej Burzy. Może nie okazaliby się tak źli, jak wszyscy twierdzą, a przynajmniej zobaczyłby Hester...

Czarny kształt natarł na niego z góry. Tom zasłonił się rękami i odwrócił twarz, zaciskając mocno powieki. Rozległo się przeraźliwe krakanie, a po chwili poczuł uderzenie dzioba w głowę. Ostre bolesne dziobnięcie, jakby ktoś zdzielił go w czaszkę małym młoteczkiem. Podniósł wzrok i rozejrzał się dookoła. Słyszał kiedyś o ptakach, które atakują każdego, kto zbliży się do ich gniazd. Wysoko nad klifem krążyły ich setki. Tom przyśpieszył kroku, mając nadzieję, że nie wpadną wszystkie na ten sam pomysł.

Udało mu się przebiec kilkanaście stopni, kiedy ptak natarł na niego ponownie, nadlatując z boku i wydając z siebie przeciągły pisk. Tym razem zdołał mu się przyjrzeć nieco lepiej. Wielkie brudne skrzydła wyglądały jak przeżarty przez mole płaszcz, nad otwartym dziobem

błyszcząły zielone ślepia. Uderzył skrzydlatego napastnika zaciśniętą pięścią i odepchnął przedramieniem. Kiedy znów poderwał się do biegu, poczuł pulsujący ból i zobaczył krew broczącą z trzech głębokich zadrapań na grzbiecie dłoni. Co to za ptak? Szponami rozdarł bez trudu jego najlepsze skórzane rękawiczki!

Znowu rozdzierający krzyk. Wielkie skrzydła załopotwały mu nad głową, bijąc go piórami po twarzy. Poczuł wyraźny odór chemikaliów i tym razem spostrzegł, że zielony błysk w ptasich ślepiach wcale nie jest odbiciem światła na górze. Wyszarpnął pistolet, który dał mu Wrasse, i zdzielił kolbą upiorne ptaszysko. Zwierzę odfrunęło, lecz sekundę później we włosy wczepiły mu się pazury – atakowały go inne dwa ptaki.

Rzucił się biegiem po schodach, coraz wyżej i wyżej, a ptaki – jeśli były to ptaki – skrzeczały i latały wokół, raniąc mu szponami głowę i kark. Były tylko dwa – reszta kołowała spokojnie nad szczytem góry. Tylko dwa, ale aż nadto dla Toma. Ich ostre jak brzytwy pazury i stalowe dzioby migwały mu przed oczami. Skrzydła łopotwały i biły go po twarzy.

– Ratunku! – krzyknął. – Zostawcie mnie! Zostawcie!

Przez moment chciał uciec z powrotem na dół do bezpiecznego pająkomobila, jednak gdy się odwrócił, ptaszyska natarły na niego z takim szalem, że natychmiast zrezygnował. Drzwi były bliżej, jeszcze tylko kilkanaście schodków.

Ruszył więc znowu w górę, ślizgając się po oblodzonych stopniach i chroniąc głowę uniesionymi rękami w pociętych rękawiczkach. Czuł ciepłe strużki krwi spływające po twarzy. W ostatnim świetle odchodzącego dnia ujrzał przed sobą drzwi i dopadł ich ostatkiem sił. Ale oganiając się od stalowych dziobów i pazurów, nie miał czasu,

żeby nawet sięgnąć po wytrych. W desperacji uniósł pistolet i wycelował w górę. Głuchy huk odbił się echem od skał i jeden z zielonookich ptaków runął do morza, ciągnąc za sobą długą smugę szarego dymu. Drugi wzbił się w górę, a potem natarł znowu z impetem. Tom ukrył twarz, pistolet wysunął się z jego okrwawionej dłoni, odbił się z brzękiem od balustrady i upadł w mrok.

Biały snop światła przeciął ciemność, rażąc nagłym blaskiem opędzającego się od łopoczących skrzydeł Toma. Rozległ się jęk syren.

– Wrasse! – krzyknął Tom. – Caul! Ratunku!

Zdawało się niemożliwe, że wszystko skończyło się źle aż tak prędko.

W radiu „Śrubodźdzownicy” odezwał się trzeszczący głos.

– Mają go.

Wrasse pokiwał ze spokojem głową. Wujek mówił mu, że tak się stanie.

– Pośpieszcie się z tymi kamerami – powiedział do mikrofonu. – Mamy tylko parę minut, nim zorientują się, że był sam.

Pochylił się nad pulpitem, wciskając po kolei kilka guzików i przełączników. Kłapa na pancerzu pająkomobila odskoczyła do góry, wypuszczając stary zniszczony balon towarowy, który wzbił się nad szczyt wyspy, wprost w rozświetlone reflektorami i gęste od kołujących niespokojnie ptaków niebo. Magnesy „Śrubodźdzownicy” odczepiły się od mola i zwinąwszy odnóża, pojazd zanurzył się pod wodę.

Metalowe drzwi otworzyły się, zalewając Toma żółtym światłem. Tak bardzo chciał się uwolnić od drapieżnych ptaków, że niemal

ucieszył się, gdy rzucili się na niego strażnicy. Przycisnęli go do ziemi, wykręcili mu ręce do tyłu, a ktoś przystawił mu do brody lufę automatycznego weltschmerza.

– Dziękuję... Przepraszam... – bełkotał chłopak, gdy wepchnęli go do środka i zatrzasnęli drzwi.

Zaniesiono go wilgotnym zimnym korytarzem do jakiegoś pomieszczenia i posadzono na podłodze. Słysząc było huk wystrzeliwanych rakiet i głosy mówiące lotniczym esperanto ze wschodnim akcentem i wtrąceniami obcych słów, których nie rozumiał.

– Jest sam? – zapytał dziwnie znajomy kobiecy głos.

– Tak sądzimy, pani komandor. Ptaki znalazły go na schodach.

Kobieta znowu się odezwała. Tom nie mógł się skupić na tym, co mówiła, ale musiała zapytać, jak tu przybył, bo inny głos odparł:

– Balonem. Dwuosobowym. Już go zestrzeliliśmy.

Rzuciła słowo, które zabrzmiało jak przekleństwo.

– Dlaczego wartownicy nie zauważyli, jak nadlatywał?

– Mówią, że pojawił się nagle dopiero przed chwilą.

– Nie było żadnego balonu – wyszeptał zdezorientowany Tom.

– Więzień, pani komandor...

– Przyjrzyjmy mu się...

– Przepraszam – wymamrotał Tom, smakując własną krew. Ktoś zaświecił mu latarką w twarz. Po chwili ujrzał, jak jakaś dziewczyna pochyliła się nad nim. Była podobna do Sathyi. Nie, to była Sathya. – Cześć... Dziękuję... Przepraszam... – bełkotał.

Pani komandor przypatrywała się jego zakrwawionej twarzy i strąkom mokrych włosów przylepionych do czoła. Jej oczy rozszerzyły się, a potem zmrużyły gniewnie, gdy go rozpoznała.

Po miesiącach nudy Zaginieni Chłopcy mieli nagle pełne ręce roboty i stłoczyli się przed monitorami, próbując zrozumieć, co dzieje się wśród jeleni. Caul przepchnął się do przodu i zobaczył, jak żołnierze w białych mundurach niosą zakrwawionego Toma. Na innym ekranie widać było pusty gabinet pani komandor, talerz z niedojedzoną kolacją stał na biurku. Na trzecim – lotnicy wbiegali do wielkiego hangaru, jakby Zielona Burza myślała, że została zaatakowana przez całą armię. Reszta monitorów pokazywała rozedrganą ciemność. Tuzin zdalnie sterowanych kamer czekało u wylotu starej rury ściekowej, a teraz Zaginieni Chłopcy wykorzystywali zamieszanie, by przemieścić je do wnętrza bazy. Wyskoczywszy z potłuczonej muszli klozetowej w nieczynnej toalecie, małe maszynki rozbiegły się do szybów wentylacyjnych i rur, rozcinając kratki zabezpieczające i unieszkodliwiając czujniki – ich hałasy zagłuszało przeciągłe wycie syren.

Pośród tego wszystkiego Caul poczuł charakterystyczne drżenie – „Śrubodźdźownica” połączyła się z bazą. Chwilę później zjawił się Wrasse. Wyglądał na spiętego i podekscytowanego. Natychmiast zapytał podwładnych o czas reakcji Zielonej Burzy.

- Są szybcy – odparł któryś z chłopców.
- Cieszę się, że to nie mnie wysłał Wujek jako przynętę!
- Schodów pilnują jakieś wytresowane ptaki, to one podniosły alarm.
- Będziemy na nie przygotowani.

Caul targał Wrassego za rękaw tak długo, aż ten odwrócił się rozdrażniony.

- Miałeś na niego czekać! – zawołał Caul. – A jeśli uda mu się uciec? Jak wydostanie się z wyspy bez „Śrubodźdźownicy”?

– Twój jeleni jest już skończony, matole – powiedział Wrasse, odpychając go. – Nie pękaj. Wszystko idzie zgodnie z planem.

Klucz w zamku i hałas otwieranych kopnięciem drzwi wyrwały Hester ze snu. Otworzyła oczy i wstała, lecz wtedy Sathya wparowała do celi i uderzyła ją pięścią tak mocno, że znowu upadła na podłogę. Przy wejściu zaroilo się nagle od żołnierzy, którzy wlekli ze sobą przemoczoną, ociekającą wodą postać. Hester nie wiedziała, kto to jest, nawet gdy Sathya kazała mu unieść głowę i pokazać poranioną, czerwoną od krwi twarz. Zobaczyła jednak długi skórzany płaszcz. Tom ma taki, pomyślała. Spojrzała jeszcze raz na przybysza, mimo że przecież to nie mógł być on.

– Tom? – wyszeptała.

– Nie udawaj zaskoczonej! – wrzasnęła Sathya. – Chyba nie sądzisz, że uwierzę, że się go nie spodziewałaś? Skąd wiedziałaś, że tu jest? Jaki mieliście plan? Dla kogo pracujecie?

– Dla nikogo! – powiedziała Hester. – Naprawdę dla nikogo! – powtórzyła i rozplakała się, gdy strażnicy rzucili Toma na klęczki obok niej. Przybył, żeby ją uratować, a wyglądał na tak wystraszonego i umęczonego. Ale najgorsze było to, że nie wiedział, co zrobiła. Przebył całą tę drogę, żeby ją ocalić, a ona wcale na to nie zasługiwała.

– Tom – wyszlochała.

– Ufałam ci! – krzyczała Sathya. – Omotałaś mnie tak samo jak biedną Annę, udawałaś niewiniątko, aż zwątpiłam w swoją słuszność, a ty cały czas czekałaś na przylot swojego barbarzyńskiego współnika? Jaki mieliście plan? Czeka na was jakiś statek? Kto jeszcze z wami współpracuje? Blinkoe był z wami w zмовie? Chcieliście porwać Popjoya na pokład jakiegoś brudnego miasta, żeby budował

wam swoich Łowców!

– Nie, nie, wszystko ci się pomieszało – łkała Hester, choć wiedziała, że nie zdoła przekonać Sathyi, iż nagłe pojawienie się Toma nie ma nic wspólnego z żadną intrygą mobilistów.

Sam Tom był zbyt zziębnięty i oszołomiony, żeby rozumieć, co się dzieje, ale rozpoznał głos Hester, podniósł wzrok i zobaczył ją obok siebie. Zapomniał już, jaka jest brzydka.

Wtem Sathya chwyciła go za włosy i przygięła jego głowę, odsłaniając kark. Usłyszał szcęk wyciąganego z pochwy miecza, cichy stukot w rurach pod sufitem i szept Hester:

– Tom!

Zamknął oczy.

Na ekranach Zaginionych Chłopców dobyty miecz błyszczał bielą niczym płomień. Głos Sathyi przesyłany przez malutkie radyjka wykrzykiwał jakieś szaleństwa o spiskach i zdradzie.

– Zróbcie coś! – krzyknął Caul.

– To tylko jeleń, Caul – warknął Skewer. – Daj spokój!

– Musimy mu pomóc! Zabiją go!

Wrasse odepchnął Caula na bok.

– Od początku miał zginąć, bałwanie! – syknął. – Myślałeś, że Wujek naprawdę pozwoliłby mu żyć po tym, co zobaczył w Grimsby? Nawet gdyby udało mu się wyciągnąć Hester, miałem rozkaz przesłuchać ich i zabić. Tom miał tylko odwrócić ich uwagę.

– Dlaczego? – oburzył się Caul. – Po to, żeby wprowadzić do środka więcej kamer? Po to, żeby Wujek dowiedział się, co jest w Komorze Pamięci?

Wrasse walnął go w twarz, aż chłopak poleciał na pulpit sterowniczy.

– Wujek domyślił się, co jest w Komorze Pamięci, wiele miesięcy temu. Te pajęczki to nie tylko kamery. To bomby. Ustawimy je na odpowiednich pozycjach, damy jeleniom parę godzin, żeby się uspokoiли, a potem wysadzimy ich w powietrze i złupimy bazę.

Caul popatrzył na ekrany, czując na wargach krew, która ciekła mu z nosa. Inni chłopcy odsunęli się od niego, jakby sympatia dla jeleni była czymś, czym mogli się zarazić jak grypą. Oparł się o pulpit, żeby powstać, i jego wzrok padł na rzędy czerwonych guzików. Nigdy wcześniej nie widział niczego podobnego, ale domyślił się, do czego służą.

– Nie! – zawołał ktoś. – Jeszcze nie teraz!

Na ułamek sekundy przed tym, jak go obezwładnili, pootwierał przezroczyste klapki zabezpieczające i wcisnął pięścią jak najwięcej guzików. Ekrany zamarły.

28. Chaos

Coś uderzyło go w plecy, przyciskając jego twarz do zimnej podłogi. Już po wszystkim, pomyślał, umarłem. Ale wciąż żył, czuł chłód wilgotnego kamienia na policzku, a kiedy przeturlał się na grzbiet, spostrzegł, że eksplozja rozsadziła strop. Wybuch musiał być bardzo silny, sądząc po ilościach pyłu i gruzu. Zdziwiło go, że nie usłyszał huku. Nadal niczego nie słyszał, mimo że z sufitu odrywały się kawały tynku i cegieł, a ludzie biegali w panice z latarkami i otwartymi szeroko ustami, jakby coś krzyczeli. Nic, żadnego dźwięku, tylko szum w głowie. Poczul na dłoni dotyk ciepłych wilgotnych palców. Podniósł wzrok i zobaczył Hester, białą w świetle latarki jak posąg, ciągnącą go w stronę drzwi i poruszającą wargami, jakby próbowała coś powiedzieć. Wyczołgał się spod ciężaru, który przycisnął go do ziemi. Okazało się, że to Sathya. Przez chwilę zastanawiał się, czy nic jej się nie stało i czy nie powinien jej pomóc, ale Hester ciągnęła go do drzwi, potykając się o gruz i ciała żołnierzy zmiażdżone dymiącymi kawałami poszarpanych stalowych rur. Kiedy obejrzał się przez ramię, ktoś strzelił do niego z pistoletu. Zobaczył błysk i poczuł pęd kuli koło ucha, lecz wciąż niczego nie słyszał.

Wybiegli na korytarz, potem po schodach w dół, aż do następnych

stalowych drzwi. Otworzyli je i zatrzasnęli za sobą bezgłośnie. Przystanęli, żeby złapać oddech. Sapiąc i kaszląc, Tom próbował zrozumieć, co się stało. Eksplozja... rury grzewcze...

– Tom! – Hester pochylała się nad nim, ale jej głos wydawał się odległy i niewyraźny.

– Co?

– Statek! – krzyknęła. – Gdzie jest twój statek? Jak się tu dostałeś?

– Łodzią podwodną – odparł. – Ale pewnie odpłynęła.

– Co? – Była równie głucha jak on.

– Odpłynęła!

– Co? – W kłębach pyłu na końcu korytarza rozbłysły światła latarek. – Weźmiemy „Jenny”! – zawołała i pchnęła Toma w stronę kolejnych schodów.

Było ciemno, a w powietrzu unosił się gryzący dym. Chłopak zaczął zdawać sobie sprawę, że nie tylko w celi nastąpił wybuch. W niektórych korytarzach wciąż mrugały lampy, ale większość instalacji elektrycznej została zniszczona. Grupy przerażonych i zdezorientowanych żołnierzy biegały z latarkami tam i z powrotem. Tom i Hester z łatwością przewidywali ich nadejście, chowając się w załomach murów lub za kupami gruzu. Tom odzyskiwał powoli słuch i szum w uszach począł ustępować monotonnym jękiem syren. Hester wepchnęła go do wejścia na schody, gdy korytarzem przebiegła kolejna grupa ludzi – tym razem lotników.

– Nawet nie wiem, gdzie jesteśmy – poskarżyła się, kiedy niebezpieczeństwo minęło. – Po ciemku wszystko wygląda inaczej. – Spojrzała na Toma, na jej białej od pyłu twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Jak udało ci się podłożyć te bomby?

Była to najtrudniejsza decyzja w życiu Wrassego. Przez moment zupełnie nie wiedział, co robić. Patrzył tylko z przerażeniem na czarne ekrany monitorów na pokładzie „Pchlego Duszka” i nie wierzył własnym oczom. Cały plan Wujka wzięli diabli! Wszystko, na co tak długo pracowali, legło w gruzach! Bomby wybuchły, zanim zostały ustawione na odpowiednich pozycjach!

– Co teraz, Wrasse? – spytał jeden z chłopców.

Mogli zrobić tylko dwie rzeczy. Odpłynąć do domu, żeby Wujek obdarł ich żywcem ze skóry za powrót z pustymi rękami. Albo spróbować szczęścia.

– Idziemy – postanowił i poczuł, jak wracają mu siły, gdy patrzył, jak chłopcy chwytają za pistolety, sieci i inne gadżety, przymocowują do głów latarki i odciągają Caula na bok. – Skewer i Baitball zostają. Reszta za mną!

Tak oto kiedy w bazie Zielonej Burzy zapanowała panika, żołnierze gasili pożary, reflektory rozświetlały niebo, a działa i rakiety strzelały na oślep do urojonego przeciwnika, „Pchli Duszek” podpłynął do molo i mali złodzieje wysypali się z niego na ląd, wbiegając czym prędzej na te same schody, po których wspinał się niedawno Tom.

Gdy zbliżali się do drzwi, spostrzegł ich mechaniczny ptak i jeden z chłopców wypadł z krzykiem przez barierkę, znikając w spienionych falach. Drugiego trafił pocisk z wieżyczki strzelniczej na górze i Wrasse musiał go dobić, ponieważ Wujek rozkazał, żeby w ręce jeleni nie dostał się żaden świadek. Wkrótce dotarli na górę, sforsowali drzwi i ruszyli w kierunku Komory Pamięci, pomagając sobie szkicowymi planami budynków i pozostawiając po paru chłopców przy każdym rozwidleniu tuneli, żeby zabezpieczyć drogę odwrotu. Kiedy natykali się na zdezorientowanych żołnierzy Zielonej

Burzy, mordowali ich, bo taki był rozkaz Wujka – żadnych świadków.

Wartownicy pilnujący Komory Pamięci uciekli. Solidne zamki elektromagnetyczne wyglądały bardzo groźnie, ale nie było prądu, więc drzwi otworzyły się, gdy tylko Wrasse pociągnął za klamkę. Latarki Zaginionych Chłopców oświetliły mostek biegnący do stojącej na środku platformy, po której krążyła jakaś szara postać. Nagle obróciła się ku nim lśniąca spiżowa maska.

Chłopcy cofnęli się z przerażeniem. Tylko Wrasse wiedział mniej więcej, co mieli wykraść. Wujek przestrzegał go, żeby nie dali się zauważyć temu stworzeniu. „Schwytajcie je z zaskoczenia – mówił jego rozkaz – z tyłu albo z góry. Zarzućcie sieci, nim zdąży się zorientować, co się dzieje”. Jednak teraz nie było już na to czasu, a nawet gdyby był, Wrasse wątpił, czy plan miał szanse powodzenia. Cyborg wyglądał tak groźnie! Pierwszy raz w życiu Wrasse zaczął się zastanawiać, czy Wujek naprawdę zawsze wie najlepiej.

– To mamy schwytać dla Wujka – powiedział, starając się ukryć strach. – Właśnie to. Do roboty.

Zaginieni Chłopcy unieśli pistolety, miecze, liny, łańcuchy, magnetyczne chwytaki i ciężkie sieci, w jakie zaopatrzył ich Wujek, i ruszyli do przodu.

Łowca obnażył pazury i wyszedł im na spotkanie.

Wciąż słychać było strzały padające gdzieś na górze i odbijające się echem od ścian i niskich sufitów korytarzy. Tom i Hester biegli dalej, zawierając pamięci dziewczyny i próbując dotrzeć do hangaru. Mijali po drodze ciała ofiar. Najpierw trzech żołnierzy Zielonej Burzy, potem młodego mężczyznę w dziwnym ciemnym ubraniu o jasnych długich włosach wystających spod czarnej czapki. W pierwszej chwili Tom

pomyślał, że to Caul, ale chłopak był wyższy i starszy. Jeden z drużyny Wrassego.

– Zaginiony Chłopcy tu są! – oznajmił.

– Kto? – zdziwiła się Hester.

Tom nie odpowiedział, próbując gorączkowo rozeznaczyć się w sytuacji i zrozumieć rolę, jaką odegrał w ostatnich wypadkach. Nim zdążyła ponowić pytanie, gdzieś w pobliżu rozległ się straszny hałas – huk wystrzałów i chór panicznych krzyków. Kiedy przebrzmiał ostatni jęk, zapadła martwa cisza.

Nawet syreny przestały wyć.

– Co się stało? – spytał Tom.

– Skąd mam wiedzieć? – Hester zabrała Zaginionemu Chłopcu latarkę i ruszyła w dół kolejnymi schodami, ciągnąc Toma za sobą. – Uciekajmy stąd...

Bez namysłu podążył za nią. Dobrze było znowu czuć uścisk jej dłoni. Zastanawiał się, czy powinien jej to powiedzieć i czy nadszedł odpowiedni moment, żeby przeprosić ją za to, co się stało w Anchorage, jednak nim zdążył się odezwać, Hester zatrzymała się i gestem ręki nakazała mu, żeby się nie ruszał.

Znaleźli się w czymś w rodzaju przedsionka z otwartymi na oścież grubymi metalowymi drzwiami.

– O bogowie! – wyszeptała Hester.

– Co?

– Zasilanie! Zamek się otworzył! Bariera elektryczna! Uciekła!

– Ale kto?

Wzięła głęboki oddech i podkradła się do drzwi.

– Chodź! – powiedziała. – Można tędy przejść do hangaru...

Przestąpili przez próg. Tuż nad ich głowami unosiła się gęsta mgła

szarego dymu. W mroku słychać było kapanie jakiejś gęstej cieczy. Hester oświetliła latarką pomost, z ciemności wyłoniły się kałuże krwi i czerwone odciski stóp układające się w kroki jakiegoś żywego tańca. Coś leżało na kładce. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to stosy starych ubrań, ale przy bliższym wejrzeniu dostrzegało się ręce, twarze. Tom pamiętał niektóre z nich z krótkiego pobytu na pokładzie „Pchlego Duszka”. Co się z nimi stało? Kto ich tak zmasakrował? Na myśl o tym wstrząsnął nim zimny dreszcz.

– W porządku – oznajmiła Hester, oświetliwszy centralną platformę. Była pusta, tylko przesiąknięty krwią szary płaszcz leżał porzucony na środku. Łowca uciekł. Pewnie krąży teraz po korytarzach na górze w poszukiwaniu nowych ofiar. Wzięła Toma za rękę i poprowadziła szybko do drzwi w głębi ponurej sali. Znajdował się za nimi wiodący w dół korytarz, w którym wyraźnie słychać było cichy świst wiatru.

– Tędy dostaniemy się do hangaru, w którym trzymają „Jenny” – oznajmiła Hester, schodząc z Tomem po kamiennych stopniach.

Schody kończyły się krótkim korytarzykiem, który nagle otwierał się na przestronną halę. W świetle latarki Tom dostrzegł czerwony balon „Jenny Haniver” unoszący się pod stropem. Hester podbiegła do wmontowanej w ścianę dźwigni i nacisnęła ją. Gdzieś w górze stary mechanizm obudził się do życia i na ich głowy posypał się deszcz rdzy, gdy koła zaczęły obracać się ze zgrzytem i napięły się stalowe łańcuchy. Masywna brama hangaru rozwarła się powoli, ukazując krótki pas startowy, spowite w gęstej mgle wzgórze wyspy i czyste bezchmurne niebo. Blask gwiazd i starych sztucznych satelitów oświetlił wnętrze hali, wydobywając z mroku gondolę „Jenny Haniver” i krwawe ślady stóp na betonowej posadzce.

Z cienia pod balonem sterowca wyłoniła się wysoka postać,

zagradzając im drogę na korytarz. Jej zielone oczy żarzyły się w ciemności.

– Wielki Quirke’u! – pisnął Tom. – Czy to...? To nie może być... Prawda?

– To panna Fang – powiedziała Hester. – Ale nie jest sobą.

Łowca ruszył do przodu. Wpadające przez bramę światło oświetliło jego długie stalowe nogi, opancerzony tors i spiżową maskę. Poblyskiwało na wgnieceniach i zadrapaniach, które powstały po kulach Zaginionych Chłopców. Krew nadal skapywała z pazurów cyborga i pokrywała jego dłonie i przedramiona niczym długie czerwone rękawiczki.

Zmartwychwstańcowi spodobała się masakra w Komorze Pamięci, jednak gdy skończyła ostatnia ofiara, nie wiedział, co dalej robić. Zapach dymu i przytłumione odgłosy bitwy odbijające się echem w płataninie korytarzy obudziły w nim łowieckie instynkty, ale wołał nie zbliżyć się do otwartych drzwi, pamiętając o elektrycznej barierze, na którą wpadł podczas ostatniej próby ucieczki. W końcu – wiedziony uczuciami, których nie rozumiał – wybrał drogę do hangaru i starego czerwonego sterowca. Krążył właśnie w ciemności wokół gondoli „Jenny”, muskając jej lakier metalowymi palcami, gdy Tom i Hester wpadli do hali. Stalowe pazury znowu się wysunęły, a dzika żądza mordy zaiskrzyła w jego elektrycznych żyłach.

Tom odwrócił się, chcąc uciec na pas startowy, ale wpadł na Hester, która poślizgnęła na mokrej od krwi podłodze i runęła jak długa na ziemię. Chłopak pochylił się, żeby jej pomóc, gdy nagle stanął nad nimi Łowca.

– Panna Fang? – wyszeptał Tom, podnosząc wzrok na dziwną, znajomą twarz.

Zmartwychwstaniec przyglądał się przykucniętej nad dziewczyną postaci i nagle okruczeństwo wspomnienia wdarł się do jego elektronicznego mózgu, powodując dezorientację. Cyborg zawahał się, uzbrojona w pazury dłoń zadrżała niepewnie. Gdzie widział tego chłopca? Nie było go na żadnym ze zdjęć w kulistej celi, a mimo to wyglądał znajomo. Pamiętał, jak patrzył w jego twarz, leżąc w śniegu. Martwe wargi pod spiżową maską poruszyły się, składając kolejne głoski imienia i nazwiska.

– Tom Nitsworthy?

– Natsworthy – poprawił Tom.

To samo obce wspomnienie znów zaiskrzyło Łowcy pod czaszką. Wciąż nie wiedział, dlaczego chłopak wydaje się tak bardzo znajomy, ale uświadomił sobie, że nie chce go zabić. Zrobił krok do tyłu, a potem następny. Schował metalowe pazury.

– Anno!

Wysoki głos rozniósł się echem po hangarze, sprawiając, że wszyscy troje spojrzeli w stronę drzwi. Stała tam Sathya z lampą w jednej ręce i mieczem w drugiej. Jej twarz i włosy wciąż były białe od pyłu, a z rany na głowie, powstałej po uderzeniu odłamka kamery, skapywała krew. Postawiła lampę na podłodze i szybkim krokiem podeszła do ukochanego Łowcy.

– Och, Anno! Wszędzie cię szukałam! Od razu powinnam się domyślić, że jesteś tutaj razem z „Jenny”...

Cyborg nie poruszył się, tylko obrócił metalową twarz, spoglądając na Toma. Sathya zatrzymała się nagle, zauważając postacie skulone u stóp Łowcy.

– Schwytaliście ich, Anno! Dobrze! To wrogowie! To oni doprowadzili do twojej śmierci i zaatakowali naszą bazę! Zabij ich!

– Wszyscy wrogowie Zielonej Burzy muszą zginąć – zgodził się zmartwychwstańc.

– Właśnie, Anno! Zabij ich! Tak jak zabiłaś pozostałych! – nalegała Sathya.

Cyborg przekrzywił głowę. Zielone światło jego ślepi oblało twarz Toma.

– Więc ja to zrobię! – krzyknęła Sathya, ruszając do przodu z uniesionym mieczem. Łowca wykonał szybki ruch. Tom pisnął z przerażenia i poczuł, jak Hester tuli się do jego kolan. Stalowe ostrza błysnęły w świetle lampy i miecz Sathyi upadł na podłogę... z dłonią dziewczyny wciąż zaciśniętą na rękojeści.

– Nie – powiedział cyborg.

Na ułamek sekundy zapanowała martwa cisza. Sathya wpatrywała się w tryskające z kikuta strumienie krwi.

– Anno! – wyszeptała, osuwając się na kolana i padając twarzą na ziemię.

Tom i Hester patrzyli na tę scenę, wstrzymując oddech, przykucnięci i nieruchomi, jakby w nadziei, że Łowca zapomni o ich istnieniu. Ale on odwrócił się do nich i uniósł ociekające krwią pazury.

– Uciekajcie – wyszeptał, wskazując „Jenny Haniver”. – Odlećcie i już nigdy nie wchodźcie w drogę Zielonej Burzy.

Tom wpatrywał się w cyborga szeroko otwartymi oczami, zbyt przerażony, by się ruszyć. Ale Hester podniosła się z ziemi i chwyciwszy go za rękę, zaczęła ciągnąć w stronę sterowca.

– Chodź, na litość boską! Słyszałeś, co powiedział!

– Dziękuję – wydusił Tom, przypomniawszy sobie o dobrych manierach, gdy ominęli ostrożnie Łowcę i wspięli się na pokład

„Jenny”. Wnętrze gondoli wydawało się zimne i dziwnie obce po długim postoju, lecz kiedy Hester zapaliła silniki, obudziły się do życia ze starym, znajomym łoskotem i ich warkot wypełnił hangar. Tom usiadł w fotelu pilota, starając się nie patrzeć w stronę obserwującej go półludzkiej istoty, której pancerz błyszczał teraz w czerwonych i zielonych światłach sterowca.

– Naprawdę nas puści? – zapytał, dzwoniąc zębami i trzęsąc się tak bardzo, że ledwo udało mu się chwycić drążek sterowniczy. – Dlaczego? Dlaczego nie zabiła nas jak pozostałych?

Hester potrząsnęła głową, włączając aparaturę nawigacyjną i ogrzewanie. Przypomniła jej się Shrike i dziwne uczucia, które skłoniły go do założenia kolekcji mechanicznych zabawek oraz uratowania oszpeconego, umierającego dziecka. Ale powiedziała tylko:

– To nie żywa osoba, tylko cyborg. Nie możemy wiedzieć, co myśli. Po prostu odlećmy, nim zdąży zmienić zdanie.

Uchwyty cumownicze rozwarły się z trzaskiem, śmigła ustawiły się w pozycji startowej i stary statek uniósł się niepewnie w powietrze, a potem wyleciał powoli z hangaru. Łowca wyszedł na pas startowy, patrząc, jak „Jenny” opuszcza Gniazdo Szerszeni i znika w gęstej mgle. Urywkowe wspomnienie rozbłysło w jego elektronicznym mózgu – śmiertelnik o imieniu Tom klęczący w śniegu i wołający: „Panno Fang! To niesprawiedliwe! Poczekaj, aż oślepiło cię światło!”

Zmartwychwstaniec poczuł satysfakcję, jakby odwdzieczył się za wyświadczoną dawno temu przysługę.

– Dokąd lecimy? – zapytał Tom, kiedy Gniazdo Szerszeni zniknęło we mgle i uspokoił się na tyle, że mógł mówić.

– Na północny zachód – odparła Hester. – Do Anchorage. Muszę tam wrócić. Stało się coś strasznego.

– Pennyroyal! – zgadł Tom. – Wiem już o nim wszystko, ale nie zdążyłem nikogo ostrzec. Miałaś co do niego rację. Żałuję, że cię nie posłuchałem.

– Pennyroyal? – Hester patrzyła na niego, jakby mówił jakimś nieznanym językiem. Pokręciła głową. – Archangielsk depta im po piętach.

– Wielki Quirke’u! – wyszeptał Tom. – Jesteś pewna? Ale skąd Archangielsk zna kurs Anchorage?

Hester pochyliła się nad sterami i ustawiła nowy kurs, na północny zachód. Potem odwróciła się i zacisnąwszy schowane za plecami pięści tak mocno, że aż bolało, powiedziała:

– Zobaczyłam, jak całujesz Freyę... i... i... – Naprawdę chciała wyznać mu prawdę, ale kiedy patrzyła na jego biedną, poranioną twarz, nie potrafiła się na to zdobyć.

– Hester, przepraszam – odezwał się nagle.

– Nieważne – odparła. – To znaczy, ja też cię przepraszam.

– I co zrobimy?

– Z Anchorage?

– Nie mogą jechać dalej, bo mają przed sobą tylko martwy kontynent. I nie mogą zawrócić, bo z tyłu jest Archangielsk.

– Nie wiem – powiedziała Hester. – Najpierw ich dogońmy. Potem coś wymyślimy.

– Ale co? – zapytał Tom. Nie uzyskał jednak odpowiedzi, bo Hester ujęła w dłonie jego twarz i zaczęła go całować.

Dźwięk silników „Jenny Haniver” stawał się coraz cichszy i cichszy,

aż w końcu nawet czułe uszy Łowcy nie mogły go usłyszeć. Cyborg przestawił wizję na podczerwień i wrócił do hangaru. Odcięta ręka ochładzała się szybko, ale ciało Sathyi wciąż było ciepłe. Zmartwychwstaniec zbliżył się do miejsca, w którym leżała, podniósł ją za włosy i potrząsał nią tak długo, aż ocknęła się z jękiem.

– Przygotujesz statki powietrzne i broń. Opuszczamy Bazę.

Sathya spojrzała na niego szeroko otwartymi ze strachu i bólu oczami. Czy właśnie na to czekał Łowca przez cały czas, gdy trzymała go w Komorze Pamięci, pokazywała zdjęcia i puszczała ulubioną muzykę biednej Anny? Ależ oczywiście, do tego go zbudowano! Czyż nie rozkazała Popjoyowi wskrzesić Anny, żeby przejęła dowództwo nad Ligą?

– Tak, Anno – zapłakała. – Oczywiście, Anno.

– Nie jestem Anną – odparł cyborg. – Jestem Łowcą Fang. I mam już dość ukrywania się tutaj.

W hangarze zaczęli się zbierać inni śmiertelnicy: żołnierze, naukowcy i piloci – przerażeni i zagubieni w kłębach dymu po bitwie stoczonej z tajemniczymi intruzami. Był wśród nich doktor Popjoy i gdy Łowca odwrócił głowę, pozostali wypchnęli go szybko do przodu. Cyborg puścił Sathyę i podszedł do niego tak blisko, że czuł słonawy pot na jego skórze i słyszał płytki, nerwowy oddech.

– Teraz ja tu dowodzę – oznajmił. – Twoje prototypy mają zostać natychmiast uruchomione, doktorze. Powrócimy do Shan Guo, zbierając po drodze wojska z pozostałych baz Zielonej Burzy. Wrogie nam elementy w Lidze zostaną zlikwidowane. Przejmiemy władzę nad lotniskami, poligonami i fabrykami broni. Przygotujemy się do wojny.



CZEŚĆ 3

29. Żuraw

Chcę ci opowiedzieć pewną historię – powiedział głos. – Dobrze ci się wisi? To posłuchaj.

Caul otworzył oczy. Właściwie otworzył tylko jedno oko, bo drugie było za bardzo spuchnięte. Chłopcy Wrassego, którzy przeżyli atak na wyspę, dali mu niezły wycisk, gdy „Śrubodżdżownica” niosła ich do domu! Kiedy w końcu stracił przytomność, wydawało mu się, że to śmierć, i powitał ją z radością, czując zarazem dumę, że pomógł Tomowi i Hester w ucieczce. Potem ocknął się w Grimsby i znowu poczuł na ciele twarde pięści kolegów. Wkrótce zupełnie wybili mu z głowy poczucie dumy. Nie potrafił pojąć, jak mógł okazać się tak głupi, że naraził własne życie, by ratować dwójkę jeleni.

Wujek miał specjalną karę dla chłopców, którzy szczególnie go zawiedli. Zaciągnięto Caula do przystani pająkomobili, zarzucono mu pętlę na szyję, a drugi koniec liny podwiązano do żurawia. Następnie podniesiono go do góry i pozostawiono wiszącego na powolną śmierć od uduszenia. Przez całą dzienną zmianę, gdy dyndał tak, z trudem chwytając powietrze, inni chłopcy obrzucali go wyzwiskami, resztkami jedzenia i śmieciami. Kiedy nadeszła nocna zmiana i wszyscy wrócili do swoich kwater, odezwał się ten głos. Był tak cichy

i niewyraźny, że w pierwszej chwili Caul pomyślał, że tylko go sobie wyobraża. Ale nie, był rzeczywisty. To Wujek szeptał przez głośnik zamocowany tuż nad jego głową.

– Jesteś przytomny, Caul? Żyjesz jeszcze? Sonar umierał prawie tydzień, uwiązany w ten sposób. Pamiętasz?

Caul wciągnął powietrze przez poranione, spuchnięte wargi i szczyrby po wybitych przednich zębach. Lina nad jego głową zaczęła się okręcać, tak że cała hala zawirowała wokół niego – ciemna woda, ciche pająkomobile, postacie namalowane na sklepieniu. Towarzyszył temu chrapliwy oddech starca dobiegający z głośnika.

– Kiedy byłem młody... – powiedział Wujek – a byłem kiedyś tak młody jak ty, chociaż w przeciwieństwie do ciebie miałem okazję wydorosnąć. Otóż kiedy byłem młody, mieszkałem na pokładzie Archangielska. Nazywałem się Stilton Kael. Kaelowie byli dobrą rodziną. Prowadzili sklepy, hotele, walcownię. Kiedy skończyłem osiemnaście lat, zostałem dyrektorem rodzinnego złomowiska. Jak rozumiesz, nie był to oczywiście szczyt moich marzeń. Tak naprawdę pragnąłem być poetą, autorem wielkich eposów, którego imię przetrwa długie wieki... Tak jak ten, no, wiesz... ten facet z Grecji, ten ślepy... Zabawne, jak młodzieńcze sny pryskają potem jak mydlane bańki. Ale ty już chyba o tym wiesz? Prawda, Caul?

Caul wisiał ze związanymi za plecami rękami, lina wrzynała mu się w szyję i z trudem łapał powietrze. Czasami tracił przytomność, ale gdy się budził, głos ciągle szeptał mu do ucha swoją historię.

– Na złomowisku pracowali niewolnicy. Mieliśmy ich dziesiątki, a ja decydowałem o ich losie. Ich życie i śmierć zależały tylko ode mnie. I wtedy przywieźli mi dziewczynę. Była piękna. Poeta zauważa takie rzeczy. Włosy jak wodospady indyjskiego atramentu. Cera jak

alabaster. Oczy jak arktyczna noc – czarne, ale pełne blasku i tajemnicy. Kapujesz, Caul? Oczywiście mówię ci o tym tylko dlatego, że niedługo skończysz jako pokarm dla ryb. Nie chcę, żeby Zaginieni Chłopcy dowiedzieli się, że byłem kiedykolwiek na tyle słaby, żeby się zakochać. Słabość i miłość nie są dla Zaginionych Chłopców, Caul.

Caul pomyślał o Freyi Rasmussen. Zastanawiał się, jak się miewa i jak idzie jej podróż do Ameryki. Przez chwilę widział ją przed sobą tak wyraźnie i blisko, że czuł niemal jej ciepło, ale Wujek wciąż szeptał mu do ucha i marzenie prysło.

– Miała na imię Anna. Anna Fang. Cudownie brzmiące imię, które poeta umie docenić. Trzymałem ją z dala od ciężkiej, niebezpiecznej pracy, przynosiłem dobre jedzenie, ubrania. Kochałem ją, a ona mówiła, że też darzy mnie uczuciem. Chciałem ją wyzwolić i pojąć za żonę. Nie obchodziło mnie, co powie na to rodzina. Ale okazało się, że Anna cały czas mnie zwodziła. Kiedy ja rozpływałem się nad nią w zachwytach, ona chodziła po złomowisku, odkładała sobie to jakiś stary balon od sterowca, to silniki, które kazała robotnikom zamocować do gondoli pod pretekstem, że o to prosiłem. Sprzedawała prezenty, które ode mnie dostała, i kupowała paliwo i gaz. A pewnego dnia, gdy wciąż szukałem rymu do „Fang” i słów, które oddałyby piękno jej warg, doniesiono mi, że zniknęła. Zbudowała sobie statek z części, które ukradła, i odleciała. Tak skończyło się moje życie w Archangielsku. Rodzina wydziedziczyła mnie, a burmistrz wtrącił mnie do więzienia za pomoc w ucieczce niewolnika. Potem zostałem wygnany i wyrzucony na lód bez grosza przy duszy.

Caul chwycił wargami powietrze, ale nigdy dość, by napełnić płuca.

– To wyrobiło we mnie charakter, Caul. O tak. Poznałem gang padliniarzy, którzy wydobywali złom z wraku Grimsby. Pozabijałem

ich jednego po drugim. Zabrałem ich łódź podwodną. Przypłynąłem tutaj. Zacząłem organizować złodziejską bazę. Chciałem wykraść ludziom to, co straciłem. I zbierałem informacje, mnóstwo informacji, bo przysiągłem sobie, że już nikt nigdy nie ukryje przede mną żadnej tajemnicy. Można powiedzieć, że dzięki niej stałem się tym, kim jestem. Dzięki tej wiedzy Annie Fang.

Nazwisko powtarzane w kółko przez Wujka przedarło się przez wirujące kolorowe światła, które eksplodowały w głowie chłopca.

– Fang – wyszeptał Caul, krztusząc się i charcząc.

– Właśnie – powiedział Wujek. – Już jakiś czas temu domyśliłem się, nad czym pracowano w Gnieździe Szerszeni. Kiedy Zielona Burza zaczęła sprowadzać wszystkie te fotografie i szukać „Jenny Haniver”, pomyślałem, że albo robią muzeum Anny Fang, albo próbują ją wskrzesić.

Caul przypomniał sobie to, co działo się w „Pchlim Duszku” kilka bolesnych, niejasnych minut po tym, jak powcisnął czerwone guziki. Nieliczne kamery, które wciąż jeszcze funkcjonowały, pokazywały chaos, jaki ogarnął Gniazdo Szerszeni: awarię prądu, walące się stropy, panikę wśród żołnierzy. Na jednym z monitorów widać było, jak Wrasse i jego chłopcy wchodzą do Komory Pamięci. Usłyszał ich opętańcze krzyki, a potem już tylko martwą ciszę.

– Dlatego tak wiele wysiłku włożyłem w tę akcję – szepnął Wujek. – Pomyśl tylko! Mogłem wykraść tę samą osobę, która wiele lat temu doprowadziła do mojej zguby. Moje życie zatoczyłoby koło, jak wąż, który pożera własny ogon! Dokonałaby się sprawiedliwość! Miałem zamiar sprowadzić Annę Fang do Grimsby i przeprogramować w taki sposób, żeby znów była moją niewolnicą, po kres swoich dni. I dopiąłbym swego, gdybyś nie wysadził bomb i nie zmusił Wrassego

do wkroczenia tak wcześnie. Wszystko zepsułeś, Caul. Wszystko poszło na marne.

– Proszę... – wykrztusił Caul resztką sił. – Proszę...

– O co? – zaszydził Wujek. – O życie? O śmierć? Nie po tym, co zrobiłeś, nicponiu. Chłopcy muszą zwalić na kogoś winę za to, co stało się z Wrassem, i niech mnie piorun strzeli, jeśli tym kimś będę ja. Więc powisisz tu, aż zdechniesz, a potem jeszcze tak długo, aż zrobi się taki smród, że nawet Zaginieni Chłopcy nie będą mogli go wytrzymać. A wtedy wyrzucimy cię do morza. Tak żeby wszyscy dobrze zapamiętali, że Wujek zawsze wie najlepiej.

Długie westchnięcie, szelest palców na mikrofonie, a potem ten dźwięk, jakby ktoś puknął w balonik, i nawet głośnik przestał szumieć. Lina skrzypiała, świat wirował, morze napierało na ściany i okna Grimsby, szukając szpary, którą mogłoby się dostać do środka. Caul odpływał w ciemność, budził się i znowu odpływał.

Wujek siedział w swoim gabinecie i oglądał twarz konającego chłopca na kilku monitorach – zbliżenie, oddalenie, prawy profil, lewy profil. Po chwili ziewnął i odwrócił głowę. Nawet widzące wszystko oczy muszą kiedyś spać, chociaż nie chciał, żeby wiedział o tym ktokolwiek poza najbardziej zaufanymi chłopcami.

– Pilnuj go dobrze, Gargle – powiedział do swojego małego asystenta. Wspiął się po schodach prowadzących do sypialni. Całe łóżko zasypane było stosami papierów, teczek z notatkami, książek i dokumentów w blaszanych puszkach. Wujek wsunął się pod wyszywaną złotą nitką narzutę (wykradzioną margrabiemu Kodz) i zasnął.

We śnie, który powtarzał się każdej nocy, był znowu młody, bez grosza przy duszy, wypędzony i ze złamanym sercem.

Kiedy Caul znowu się ocknął, wciąż była noc, a lina, która zaciskała się na jego szyi, zaczęła huścić się i podrywać go do góry. Chłopak desperacko walczył o oddech, rżąc i charcząc, gdy ktoś szepnął:

– Nie ruszaj się!

Caul otworzył zdrowe oko i w mroku nad głową zobaczył błysk noża tnącego grube sploty sznura.

– Hej! – usiłował powiedzieć.

Pękło ostatnie włókno. Spadł w ciemność, wylądował na twardym pancerzu „Śrubodźdzownicy” i leżał tam, łapczywymi haustami wciągając w płuca powietrze. Poczul, jak ktoś przecina mu więzy na rękach, a potem chwytając za barki i przewraca na plecy. Ujrzał nad sobą Gargle’a.

– Weź się w garść – wyszeptał chłopiec. – Musisz uciekać.

– Uciekać? – wykrztusił Caul. Ale Wujek mnie przyłapie!

Gargle pokręcił głową.

– Wujek śpi.

– Wujek nigdy nie śpi!

– Tak ci się tylko zdaje. W każdym razie wszystkie kamery, które cię pilnują, nawaliły. Załatwiłem to.

– Ale kiedy Wujek dowie się, co zrobiłeś...

– Spokojna głowa. – Zęby Gargle’a błysnęły w uśmiechu. – Schowałem części wymontowane z kamer pod materacem Skewera. Wujek pomyśli, że to jego robota.

– Skewer mnie nienawidzi! Wujek o tym wie!

– Nie, nie wie. Opowiadałem mu, jak świetnie dogadywaliście się na pokładzie „Śrubodźdzownicy”. Wujek sądzi, że Skewer przejął dowództwo tylko dlatego, iż martwił się o ciebie, bo kocha cię jak brata.

– Bogowie! – wychrypiał Caul, zaskoczony sprytem nowicjusza i krzywiąc się na myśl o tym, co czeka Skewera.

– Nie mogłem pozwolić, żeby Wujek cię zabił – wyszeptał Gargle. – Byłeś dla mnie dobry. Twoje miejsce jest na pokładzie Anchorage, Caul. Bierz „Śrubodźdzownicę” i wracaj tam.

Caul rozmasował szyję. Przez całe lata treningu w Kleptorium wbijano mu do głowy, że kradzież pająkomobila jest najcięższym grzechem, jakiego Zaginiony Chłopiec może się dopuścić. Z drugiej strony dobrze było żyć, a każdy oddech, który nabierał w wygłodzone płuca, wzmagął w nim chęć przetrwania.

– Dlaczego do Anchorage? – zapytał. – Słyszałeś, co Tom mówił o Pennyroyalu. Anchorage jest stracone. Poza tym na pewno nie przyjęliby mnie tam z otwartymi ramionami. Przecież wiedzą, że jestem złodziejem.

– Niczym się nie przejmuj. Kiedy tylko przekonają się, jak bardzo cię potrzebują, zapomną, że kiedykolwiek ich okradałeś. Masz, przyda ci się. – Gargle wetknął mu w dłoń podłużną blaszaną puszkę. – Nie ma czasu na wyjaśnienia, Caul. Nie pasujesz tu. Właściwie nigdy nie pasowałeś. A teraz ładuj się do pająkomobila i znikaj.

– A ty nie uciekasz?

– Ja? Jasne, że nie. Jestem Zaginionym Chłopcem. Zostanę w Grimsby. Wujek coraz bardziej się starzeje. Wzrok i słuch zaczynają mu szwankować. Będzie potrzebował kogoś takiego jak ja do pracy w archiwum i sterowania kamerami. Daj mi kilka lat, a zostanę jego prawą ręką. A później kto wie? Może w ogóle go zastąpię.

– To by było coś, Gargle – powiedział Caul, śmiejąc się cicho. – Chciałbym zobaczyć twoje rządy w Grimsby. Wreszcie skończyłoby się dręczenie słabszych.

– Jeszcze czego! – Twarz Gargle’a wykrzywiła się w zimnym, cynicznym uśmiechu. – Bynajmniej! Będę największym sadystą z nich wszystkich! Właśnie to pozwoliło mi przetrwać upokorzenia, które znosiłem w Kleptorium od Skewera i innych. Świadomość, że nadejdzie czas, kiedy to ja będę górą.

Caul przyglądał mu się przez chwilę, jakby nie wierzył własnym uszom.

– Uciekaj – powtórzył Gargle i otworzył wąż „Śrubodźdźownicy”.

Jego głos brzmiał tak zdecydowanie, że Caul poczuł się znowu jak nowicjusz słuchający rozkazów pewnego siebie starszego chłopca. O mało nie upuścił do wody puszki, ale Gargle złapał ją w ostatniej chwili i wetknął mu ją ponownie.

– Uciekaj i trzymaj się daleko od tego miejsca! Powodzenia!

Caul wgramolił się do wjazdu i zszedł po drabince do kabiny, zastanawiając się, w jaki sposób ten stary blaszany pojemnik może mu pomóc.

30. Anchorage

Freya obudziła się przed świtem i przez chwilę leżała w ciemności, czując, jak miasto drży pod nią, sunąc po nierównym gruncie. Anchorage znajdowało się teraz daleko na zachód od Grenlandii, jadąc na południe po nieznanym lodzie i kamiennych grzbietach wysp. Kilka razy pan Scabious musiał podnieść koło napędowe i opuścić gąsienice, aby przeprowić się przez lite, zaśnieżone skały. Obecnie przed miastem aż po horyzont znowu rozpościerało się zamrożone morze. Panna Pye uważała, że to Zatoka Hudsona, wielka równina lodowa, którą według profesora Pennyroyala mieli dotrzeć w głąb Martwego Kontynentu aż na sam skraj zielonej krainy. Ale czy lód okaże się dostatecznie mocny, by wytrzymać ciężar Anchorage?

Gdyby tylko profesor potrafił powiedzieć cokolwiek pewnego, pomyślała Freya, zrzucając z siebie kołdrę i podchodząc do okna. Lecz Pennyroyal przemierzył tę drogę pieszo, a opisy w jego książce były w tej sprawie zaskakująco mgliste. Panna Pye i pan Scabious próbowali wyciągnąć od niego więcej szczegółów, ale on robił się tylko coraz bardziej drażliwy i opryskliwy. Po pewnym czasie w ogóle przestał się pokazywać na zebraniach Rady. Właściwie od tej okropnej nocy, gdy Tom został porwany przez pasożyta, dobry

profesor zachowywał się nadzwyczaj osobliwie.

Chłodny powiew musnął jej twarz, gdy odsunęła zasłony, żeby popatrzeć na lód. Jakże dziwnie było pomyśleć, że tak wygląda kraniec świata! Dziwniejsza jeszcze wydawała się myśl, że wkrótce wjadą na zupełnie nowy teren polowań, a za oknami zrobi się zielono od trawy, krzewów i drzew. Trochę ją to przerażało. Czy Bogowie Lodu będą mieli władzę na terenach, gdzie śnieg pada tylko parę miesięcy w roku? A może Anchorage będzie potrzebowało nowych patronów?

Smuga światła zażółciła śnieg przed rezydencją nawigatora, gdy otworzyły się drzwi i ktoś wymknął się na zewnątrz. Freya przetarła szybę, która zaparowała od jej oddechu. Trudno było nie rozpoznać tej sylwetki, korpulentnej postaci w długim ciepłym płaszczu i zbyt dużym futrzanym berecie, przekradającej się przez aleję Rasmussenów.

Takie zachowanie wydawało się dziwne nawet jak na profesora Pennyroyala. Freya ubrała się pośpiesznie w prosty roboczy strój, który ostatnio nosiła najczęściej, i schowała do kieszeni latarkę. Wybiegła z pałacu, nie tracąc czasu na obudzenie Smew. Pennyroyal zniknął z widoku, ale głębokie ślady, które zostawił w śniegu, wskazały jej drogę, jaką poszedł.

Parę miesięcy wcześniej nigdy nie odważyłaby się opuścić pałacu bez niczyjego towarzystwa, ale w czasie długiej podróży przez Grenlandię bardzo się zmieniła. Na początku, wstrząśnięta utratą Toma, o mało nie powróciła do dawnych zwyczajów. Siedziała samotnie w prywatnych komnatach, nikogo nie widywała, a wszystkie rozkazy przekazywała Smew i Scabiousowi. Wkrótce jednak znudziło ją takie życie. Ciekawiło ją, co dzieje się na zewnątrz. Zaczęła więc

wychodzić i uczestniczyć w życiu miasta tak jak nigdy dotąd. Siadała i plotkowała z robotnikami, którzy jedli obiad w ogrzewanym pawilonie przy burcie. Od Windolene Pye nauczyła się, jak należy się myć i czyścić zęby. Obcięła krótko włosy. Przyłączała się do patroli, które pan Scabious wysyłał każdego ranka pod podwozie, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie zagnieździł się tam jakiś pasożyt. Prowadziła wozy transportowe w dzielnicy maszynowej. Wybierała się nawet skuterem na lód przed Anchorage, wprawiając w zdumienie i lekkie zakłopotanie drużynę zwiadowców. Z ulgą odrzuciła wszystkie rodzinne tradycje, tak jak człowiek pozbywa się starych, źle pasujących ubrań.

A teraz przekradała się przez aleję Rasmussenów, śledząc własnego Głównego Nawigatora!

Nagle na tle szarych, obsypanych śniegiem budynków mignął jej barwny beret profesora przemykającego chyłkiem przez bramę lotniska.

Freya pobiegła za nim, ukrywając się w cieniu domów, aż dopadła bramy i schowała się za budką odprawy celnej. Wychyliwszy głowę, rozejrzała się dookoła. Przez chwilę zdawało się, że Pennyroyal zginął jej gdzieś między hangarami i dokami. Ale nie – jest! Barwny beret mignął w świetle latarni w głębi portu, a potem zanurzył się w mroku, gdy profesor wszedł do warsztatu pana Aakiuqa.

Freya ruszyła przez lotnisko, podążając za śladami stóp w śniegu. Drzwi warsztatu były otwarte. Przystanęła na moment, wpatrując się nerwowo w mroczne wnętrze i przypominając sobie złodziei ze statku-pajaka, którzy pod osłoną ciemności rabowali miasto... Ale teraz nie groziło jej niebezpieczeństwo. Latarka, której światło błąkało się gdzieś w głębi warsztatu, nie należała do jakiegoś złowrogiego

łotra, tylko do zdziwaczałego podróżnika.

Słyszała jego mamroczący głos. Do kogo mówił? Do siebie? Windolene Pye powiedziała jej, że zdążył już opróżnić piwnice Głównego Nawigatora i teraz kradł alkohol z opuszczonych restauracji górnego pokładu. Może się upił i bredzi? Podkraśla się bliżej, znajdując schronienie za stosem starych części do silników.

– Pennyroyal do każdego, kto mnie słyszy! – wyszeptał głos z wyraźną desperacją. – Tu Pennyroyal! Czy jest tam kto? Odezwijcie się! Błagam!

Profesor siedział zgarbiony przed starym radiem, którego lampki oblewały go zielonym światłem. Na uszy nacisnął słuchawki, a jego dłoń drżała lekko, trzymając kurczowo mikrofon.

– Jest tam kto? Błagam! Zapłacę każdą sumę! Tylko zabierzcie mnie z tego miasta głupców!

– Profesorze Pennyroyal – powiedziała głośno Freya.

– Aaa! Klio! Poskicie! – wrzasnął profesor jak oparzony. Poderwał się z krzesła i wyszarpnął kabel od słuchawek z radia, aż na podłogę posypały się części jakiejś aparatury. Zielone światełko zgasło, a spod obudowy strzeliły białe iskry.

Freya wyciągnęła i zapaliła latarkę. Pennyroyal miał twarz spoconą i bladą ze strachu. Kiedy zmrużył oczy i rozpoznał Freyę, jego usta wykrzywiły się w afektowanym uśmiechu.

– Wasza Promienistość?

Prawie nikt nie nazywał jej ostatnio w ten sposób. Nawet panna Pye i Smew zwracali się do niej po imieniu. Jak bardzo profesor stracił kontakt z rzeczywistością!

– Cieszę się, widząc, że wreszcie się pan czymś zajął, profesorze – powiedziała z przekąsem. – Czy pan Aakiuq wie, że grzebie pan w jego

sprzęcie?

– Kto tu mówi o grzebaniu, Wasza Promienistość? – Historyk wyglądał na oburzonego. – Pennyroyalowie nigdy nie zniżyli się do czegoś podobnego! Nie, nie... Ja po prostu... Nie chciałem odrywać pana Aakiuqa od ważniejszych zajęć...

Latarka zamrugwała i Freya przypomniała sobie, że w mieście nie zostało już zbyt wiele baterii. Odnalazła włącznik i zapaliła argonowe lampy wiszące pod rdzewiejącym sufitem. Pennyroyal zmrużył powieki od nagłego blasku. Wyglądał okropnie. Miał podkrążone, przekrwione oczy, a jego trupio blade policzki porastała krótka siwa szczecina.

– Z kim pan rozmawiał? – zapytała.

– Ja? Z nikim.

– A dlaczego chce pan się wydostać z tego miasta głupców? Myślałam, że zależy panu na powrocie do Ameryki i spotkaniu z piękną Pralnią Chemiczną.

Pennyroyal pobladł jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe.

– Eee – wybąkał. – Tego tam...

W ciągu ostatnich tygodni zaczęła Freyę prześladować okropna myśl. Nachodziła ją nagle, w najmniej spodziewanych momentach – kiedy brała prysznic, leżała o trzeciej nad ranem w łóżku albo jadła kolację w towarzystwie panny Pye i pana Scabiousa. Nigdy nie podzieliła się nią z nikim, chociaż podejrzewała, że jej poddanym także musiała przyjść do głowy. Zwykle w takich chwilach starała się pomyśleć o czymś innym, bo... cóż, było to tylko głupie, nic nieznaczące przypuszczenie.

Teraz jednak coś ją tknęło.

– Nie zna pan drogi do Ameryki, prawda? – zapytała, próbując opanować drżenie głosu.

– Eee...

– Przejechaliśmy taki szmat drogi, ufając panu i pańskiej książce, a pan nie wie, jak wrócić do zielonej krainy. A może w ogóle jej nie ma? Czy naprawdę był pan w Ameryce, profesorze?

– Jak pani śmie?! – zaczął mówić Pennyroyal, ale po chwili westchnął i potrząsnął głową. – Nie. Nie byłem. Zmyśliłem całą tę historię. – Usiadł na zakurzonej starym silniku i spuścił wstydliwie głowę. – Nigdy nie wybrałem się w żadną podróż, Wasza Promienistość. Czytałem tylko książki innych, oglądałem zdjęcia i pisałem, co mi przyszło do głowy. *Piękną Amerykę* stworzyłem, siedząc przy basenie hotelu na najwyższym piętrze Paryża w towarzystwie uroczej młodej damy, Morelki Zanzibar. Zadbalem oczywiście o to, żeby akcja rozgrywała się gdzieś bardzo daleko. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś zechce tam pojechać.

– To dlaczego nie przyznał się pan od razu, że to bujda? Dlaczego kiedy mianowałam pana Głównym Nawigatorem, nie wyprowadził mnie pan z błędu?

– Miałbym się zrzec tych wszystkich pieniędzy, luksusowej rezydencji i piwnicy pełnej najprzedniejszego wina? Jestem tylko człowiekiem. Poza tym, gdyby ta wieść rozniosła się po Terenie Polowań, stałbym się pośmiewiskiem, moja kariera pisarska ległaby w gruzach! Pomyślałem, że po prostu ucieknę razem z Tomem i Hester.

– Dlatego tak bardzo pan się przejął, kiedy Hester odleciała „Jenny Haniver”!

– Właśnie! Przez nią straciłem możliwość ucieczki! Nie mogłem

wydostać się z miasta i nie mogłem przyznać się do tego, co zrobiłem, bo kazałabyś mnie zabić.

– Wcale nie!

– Cóż, twoi poddani i tak by mnie dopadli. Więc zacząłem wzywać pomocy przez radio. Miałem nadzieję, że zabłąkał się tu jakiś sterowiec handlowy albo osada wielorybnicza...

Zadziwiające, jak bardzo użalał się nad sobą, nie czując jednocześnie żadnej odpowiedzialności za losy miasta, które doprowadził do zguby. Freya zadrżała z wściekłości.

– Jest pan... Jest... pan... Jest pan zwolniony, profesorze Pennyroyal! Pozbawiam pana stanowiska Głównego Nawigatora! Natychmiast zwróci pan urzędowy kompas i klucz do rezydencji!

Nie poczuła się dzięki temu ani odrobinę lepiej. Osunęła się na stos starych uszczelek, które ugięły się i zaskrzypiały pod jej ciężarem. Jak przekaże to wszystko pannie Pye, Scabiousowi i pozostałym? Powie, że utknęli na końcu świata bez nadziei na znalezienie zielonej krainy i bez paliwa, żeby zawrócić – i że to jej wina! Wmawiała wszystkim, że podróży do Ameryki domagali się Bogowie Lodu, podczas gdy tak naprawdę kierowała się własną zachcianką. Gdyby tylko nie dała się oczarować Pennyroyalowi i tej jego głupiej książce!

– Co ja teraz zrobię? – spytała. – Co ja zrobię?

Gdzieś na ulicy rozległ się krzyk. Pennyroyal podniósł wzrok. W oddali słychać było cichy warkot, brzmiący jak...

– Sterowiec! – Pennyroyal skoczył na równe nogi i pognął do drzwi.

– Dzięki ci, Klio! Jesteśmy uratowani.

Freya pobiegła za nim, ocierając łzy i nakładając maskę. Zbliżał się świt, granatowe niebo zdążyło przybrać stalowoszarą barwę. Pennyroyal biegł przez płytę lotniska. Nagle zatrzymał się, odwrócił

i wskazał ręką w górę. Dziewczyna zmrużyła oczy przed wiatrem i ujrzała parę poruszających się światełek i białą smugę dymu na ciemnym niebie.

– Sterowiec! – wykrzyknął Pennyroyal, tańcząc z radości. – Ktoś usłyszał moją wiadomość! Jesteśmy uratowani! Uratowani!

Freya popędziła dalej, mijając profesora i starając się nie stracić statku z pola widzenia. Państwo Aakiuqowie stali przed wejściem do biura portowego z uniesionymi głowami.

– Sterowiec, tutaj? – usłyszała głos kierownika lotniska. – Kto to może być?

– Bogowie Lodu uprzedzili cię o ich przylocie, Freyu? – zapytała jego żona.

Zwiadowca Lemuel Quaanic podbiegł do nich zziębnięty.

– Margrabino! – wysapał. – Znam ten statek! To „Powietrzna Turbulencja” Piotra Masgarda!

– Wilcze Stado Archangielska! – jęknęła pani Aakiuq.

– Tutaj?! – wykrzyknęła Freya ze zdumieniem. – Niemożliwe! Archangielsk nigdy nie zapuszcza się na zachód od Grenlandii. Nie ma tu nic do pożarcia.

– Oprócz nas – zauważył Quaanic.

„Powietrzna Turbulencja” okrążyła Anchorage, a potem zawisła nad rufą miasta jak wilk czający się do skoku na bezbronną ofiarę. Freya pobiegła czym prędzej na mostek kapitański. Panna Pye już była na miejscu, w szlafroku i z siwiejącymi włosami opadającymi w nieładzie na ramiona.

– To Wilcze Stado, Freyu! – powiedziała. – Jak nas tutaj znaleźli? Skąd, na bogów, wiedzieli, gdzie jesteśmy?

– Przez Pennyroyala – uświadomiła sobie nagle Freya. – Przez

profesora Pennyroyala i jego głupie apele radiowe...

– Połączyli się z nami! – zawołał pan Umiak, wychylając się z budki radiooperatora. – Każą nam wyłączyć silniki.

Freya zerknęła w stronę rufy. W szarawym półmroku widziała biały świetlisty lód i długie ślady płóz Anchorage znikające we mgle na północnym wschodzie. Oprócz pojedynczego sterowca nie było żadnego pościgu.

– Mam im odpowiedzieć, Freyu?

– Nie! Udaj, że ich nie słyszeliśmy.

To jednak nie powstrzymało Piotra Masgarda na długo. „Powietrzna Turbulencja” przyśpieszyła i zawisała tuż nad mostkiem kapitańskim. Otworzyły się drzwiczki gondoli i wychylił się z niej syn archangielskiego burmistrza we własnej osobie, krzycząc coś przez wielką tubę.

Panna Pye uchyliła lufcik i usłyszeli:

– Gratulujemy wam, mieszkańcy Anchorage! Wasze miasto zostało wybrane na pożarcie przez wielki Archangielsk! Postrach Północy znajduje się teraz jedynie dzień drogi za wami i zbliża się z każdą chwilą. Wyłączcie silniki i oszczędźcie nam pościgu, a dobrze was potraktujemy.

– Nie mogą nas pożreć! – powiedziała panna Pye. – Nie teraz! Och, co za koszmarny pech!

Freya poczuła ogarniające ją odrętwienie, jakby wpadła do lodowatej wody. Ludzie zebrani na mostku patrzyli na nią, czekając, aż porozumie się z Bogami Lodu, a potem oznajmi wszystkim ich wolę. Zastanawiała się, czy powiedzieć prawdę. Ostatecznie pożarcie przez Archangielsk mogło się okazać lepsze od błakania się bez końca po tym nieznanym lodowcu w poszukiwaniu kontynentu, który

rzeczywiście był martwy. Lecz potem przypomniała sobie, co słyszała o Archangielsku i o tym, jak traktują tam schwytanych ludzi. Nie, nie, wszystko byłoby lepsze od tego, pomyślała. Nie obchodzi mnie, czy zatoniemy pod rozstępującym się lodem, czy też umrzemy z głodu po dotarciu do Ameryki, ale nie damy się Archangielskowi!

– Wyłączcie silniki! – ryknął Masgard.

Freya spojrzała na wschód. Jeżeli Archangielsk przeprowił się przez Grenlandię, to mógł być tak blisko, jak twierdził Masgard, ale Anchorage wciąż mogło mu uciec. Wielki drapieźnik nie zdecyduje się zapuścić zbyt daleko w głąb tego niezbadanego terytorium. Właśnie dlatego wysłał swój sterowiec...

Nie miała megafonu, żeby odkrzyknąć Masgardowi, więc wzięła ołówek i napisała na odwrotnej stronie mapy wielkimi literami „nie”.

– Panno Pye – powiedziała. – Proszę przekazać panu Scabiousowi: Cała naprzód.

Panna Pye podniosła słuchawkę telefonu. Freya przycisnęła mapę do szyby. Zobaczyła, jak Masgard mruży powieki, próbując przeczytać wiadomość, a potem marszczy gniewnie brwi. Jego postać zniknęła w gondoli, drzwiczki zatrzasnęły się i sterowiec odbił do tyłu.

– Co niby mogą nam zrobić? – powiedziała do jednego z nawigatorów. – Nie zaatakują nas, bo zaryzykowałiby zniszczenie tego, co tak bardzo chcą pożreć.

– Założę się, że Archangielsk jest znacznie dalej niż dzień stąd! – oświadczyła panna Pye. – Wielki gruby żarłok! Muszą być strasznie zdesperowani, bo inaczej nie wysłaliby do nas bandy rozpieszczonych młokosów bawiących się w podniebnych piratów. Doskonale, Freyu. Przejrzałaś ich bluff. Bez trudu im uciekniemy!

Tymczasem „Powietrzna Turbulencja” zleciała pod rufę miasta

i wystrzeliła serię rakiet w podpory koła napędowego z lewej burty. Buchnęły kłęby dymu i płomienie. Oś złamała się i olbrzymia metalowa tarcza oberwała się i zaryła w lód niczym wielka kotwica, ciągnąc za sobą łańcuchy i odginając słupy z prawej burty. Anchorage zachybotało się, zakręciło i zatrzymało się z silnym szarpnięciem.

– Szybko! – krzyknęła Freya przerażona, widząc światła sterowca wyłaniające się spod rufy. – Musimy ruszać! Obniżyć gąsienice...

Panna Pye stała przy telefonie, słuchając raportu z maszynowni.

– Och, Freyu, nie możemy. Koło jest za ciężkie, żebyśmy mogli je za sobą ciągnąć. Trzeba je odciąć, a Søren mówi, że zajmie to wiele godzin.

– Ale nie mamy tyle czasu! – zawołała Freya i nagle zdała sobie sprawę, że w ogóle go nie mają. Objęła trwożnie pannę Pye i obie spojrzały w stronę portu lotniczego. „Powietrzna Turbulencja” wylądowała tam, wypuszczając z gondoli oddział uzbrojonych ludzi, którzy pobiegli schodami na dół, żeby zabezpieczyć dzielnicę maszynową. Następnie wzbiła się znowu w niebo i zawisła nad samym mostkiem. Szklane ściany rozbiły się pod ciężkimi butami żołnierzy, którzy spuścili się na linach z gondoli. Posypał się deszcz szkła, w świetle lamp błysnęły miecze, podniósł się krzyk i płacz. Freya zgubiła gdzieś pannę Pye. Rzuciła się w stronę windy, ale ktoś znalazł się tam przed nią – w futrze i kolczudze, z szerokim uśmiechem na twarzy i ramionami wyciągniętymi, żeby ją złapać, a ona myślała tylko o jednym. Przebyliśmy taki szmat drogi i po co? Tylko po to, żeby dać się pożreć?

31. Z nożem w ręku

Sto metrów pod gondolą „Jenny Haniver” przesuwała się szklista powierzchnia morza, po której dryfowały lodowe kry. Raz wylądowali na pokładzie niewielkiej osady nomadów i za ostatnie pieniądze kupili paliwo. Gdy wzbili się znowu w powietrze i polecieeli dalej, kierując się na północny zachód, kry stawały się coraz większe, lód zbijał się w wielkie góry, między które coraz rzadziej wdzierała się woda, aż w końcu znaleźli się nad białą bezkresną równiną zamarznętego oceanu. Żywili się starymi herbatnikami, pili kawę i rzadko spali, lękając się Łowcy, który nawiedzał ich sny. Siedzieli za to w kabinie pilota i w niezręcznych, urywanych słowach opowiadali sobie, co przeżyli po tym, jak się rozstali.

Nie rozmawiali o ucieczce Hester z Anchorage ani o tym, co ją spowodowało. Nie wspomnieli o tym od pierwszej nocy, gdy leżeli, drżąc bez tchu, w miłosnym uścisku na twardej podłodze kabiny i Hester cichym głosem powiedziała:

– Muszę ci coś wyjaśnić. Po odlocie z Anchorage zrobiłam coś okropnego...

– Zdenerwowałaś się i odleciałaś – odparł Tom, nie rozumiejąc, o co jej chodzi. Tak bardzo cieszył się, że ma ją znowu przy sobie, że nie

chciał ryzykować kłótni, dlatego postarał się, żeby zabrzmiało to jak błałostka, którą łatwo wybaczyć.

Hester pokręciła głową.

– Nie, ja naprawdę... – Ale nie potrafiła się zdobyć, żeby to z siebie wydusić.

Lecieli więc w ciszy dzień za dniem ponad ściętym lodem morzem i ośnieżonymi skałami, aż w końcu Tom wyznał:

– Nie chciałem tego, co zaszło między mną a Freyą. Kiedy wrócimy do Anchorage, będzie inaczej, obiecuję. Ostrzeżemy ich tylko przed Archangielskiem, a potem napełnimy baki paliwem i odlecimy. Wybierzemy się na Tysiąc Wysp albo do Afryki i znowu będziemy tylko we dwoje.

Hester potrząsnęła głową.

– To zbyt niebezpieczne, Tom. Zbliża się wojna. Może jeszcze nie za rok albo dwa, ale już wkrótce, a jest już za późno, żeby jej zapobiec. Liga wciąż myśli, że wysadziliśmy w powietrze Północną Flotę, Zielona Burza obwinia nas za atak na Gniazdo Szerszeni, a ten Łowca nie zawsze będzie w pobliżu, żeby nas ochronić.

– To gdzie będziemy bezpieczni?

– W Anchorage – odparła Hester. – Znajdziemy jakiś sposób, żeby je ocalić, przeczekamy tam kilka lat, a potem może...

Jednak nawet jeśli istniał jakiś sposób, by uratować miasto, wiedziała, że ona sama nie zostanie na jego pokładzie. Zostawi Toma z Freyą i odleci. W Anchorage jest miło, przytulnie i spokojnie. Nie ma w nim miejsca dla córki Valentine'a.

Tej samej nocy, gdy blask zorzy polarnej tańczył na niebie, Tom zerknął w dół poprzez chmury i ujrzał długą szramę w lodowej

skorupie. Po obu jej stronach biegły głębokie na kilka metrów linie znikające pod wschodnim horyzontem.

– Ślady miasta! – zawołał i pobiegł obudzić Hester.

– Archangielsk – powiedziała dziewczyna. Ogarnął ją nagły lęk. Widok olbrzymich śladów przypominał jej, z jakim kolosem mieli do czynienia. Jak mogła sądzić, że uda jej się go powstrzymać? Na samą myśl o nim robiło jej się niedobrze.

Zmienił kurs, podążając za szeroką bruzdą. Po godzinie w radiu odezwał się piskliwy sygnał drapieżnika, a wkrótce ujrzeli jego światła migoczące we mgle.

Archangielsk poruszał się z jedną czwartą szybkości, poprzedzany pojazdami zwiadowczymi i satelickimi przedmiściami sprawdzającymi lód. Z jego pokładu wzbijały się sterowce kupców, którzy obawiali się podróżować dalej w głąb niezbadanego terytorium i zawracali na wschód. Tom chciał z nimi porozmawiać, ale Hester zaprotestowała.

– Lepiej nie ufać ludziom, którzy handlują z Archangielskiem – powiedziała. Bała się, że ktoś może ją rozpoznać i Tom dowie się, co zrobiła. – Trzymajmy się od nich z daleka i lećmy dalej.

Wkrótce zostawili miasto za sobą, a jego światła utonęły w mroku i śniegu, który przywiał z północy. Lecz gdy jego sygnał ucichł, zastąpił go inny, z początku niewyraźny, ale coraz głośniejszy. Oboje wyteżyli wzrok, wpatrując się w ciemność, gdy wiatr świszczął w olinowaniu „Jenny”, a płatki śniegu osiadały miękko na szybach. Daleko na przedzie rozbłysło blade światelko, a z głośnika popłynęła długa posępna nuta podobna do skowytu samotnego wilka.

– To Anchorage.

– Nie rusza się!

– Coś się stało...

– Spóźniliśmy się! – jęknął Tom. – Archangielsk wysyła Wilcze Stado, żeby przejęło miasto, które zamierza pożreć. Natknęliśmy się na nich w Airhaven! Musimy zawrócić. Jeśli wylądujemy, wpadniemy im w ręce i „Jenny” zostanie połączona razem z miastem...

– Nie – powiedziała Hester. – Musimy wylądować. Musimy coś zrobić. – Spojrzała na Toma, pragnąc wyznać mu, dlaczego to dla niej takie ważne. Wiedziała, że aby odkupić swoje winy, będzie musiała stanąć do walki z Wilczym Stadem i prawdopodobnie zginie. Chciała wyjaśnić Tomowi, na czym polegała jej umowa z Masgardem, i uzyskać jego przebaczenie. Ale jeśli jej nie przebaczy? Może odepchnie ją z obrzydzeniem? Nagle słowa uwięzły jej w gardle.

Tom wyłączył silniki i zdał się na wiatr, który poniosł „Jenny” cicho w kierunku miasta. Wzruszyła go nagła i niespodziewana troska Hester o Anchorage. Widząc je przed sobą, uświadomił sobie, jak bardzo za nim tęsknił. Łzy napłynęły mu do oczu, sprawiając, że światła w Pałacu Zimowym i na mostku rozlały się jak złote kleksy.

– Wszystko się świeci jak lampki na choince...

– To po to, żeby Archangielsk łatwiej namierzył ofiarę – oznajmiła Hester. – Masgard i jego ludzie musieli to zrobić. Wyłączyli silniki, zapalili światła i zaczęli emitować sygnał przyzywający. Pewnie siedzą teraz w pałacu i czekają na swoje miasto.

– A co z Freyą? – spytał Tom. – Co z jej poddanymi?

Hester nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Port lotniczy był jasno oświetlony i wyglądał nadzwyczaj gościnnie, ale nie mogło być mowy o wylądowaniu na jego płycie. Hester zgasła przednie światła i przekazała stery Tomowi, który zawsze radził sobie z nimi lepiej od niej. Chłopak obniżył lot, tak że kil gondoli niemal

rysował lód, a potem gwałtownie wzbił się w górę i posadził „Jenny” na dolnym pokładzie między dwoma magazynami stojącymi przy lewej burcie. Brzęk klamer cumowniczych zabrzmiał niczym huk wystrzału. Oczekali chwilę w kabinie, a kiedy nie pojawił się żaden strażnik, wyszli na zewnątrz.

Wbiegli po cichu schodami prowadzącymi do portu. „Powietrzna Turbulencja” zacumowała na środku lotniska, czerwony wilk na jej balonie lśnił w świetle latarni. Wartownik w futrzanym płaszczu stał przy gondoli, w której oknach paliło się światło i widać było cienie poruszających się postaci.

Tom popatrzył na Hester.

– Co robimy?

Dziewczyna potrząsnęła niepewnie głową. Przekradli się cichaczem za zbiornikami z paliwem i weszli tylnymi drzwiami do domu kierownika portu. W środku panował mrok, tylko przez zaszronione szyby wpadało rozproszone światło latarni. Zdawało się, jakby przez schludną niegdyś sień i kuchnię przeszło tornado, rozbijając kolekcję pamiątkowych talerzy, tłukąc zastawę stołową i przewracając portrety dzieci Aakiuqów w rodzinnej kapliczce. Antyczna flinta na wilki, która wisiała w przedpokoju, zniknęła, a piec był zimny. Depcząc fragmenty roześmianych twarzy Rasmussenów, Hester podeszła do szafeczki i otworzyła szufladę z nożami.

Na schodach za jej plecami rozległo się ciche skrzypnięcie. Tom odwrócił się szybko i zobaczył czyjąś twarz patrzącą na niego zza słupków poręczy. Twarz cofnęła się natychmiast w mrok i czyjeś buty zadudniły po drewnianych stopniach. Zaskoczony Tom krzyknął i zakrył usta dłonią, przypominając sobie o wartowniku na zewnątrz. Hester wbiegła na schody z najostrzejszym nożem pani Aakiuq

w dłoni. W prążkowanym cieniu za poręczą doszło do krótkiej szamotaniny.

– Litości! Nie zabijajcie mnie! – Dał się słyszeć po chwili stłumiony jęk, a potem łoskot ciężkiego ciała, ściąganego za pasek od spodni na dół. Hester odsunęła się i pokazała Tomowi swojego jeńca.

Był to Pennyroyal. Brudny, potargany i zarośnięty podróżnik wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć lat w czasie ich nieobecności – jak gdyby na pokładzie Anchorage czas biegł szybciej niż gdzie indziej. Profesor pisnął cichutko, spoglądając rozbieranymi oczkami na twarze swoich oprawców.

– Tom? Hester? Bogom niech będą dzięki! Myślałem, że to ci okropni hultaje z Wilczego Stada. Ale jak się tu znaleźliście? Przylecieliście „Jenny”? Musimy natychmiast uciekać!

– Co się tu dzieje, profesorze? – zapytał Tom. – Gdzie są wszyscy?

Pennyroyal, wpatrując się cały czas w nóż, który trzymała Hester, podźwignął się z podłogi i sapiąc ciężko, usiadł na schodach.

– Napadło nas Wilcze Stado Archangielska. Ci straszni piraci powietrzni dowodzeni przez tego łajdaka Piotra Masgarda. Zjawili się dziesięć godzin temu, rozwalili koło napędowe i zajęli miasto.

– Ktoś zginął? – spytała Hester.

Pennyroyal pokręcił głową.

– Nie sędzę. Zależy im na niewolnikach. Dlatego zagonili wszystkich do Pałacu Zimowego i trzymają ich tam pod strażą, czekając na przybycie Archangielska. Kilku ludzi Scabiousa próbowało stawić opór i zostali poturbowani, ale nikt inny nie ucierpiał.

– A pan? – Hester pochyliła się nad nim ze srogim spojrzeniem. – Jak to się stało, że nie siedzi pan zamknięty razem z innymi?

Pennyroyal uśmiechnął się lekko.

– Zna pani motto Pennyroyalów, panno Shaw? „Gdy robi się gorąco, człowiek rozsądny szuka schronienia pod dużymi meblami”. Kiedy wylądowali, byłem akurat na lotnisku i oceniwszy trzeźwo sytuację, wkradłem się tutaj i ukryłem pod łóżkiem. Wyszedłem spod niego, dopiero kiedy było po wszystkim. Rozważałem oczywiście możliwość przedstawienia się młodemu Masgardowi i zażądania znaleźnego, ale szczerze mówiąc, uznałem, że nie można mu zaufać, więc wciąż się ukrywam.

– Znaleźnego? – spytał Tom.

– Eee... hmmm... – Pennyroyal uśmiechnął się krzywo, próbując zamaskować wstyd. – Niestety, obawiam się, że to ja sprowadziłem tu Wilcze Stado.

Z nieznanego Tomowi powodu Hester parsknęła śmiechem.

– Wysłałem tylko kilka nieszkodliwych sygnałów o pomoc! – poskarżył się podróżnik. – Nawet przez myśl mi nie przeszło, że może je odebrać Archangielsk! Kto słyszał, żeby fale radiowe podróżowały na taką odległość? To jakaś osobliwość arktycznego klimatu, bez wątpienia... W każdym razie nie wyszedłem na tym najlepiej, jak widzicie. Siedzę tu od wielu godzin i czekam na stosowny moment, żeby dostać się do sterowca Wilczego Stada i czmychnąć, ale niestety pilnuje go pewien dryblas, a w środku jest ich więcej...

– Zauważyliśmy – powiedział Tom.

– Ale – podjął profesor, odzyskując dobry humor – skoro „Jenny Haniver” znów tu jest, nie ma to żadnego znaczenia, prawda? Kiedy ruszamy?

– Wcale – odparła Hester. Tom spojrział na nią niepewnie, więc dodała czym prędzej: – Nie możemy uciec! Jesteśmy coś winni Freyi, Aakiuqom i pozostałym. Musimy ich uratować.

Tom i Pennyroyal patrzyli na nią oniemiałi, a ona podeszła do kuchennego okna i wyjrzała przez zaszronioną szybę. Płatki śniegu wirowały w świetle portowych latarni. Wyobraziła sobie strażników na pokładzie sterowca, ich zziębniętego kompana przechadzającego się tam i z powrotem po śniegu, pozostałych ludzi Masgarda w Pałacu Zimowym, rozgrzewających się winem z piwnicy Rasmussenów. Będą ospali i pewni siebie. Nie spodziewają się niebezpieczeństwa. Nie mieliby szans w starciu z Valentine'em. Być może, jeśli odziedziczyła po nim dość siły, sprytu i okrucieństwa, nie sprostają także jej.

– Hester? – Tom stał za jej plecami, wystraszony jej dziwnym zachowaniem. Zwykle to on występował z planami ocalenia słabych i bezbronnych. Słyszając taką sugestię od Hester, miał wrażenie, jakby świat stanął nagle na głowie. Położył dłoń na jej ramieniu. Poczował jednak, jak sztywnieje pod jego dotykiem, więc odsunął się od niej. – Hester, ich jest mnóstwo, a nas tylko troje...

– Raczej dwoje – wtrącił się Pennyroyal. – Nie chcę mieć nic wspólnego z tym samobójczym przedsięwzięciem...

W jednej chwili nóż Hester znalazł się przy jego gardle. Ręka drżała jej nieznacznie i w ostrzu migotało mdłe światło.

– Zrobisz, co ci każę – powiedziała córka Valentine'a – albo sama cię zabiję.

32. Córka Valentine'a

Częstuj się, margrabino! – zawołał wesoło Piotr Masgard z drugiego końca stołu, wymachując nadgryzionym udkiem kurczaka.

Freya spuściła wzrok na talerz pełen stygnącego jedzenia. Żałowała, że nie siedzi zamknięta w sali balowej razem z innymi, których nakarmiono jakimiś marnymi ochłapami, ale Masgard nalegał, by zjadła w jego towarzystwie. Oświadczył, że po prostu okazuje należny jej szacunek, bo nie wypada, aby margrabina jadła razem ze swoimi poddanymi. Jego obowiązkiem jako przywódcy Wilczego Stada jest ugościć ją przy własnym stole i uczyni to z niekłamaną przyjemnością.

Tylko że stół, podobnie jak cała jadalnia, należały do Freyi, jedzenie pochodziło z jej spiżarni i zostało przygotowane przez biednego Smew w jej kuchni. A za każdym razem, gdy podnosiła wzrok, widziała błękitne oczy Masgarda przyglądającego się z rozbawieniem i dumą swojej nowej zdobyczy.

W pierwszych chwilach potwornego zamieszania podczas ataku na mostek kapitański pocieszała się myślą, że Scabious nigdy na to nie pozwoli. On i jego ludzie będą walczyć i ocalą miasto. Jednak kiedy razem z pozostałymi jeńcami została zagoniona do sali balowej i zobaczyła, jak wielu ludzi już tam czeka, zrozumiała, że wszystko

potoczyło się zbyt szybko. Ludzie Scabiouosa zostali wzięci zaskoczenia, kiedy wciąż gasili pożar na rufie. Zło zatriumfowało nad dobrem.

– Wielki Archangielsk przybędzie tu za parę godzin – oświadczył Masgard, krążąc wokół więźniów, podczas gdy piraci stali na straży ze strzelbami i kuszami. Jego słowa huczały z tub zamontowanych na hełmie jednego z nich. – Jeśli będziecie grzeczni, zaznacie zdrowego, wypełnionego pracą życia w Trzewiach. Kto mi się sprzeciwi, zginie. Samo miasto jest wystarczająco dobrym łupem, mogę poświęcić życie kilku niewolników, jeżeli chcecie dowodu, że nie żartuję.

Nikt nie chciał. Obywatele Anchorage nie przywykli do przemocy, więc srogie miny i strzelby piratów wystarczyły, żeby ich przekonać. Wszyscy stłoczyli się na środku sali, żony przytuliły się do mężów, a matki starały się powstrzymać dzieci przed płaczem, rozmawianiem i czymkolwiek, co mogłoby rozwścieczyć strażników. Kiedy Masgard zaprosił margrabinę na kolację, Freya uznała, że powinna się zgodzić – byle tylko nie popsuć mu humoru.

I tak, pomyślała, dłubiąc widelcem w prawie zimnym jedzeniu, jeśli kolacja z Masgardem to najgorsze, co muszę znieść, nieźle na tym wyszłam. Nie czuła się jednak dobrze – nie wtedy, gdy podnosiła wzrok i widziała zapowiedź groźby w jego oczach. Ścisnęło ją w żołądku i przez chwilę myślała, że zwymiotuje. Nie była w stanie niczego przełknąć, dlatego zagadnęła:

– Więc jak nas pan znalazł?

Masgard uśmiechnął się szeroko, mrużąc oczy. Poczł lekki zawód, kiedy tu przyleciał. Mieszkańcy poddali się zbyt łatwo, a osobisty strażnik margrabiny okazał się mikrym człowiczkiem niegodnym jego miecza. Masgardowi zależało jednak na traktowaniu margrabiny

w sposób jak najbardziej szarmancki. Siedząc na tronie Freyi u szczytu stołu, czuł się wielki, przystojny i zwycięski. Myślał nawet, że wywarł na niej pewne wrażenie.

– Skąd pani wie, że nie doprowadziły mnie do was łowieckie umiejętności? – spytał.

Freya wygięła usta w wymuszonym uśmiechu.

– Nie działacie w ten sposób, prawda? Słyszałam o was. Archangielskowi tak bardzo zależy na upolowaniu zdobyczy, że płaci ludziom, żeby drutowali na inne miasta.

– Kablowali.

– Słucham?

– Mówi się kablować na inne miasta. Jeśli zamierza pani używać podpokładowego slangu, Wasza Promienistość, niechże pani chociaż robi to prawidłowo.

Freya oblała się rumieńcem.

– To profesor Pennyroyal, zgadza się? Te jego głupie wiadomości radiowe. Powiedział, że próbuje się skontaktować z jakimś sterowcem handlowym albo osadą wielorybniczą, ale pewnie od początku komunikował się z wami.

– Jaki profesor? – roześmiał się znowu Masgard. – Nie, moja droga, była to pewna lotniczka.

Freya otworzyła szeroko oczy.

– Hester!

– A wiesz, co jest w tym najzabawniejsze? Wcale nie chciała zapłaty w złocie. Prosiła tylko o chłopaka, o jakiegoś bezwartościowego powietrznego wagabundę. Niejakiego Natsworthy’ego...

– Och, Hester! – jęknęła Freya. Od początku wydawała się jej szalona, ale w najczarniejszych snach nie podejrzewała, że byłaby

zdolna do czegoś tak potwornego. Zdradzić całe miasto tylko po to, żeby zatrzymać przy sobie chłopaka, którego nie była warta i który byłby szczęśliwszy z kim innym! Usiłowała zapanować nad uczuciem wściekłości, bo Masgard tylko by ją wyśmiał.

– Toma nie ma – oznajmiła. – Pewnie nie żyje...

– W takim razie chłopak miał szczęście – zachichotał Masgard z ustami pełnymi jedzenia. – Choć to oczywiście bez znaczenia. Dziewczyna zniknęła. Odleciała, zanim atrament na jej kontrakcie zdążył wyschnąć...

Drzwi do jadalni otworzyły się z trzaskiem i Freya odwróciła głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Jeden z ludzi Masgarda – ten z tubami gramofonowymi na hełmie – wpadł do sali.

– Pożar, mój panie! – wysapał. – Na lotnisku!

– Co? – Masgard podbiegł do okna, rozsuwając grube zasłony. Nad przypałacowym parkiem wirowały płatki śniegu, a za nim czerwony blask łuny rozświetlał niebo, na którego tle ostro odcinały się czarne sylwetki domów przy alei Rasmussenów. Masgard odwrócił się do podkomendnego. – Jakież wieści od Carstanga i innych w porcie?

Pirat pokręcił głową.

– Na kły wilka! – ryknął Masgard. – Ktoś zaatakował statek! – Dobył miecza i w drodze do drzwi zatrzymał się przy Freyi. – Jeśli któryś z twoich poddanych zniszczył „Powietrzną Turbulencję”, obedrę go żywcem ze skóry!

Freya skuliła się trwożnie.

– To nie może być żaden z moich poddanych, wszyscy są tutaj... – Gdy to mówiła, przypomniła sobie o Pennyroyalu. Nie widziała go w sali balowej. A jeśli nie został złapany? Jeśli próbował im pomóc? Wydawało się to mało prawdopodobne, ale uchwyciła się tej myśli jak

ostatniej deski ratunku. Jeszcze nie wszystko stracone!

Masgard poderwał ją z krzesła i pchnął w łapska drugiego pirata.

– Zabierz ją do sali balowej! – zawołał. – Gdzie Ravn, Tor i Skaet?

– Wciąż pilnują głównego wejścia, mój panie.

Masgard wybiegł pośpiesznie z jadalni, a jego podkomendny poprowadził Freyę korytarzem do sali balowej. Wiedziała, że powinna mu się wyrwać i rzucić do ucieczki, ale pirat był taki duży, silny i dobrze uzbrojony, że nie śmiała spróbować. Twarze z mijanych po drodze portretów jej przodków zdawały się patrzeć na nią z naganą, że tak łatwo się poddaje.

– Mam nadzieję, że ktoś naprawdę spalił wasz drogocenny sterowiec! – oświadczyła.

– Dla nas to bez różnicy – odparł strażnik. – To wy na tym stracicie. Archangielsk wkrótce tu będzie. Nie będziemy potrzebować statku, żeby dostać się na jego pokład, kiedy wasze wszawe miasteczko znajdzie się w jego brzuchu!

Gdy zbliżyli się do sali balowej, Freya usłyszała dochodzące zza drzwi głosy. Jeńcy również musieli zauważyć ogień i rozmawiali między sobą z podnieceniem, podczas gdy strażnicy krzyczeli, próbując ich uciszyć. Wtem coś śmignęło jej koło ucha i pirat zwałił się na podłogę. Pomyślała, że się poślizgnął, lecz gdy się odwróciła, ujrzała strzałę sterczącą w jego hełmie i stróżkę krwi zaczynającą skapywać na posadzkę. Wzdrygnęła się

Z mrocznej alkowy obok drzwi do sali balowej wynurzyła się jakaś postać.

– Profesor Pennyroyal? – szepnęła Freya.

Nie, była to Hester Shaw, która już nakładała następną strzałę do wielkiej kuszy.

– Wróciłaś! – wydusiła Freya przez ściśnięte gardło.

– Brawo, Wasza Promienistość! Cóż za wspaniała dedukcja.

Freya zaczerwieniła się ze złości. Jak ta dziewczucha śmie jej ubliżać? To wszystko jej wina!

– Sprzedałaś nasz kurs Archangielskowi! Jak mogłaś?

– Cóż, zmieniłam zdanie – oznajmiła Hester. – Przyleciałam wam pomóc.

– Pomóc?! – Freya mówiła chrapliwym, pełnym oburzenia szeptem, obawiając się, że strażnicy za drzwiami mogą ją usłyszeć. – Jak niby zamierzasz nam pomóc?! Najlepiej byś zrobiła, gdybyś w ogóle się tu nie pojawiła! Nie potrzebujemy cię! Tom cię nie potrzebował! Jesteś samolubna, zła i pozbawiona uczuć, i nie zależy ci na nikim...

Urwała. Obie w tej samej sekundzie uświadomiły sobie, że Hester trzyma naładowaną kuszę i lekkim naciśnięciem palca może przygwoździć Freyę do ściany. Rozważała nawet przez chwilę tę myśl, przystawivszy margrabinie grot strzały do piersi.

– Masz rację – wyszeptała. – Jestem zła, tak jak mój ojciec. Ale zależy mi na Tomie, a to znaczy, że musi mi zależeć także na twoim głupim mieście. Poza tym potrzebujesz mnie teraz.

Opuściła kuszę i spojrzała na mężczyznę, którego właśnie zabiła. Za jego pasem tkwił pistolet.

– Wiesz, jak się tym posługiwać? – zapytała.

Freya pokiwała głową. Jej guwernerzy kładli nacisk na dworską etykietę i sztukę konwersacji, a nie strzelanie z broni palnej, ale wydawało jej się, że zna ogólne zasady jej działania.

– Chodź – powiedziała Hester tonem tak władczy, że Freyi nawet przez myśl nie przeszło nie usłuchać.

Najtrudniejsza część zadania jak dotąd polegała na pozbyciu się Toma. Nie chciała narazić go na niebezpieczeństwo i nie mogła być córką Valentine'a, kiedy był w pobliżu. W mrocznej sieni domu Aakiuqów przyciągnęła go do siebie i powiedziała:

– Znasz jakieś tylne wejście do Pałacu Zimowego? Jeżeli wokół roi się od piratów, nie możemy po prostu wejść od frontu i oświadczyć, że chcemy się rozmówić z Masgardem.

Tom zastanawiał się przez chwilę, a potem sięgnął do kieszeni i wyciągnął mały lśniący przedmiot, którego nigdy wcześniej nie widziała.

– To wytrych z Grimsby. Dostałem go od Zaginionych Chłopców. Założę się, że uda mi się nim otworzyć drzwi obok Komnaty Cudów!

Wyglądał na tak podekscytowanego i zadowolonego z siebie, że Hester musiała go pocałować.

– To idź – powiedziała. – Zaczekaj na mnie w Komnacie Cudów.

– Co? Nie idziesz ze mną? – Jego entuzjazm przygasł. Bał się.

Przyłożyła palec do jego warg, uciszając go.

– Zorientuję się w sytuacji na lotnisku.

– Ale strażnicy...

Zrobiła odważną minę, choć strach zaglądał jej w oczy.

– Byłam pomocnicą Shrike'a, pamiętasz? Nauczył mnie wielu sztuczek, których jeszcze nie miałam okazji wypróbować. Nic mi nie będzie. A teraz idź.

Zaczął coś mówić, ale rozmyślił się, przytulił ją mocno i poszedł. Na sekundę lub dwie poczuła ulgę, że jest sama. Potem nagle zapragnęła znowu mieć go przy sobie, wziąć w ramiona i powiedzieć to wszystko, co powinna była mu wyznać dawno temu. Podbiegła do drzwi, ale zdążył już zniknąć w mroku.

Wyszeptała jego imię, powierzając je nocy. Wątpiła, czy jeszcze go zobaczy. Czowała, jakby ześlizgiwała się w otchłań i nie mogła się zatrzymać.

Pennyroyal wciąż siedział na schodach. Minawszy go, weszła do kuchni i wyjęła oliwną lampkę schowaną w szafeczce nad zlewem.

– Co robisz? – pisnął, kiedy ją zapaliła. Żółty blask zbierał się powoli za zadymionym szkłem, a potem rozlał się po pokoju, oświetlając ściany, okna i bladą jak kreda twarz profesora. – Zobaczą nas!

– I o to chodzi – odparła.

– Nie pomogę ci! – zaprotestował podróżnik. – Nie zmusisz mnie! To szaleństwo!

Tym razem nie zawracała sobie głowy nożem, po prostu przysunęła do profesora swoją szkaradną twarz i powiedziała:

– To byłem ja. – Chciała mu pokazać, jaka potrafi być okrutna i bezwzględna. – Nie pan. To ja nasłałam na Anchorage Wilcze Stado.

– Ty? Ale, wszechmocny Poskicie, dlaczego?

– Z powodu Toma – odparła. – Chciałam go odzyskać. Miał być moim złotem drapieżcy. Tylko że z mojego planu nic nie wyszło i teraz muszę naprawić to, co zepsułam.

Śnieg za oknem zaskrzypiał pod czyimiś stopami, a po chwili rozległ się syk otwieranej komory cieplnej przy głównym wejściu. Hester schowała się w cieniu za drzwiami, gdy wartownik z lotniska wkroczył do kuchni. Stał tak blisko, że poczuła chłód wiejący od jego ośnieżonego futra.

– Wstawaj! – warknął na Pennyroyala, a potem odwrócił się w poszukiwaniu innych zbiegów. Ułamek sekundy przed tym, nim ją zobaczył, Hester dźgnęła go prosto w szyję. Strażnik wydał z siebie gulgoczące charczenie i cofnął się, wyrrywając jej z dłoni nóż tkwiący

po rękojęść w jego ciele. Gdy wystrzelił z kuszy, uskoczyła na bok i usłyszała za plecami głuchy odgłos grota wbijającego się w drzwiczki jednej z szafek. W chwili gdy pirat sięgnął po własny nóż, Hester chwyciła go za ramię. Potłuczona porcelana zachrzęściła pod ich stopami. Zaczęli się szamotać, krążąc po kuchni. Zza szkieł maski wielkie zielone oczy strażnika wpatrywały się w Hester, wściekłe i nieustępliwe, aż w końcu spojrzały gdzieś w dal, a on osunął się z łoskotem na ziemię. Jego ciałem wstrząsnęły konwulsyjne drgawki, a potem znieruchomiał.

Hester jeszcze nigdy nikogo nie zabiła. Myślała, że poczuje wyrzuty sumienia, ale nie, niczego nie czuła. Mam to po ojcu, pomyślała, ubierając się w futro pirata i zakładając jego maskę. Uważał, że to tylko robota, którą trzeba wykonać, żeby uchronić Londyn i Katherine przed niebezpieczeństwem. Właśnie tak się czuł, gdy mordował moich rodziców. Wzięła do ręki kuszę i zarzuciła na ramię kołczan.

– Bierz lampę – powiedziała do Pennyroyala.

– Ale... ale...

Na dworze płatki śniegu wirowały pod latarniami niczym białe ćmy lgnące do światła. Idąc przez płytę lotniska i pchając przerażonego profesora przed sobą, zerknęła w stronę rufy i zobaczyła odległy jasny punkcik migoczący na wschodzie.

Drzwiczki „Powietrznej Turbulencji” były otwarte. Z wnętrza gondoli wychyliła się barczysta postać.

– Hej, Garstang! Kogo tam znalazłeś?

– Tylko starego pryka! – odkrzyknęła Hester, mając nadzieję, że maska stłumi jej głos, a futro ukryje chudą sylwetkę.

– Jakiś dziad – powiedział pirat, odwracając się do kogoś w gondoli. A potem, dodał głośniej: – Zabierz go do pałacu, Garstang! Niech siedzi

razem z innymi! Nie chcemy go tutaj.

– Panie żołnierzu! – zawołał nagle Pennyroyal. – To podstęp! Ona...

Hester uniosła kuszę i nacisnęła cyngiel. Pirat wrzasnął, wtaczając się do gondoli. Gdy jego towarzysze zaczęli się pchać do drzwi, zabrała Pennyroyalowi lampkę i wrzuciła ją do wnętrza sterowca. Nagle gondola stanęła w płomieniach. Pennyroyal pisnął ze strachu i zaczął uciekać. Hester odwróciła się, żeby go złapać, ale gdy zrobiła pierwszy krok, poczuła, jak fala gorącego powietrza unosi ją do góry i ciska w śnieg. Nie było wybuchu, tylko ciche „puf”, gdy komory z gazem zajęły się ogniem. Dziewczyna przeturlała się na plecy i spojrzała za siebie. Z płonącej gondoli wybiegli ludzie, otrzepując się z tańczących na ich futrach i płaszczach iskier. Było ich tylko dwóch. Jeden ruszył w jej stronę, tak że pośpiesznie sięgnęła po kuszę, która wypadła jej z ręki. Ale pirat nawet na nią nie spojrzał, tylko pognął dalej, krzycząc coś o sabotażystach. Hester napięła cięciwę i wystrzeliła, trafiając go w plecy. Rozejrzała się, ale nigdzie nie było śladu Pennyroyala. Okrążyła płonący statek, podkrađła się do drugiego pirata w kłębach dymu i go zadźgała. Zabrała mu miecz, wetknęła sobie za pas i pobiegła do pałacu.

Wytrych Wujka zazgrzytał w zamku i po chwili drzwi ustąpiły. Tom wślizgnął się do komory ciepłej, wdychając w płuca znajome zapachy pałacu. Korytarz okazał się pusty. W grubej warstwie kurzu na podłodze nie było nawet śladu ludzkiej stopy. Chłopak podkrađł się do Komnaty Cudów, gdzie znowu przestraszyły go szkielety Łowców, ale już po chwili znalazł się w środku, między pokrytymi pajęczynami szklanymi gablotami i wypchanymi zwierzętami. Trząsł się na całym ciele, lecz w zaciszu muzeum mógł wreszcie odetchnąć z ulgą.

Prostokąt folii aluminiowej lśnił bladym światłem, przypominając mu o Freyi i kamerze, która podpatrywała ich zza kratki rury grzewczej, gdy się całowali.

– Caul? – zapytał z nadzieją, spoglądając w górę.

Ale na pokładzie Anchorage nie było już złodziei, tylko Wilcze Stado Archangielska. Poczuł nagle straszny, duszący niepokój o Hester. Nie potrafił pogodzić się z myślą, że zostawił ją samą w niebezpieczeństwie. Na niebie gdzieś w pobliżu lotniska rozbłysło jakieś światło. Co się tam dzieje? Może powinien zawrócić?

Nie. Hester powiedziała, żeby na nią czekał. Nigdy dotąd go nie zawiodła. Wybrał więc sobie broń spośród eksponatów wiszących na ścianie – ciężki, tępy miecz z bogato zdobioną rękojeścią. Trzymając go w dłoni, poczuł się pewniej. Zaczął się przechadzać tam i z powrotem między starą ceramiką i częściami dziwnych maszyn, oczekując nadejścia Hester. Razem uratują Anchorage.

Dopiero odgłosy strzałów i krzyki w sali balowej, które odbiły się echem w labiryncie pałacowych korytarzy, uświadomiły mu, że wdarła się do środka głównym wejściem i ruszyła do walki bez niego.

Pistolet okazał się cięższy, niż Freya przypuszczała. Usiłowała wyobrazić sobie, jak strzela z niego do kogoś, ale nie potrafiła. Zastanawiała się, czy wytłumaczyć Hester, jak bardzo się boi, ale nie było na to czasu. Hester już stała przed wejściem do sali balowej i przyzywała ją do siebie ruchem głowy. Jej włosy i ubranie śmierdziało dymem.

Wspólnie otworzyły ciężkie solidne drzwi. Nikt nie zauważył ich obecności. Wszyscy więźniowie i strażnicy wyglądali przez okna na wielką łunę pożaru nad lotniskiem. Freya zaciskała pistolet

w spoconych dłoniach, czekając, aż Hester krzyknie „ręce do góry” albo „nie ruszać się”, czy coś innego stosownego do sytuacji. Zamiast tego Hester uniosła kuszę i strzeliła najbliższemu wartownikowi w plecy.

– Hej, tak się nie... – zaczęła mówić Freya, ale padła na podłogę, bo gdy martwy pirat runął do przodu, jego kompan odwrócił się i ostrzelał ją serią z karabinu. Wciąż zapominała, że to wszystko dzieje się naprawdę. Skuliła się, słysząc, jak kule dziurawią drzwi i odrywają kawałki marmuru z posadzki. Hester zabrała jej pistolet i twarz strażnika zamieniła się w czerwoną plamę. Smew przyskoczył do niego i wyszarpnął mu karabin, wycelował w trzeciego strażnika.

– Rasmussen! – krzyknął ktoś i nagle cała sala podjęła starożytnie zawołanie bojowe Anchorage, pozostałe z czasów, gdy przodkinie Freyi prowadziły swój lud na bitwy przeciwko imperiom nomadów i armiom Łowców. – Rasmussen! Rozległy się strzały, jęk i metaliczny brzęk, gdy ostatni z wartowników osunął się martwy na stary zakurzony kandelabr. Było po wszystkim. Windolene zaczęła organizować ludzi do opatrywania rannych, podczas gdy mężczyźni uzbroili się w miecze i pistolety piratów.

– Gdzie jest Scabious?! – krzyknęła Hester i ktoś szybko popchnął go w jej stronę. Inżynier ścisnął w rękach zdobyczny karabin, gotowy do walki. – Archangielsk się zbliża – oznajmiła. – Z lotniska widziałam jego światła. Trzeba jak najszybciej uruchomić miasto.

Scabious skinął głową.

– Ale w dzielnicy maszynowej są ludzie Masgarda, a koło napędowe zostało zniszczone. Na samych gąsienicach możemy jechać tylko z jedną czwartą prędkości, lecz najpierw musimy odciąć koło.

– To zabierzcie się do roboty – powiedziała, odrzucając kuszę

i biorąc miecz.

Scabious miał jej do zadania jeszcze wiele pytań, ale po chwili rozmyślił się i pokiwał tylko głową. Ruszył w stronę korytarza, a za nim połowa mieszkańców Anchorage ze zdobyczną bronią lub krzesłami i butelkami. Mimo panicznego strachu Freya czuła, że musi iść z nimi i poprowadzić atak jak jedna z legendarnych margrabin. Przyłączyła się do tłumu, który wylewał się z komnaty, ale Hester chwyciła ją za ramię.

– Zostaniesz tutaj. Musisz przeżyć, ludzie będą cię potrzebować. Gdzie Masgard?

– Nie wiem – odparła Freya. – Chyba przy głównym wejściu.

Hester skinęła głową.

– Tom jest w muzeum – powiedziała.

– Tom tu jest? – zdziwiła się Freya, z trudem nadążając za szybkością wydarzeń.

– Proszę, margrabino, zaopiekuj się nim, kiedy będzie po wszystkim.

– Ale... – zaczęła Freya, lecz Hester zdążyła już zniknąć za drzwiami. Freya zastanawiała się, czy nie powinna pójść za nią, ale jak mogłaby się przydać w walce z Masgardem? Odwróciła się więc do ludzi, którzy wciąż siedzieli w sali balowej: dzieci, starców, rannych i tych, którzy po prostu za bardzo się bali, żeby ruszyć do boju ze Scabiousem. Freya wiedziała, jak się czuli. Zacisnęła mocno pięści, żeby powstrzymać drżenie rąk, i uśmiechnęła się tak przekonująco, jak tylko potrafiła.

– Nie obawiajcie się – powiedziała. – Bogowie Lodu są z nami.

Tom biegł właśnie do sali balowej, gdy ujrzał przed sobą Scabiousa i jego ludzi – wyglądali jak kłębowisko rąk, nóg i surowych twarzy, najeżone błyszczącymi w świetle lamp ostrzami mieczy i sztyletów.

Wypełnili korytarz jak spienione morze zalewające tonący statek. Tom przestraszył się, że wezmą go za pirata, ale Scabious zauważył go i wykrzyknął jego imię, a tłum rozstąpił się i wchłonął go w siebie. Nagle znalazł się wśród roześmianych znajomych twarzy: Aakiuqa, Probsthaina, Smew. Ludzie klepali go przyjacielsko po ramieniu, szturchali.

– Tom! – zawołał Smew, ściskając go na wysokości pasa. – Dobrze, że wróciłeś!

– Hester! – wykrzyknął Tom, przeciskając się przez tłum, który wybiegł z pałacu. – Gdzie Hester?

– Uratowała nas, Tom! – powiedział Smew. – Co za odwaga! Wparowała do sali i załatwiła ludzi Masgarda jak Łowca! Ale dziewczyna!

– Gdzie... panie Scabious, ona jest z wami?

Jego słowa utonęły w odgłosach kroków i okrzykach:

– Rasmussen! Rasmussen!

Tłum przemaszerował przez ulicę i ruszył schodami do dzielnicy maszynowej. Usłyszał strzały i zastanawiał się, czy nie powinien zbiec na dół i pomóc, ale powstrzymała go myśl o Hester. Wołając jej imię, popędził na aleję Rasmussenów i ujrzał na śniegu ślady dwóch osób. Kiedy wahał się, próbując odgadnąć, czy jedno z nich należy do Hester, zobaczył czyjąś twarz w drzwiach jednego ze sklepów.

– Profesor Pennyroyal?

Podróżnik zerwał się do ucieczki i zniknął w bocznej uliczce między butikami, gubiąc po drodze garść monet. Kiedy zjawił się Tom, napychał sobie właśnie kieszenie pieniędzmi ze sklepowych kas.

– Profesorze! – zawołał chłopak, odrzucając miecz i biegnąc za nim.

– To tylko ja! Gdzie Hester?

Ślady podróżnika wiodły na skraj pokładu, a potem po schodach w dół. Tom pognął za nim. Gdy znalazł się na dole, stanął nagle, zdjęty strachem, widząc przed sobą wielkie czarne skrzydła. Na szczęście nie był to mechaniczny ptak z Gniazda Szerszeni, tylko szyld tawerny Śnieżny Orzeł. Odetchnąwszy z ulgą, Tom pobiegł dalej, zastanawiając się, czy już do końca życia będzie się bał ptaków.

– Profesorze Pennyroyal?!

Przy wejściu do pałacu Hester nie znalazła Masgarda. Na posadzce leżały tylko trupy piratów, których zabiła, wkradając się do środka. Może dorwali go ludzie Scabiousa, pomyślała. A może usłyszał odgłosy walki i uciekł. Może pobiegł z powrotem do portu w nadziei, że znajdzie statek, którym zabrałby się do Archangielska.

Przecisnęła się przez komorę ciepłą. Maską ograniczała pole widzenia, więc zerwała ją i ruszyła w dół podjazdu na aleję Rasmussenów, mrużąc oczy przed śniegiem i mroźnym wiatrem. Długa linia świeżych śladów stóp biegła w stronę lotniska. Hester podążyła za nimi, precyzyjnie odmierzając długie kroki i stawiając buty w tych samych miejscach co jej poprzednik. Po chwili ujrzała przed sobą ciemną barczystą sylwetkę na tle przygasającego pożaru. Masgard, pomyślała. Przyśpieszyła kroku i wkrótce usłyszała, jak dowódca Wilczego Stada woła martwych towarzyszy.

– Garstang? Gustavsson? Sprüe? – W jego głosie narastała panika. Był tylko bogatym miejskim paniczkiem, który lubił zabawiać się w piratów i nigdy nie podejrzewał, że ktoś może stawić mu opór. Przyleciał w poszukiwaniu walki, a kiedy do niej doszło, nie wiedział, co robić.

– Masgard! – zawołała.

Odwrócił się, dysząc ciężko. Za jego plecami dopalał się wrak „Powietrznej Turbulencji”, z której został tylko osmalony metalowy szkielet i zwęglone drewno gondoli.

Hester uniosła miecz.

– Co ty wyprawiasz?! – wykrzyknął Masgard. – Najpierw sprzedajesz mi miasto, a teraz usiłujesz je odebrać. Nie rozumiem! Co to za plan?

– Nie mam planu – odparła Hester. – Robię tylko to, co wydaje się w danej chwili najlepsze.

Masgard dobył miecza i zaczął wywijać nim ze świstem, jakby brał udział w pokazowym turnieju szermierczym. Hester natarła na niego i ugodziła go w ramię. Nie sądziła, żeby wyrządziła mu większą krzywdę, ale Masgard wypuścił broń, złapał się za ranę i ukląkł w śniegu.

– Błagam! Miej litość! – jęknął. – Sięgnął pod futrzany płaszcz i wyjął zza pazuchy pękatą sakiewkę. – Chłopaka tu nie ma, ale weź pieniądze i pozwól mi żyć! – zawołał, rozsypując przed nią garście złotych monet.

Hester podeszła i chwyciwszy oburącz miecz, zaczęła siec go wściekle, dopóki nie umilkł. Bolały ją ramiona. Odrzuciła broń i stała, patrząc, jak krew Masgarda wsiąka w śnieg, a monety, którymi chciał ją przekupić, znikają pod warstwą białego puchu. Słyszała jęk pił odcinających koło napędowe, a pokładowe płyty zadrżały pod jej stopami od pracy miejskich silników. Czuła dziwne rozczarowanie. Spodziewała się czegoś więcej po tej nocy. Myślała, że zginie. Wydawało się jej niesprawiedliwe, że nawet nie jest ranna. Pomyślała o ludziach, których uśmierciła, i o tych, których zabili inni. Wszyscy umarli z jej winy. Czy w ogóle nie zostanie za to ukarana?

Gdzieś między magazynami na dolnym pokładzie rozległ się pojedynczy wystrzał.

Ślady pozostawione przez Pennyroyala zaprowadziły Toma do znajomej dzielnicy, oświetlonej płomieniami pożaru na górze. Ze wzrastającym niepokojem skręcił w następną uliczkę i ujrzał „Jenny Haniver” stojącą tam, gdzie ją przycumował, w cieniu magazynów. Pennyroyal mocował się z zamkiem u drzwiczek gondoli.

– Profesorze! – zawołał Tom, podchodząc do podróżnika.

Pennyroyal podniósł wzrok.

– Cholera! – mruknął, orientując się, że go przyłapano, a potem powiedział: – A jak ci się wydaje, Tom? Więcej z tego miasta, nim będzie za późno! Jeśli masz odrobinę oleju w głowie, polecisz ze mną. Wielki Poskicie, dobrze ukryłeś ten statek! Szukałem go całe wieki...

– Ale nie ma potrzeby odlatywać! – odparł Tom. – Pan Scabious za chwilę uruchomi silniki i uciekniemy Archangielskowi. Poza tym nie zostawię Hester!

– Zmieniłbyś zdanie, gdybyś wiedział, co zrobiła – zauważył ponuro Pennyroyal. – Ta dziewczyna to diabelskie nasienie, Tom. Zupełna wariatka. Nie dość, że brzydka, to jeszcze szalona...

– Niech pan się nie waży mówić o niej w ten sposób! – oburzył się Tom i złapał podróżnika, żeby odciągnąć go od sterowca.

Pennyroyal wyciągnął pistolet i strzelił mu w pierś.

Siła pocisku odrzuciła chłopaka do tyłu. Upadł w śnieżną zaspę. Próbował się podnieść, ale nie miał siły. Czuł, jak pod jego płaszczem rozlewa się mokra, ciepła plama.

– To niesprawiedliwe – jęknął i słonawa krew napłynęła mu do gardła.

Usłyszał skrzypienie butów na śniegu. Pennyroyal nachylił się nad nim, wciąż trzymając pistolet. Wyglądał na prawie tak samo zaskoczony jak Tom.

– Ups! – powiedział. – Przepraszam. Chciałem cię tylko nastraszyć. Sam wypalił. Nigdy nie używałem broni. Zabrałem ją jednemu z piratów, których wykończyła twoja szalona dziewczyna.

– Pomocy – zdołał wyszeptać Tom.

Pennyroyal rozpiął mu płaszcz i przyjrzał się ranie.

– Oj, oj! – mruknął, kręcąc głową. Przeszukał jego kieszenie i wyciągnął klucze do „Jenny”.

Tom poczuł pod sobą drżenie płyt pokładowych.

– Niech pan posłucha! – jęknął. – Niech pan nie zabiera „Jenny”! Nie ma potrzeby! Pan Scabious już uruchomił silniki. Przegonimy Archangielsk...

Pennyroyal wyprostował się.

– Jesteś nieuleczalnym romantykiem, Tom. Dokąd niby uciekniecie? W Ameryce nie ma żadnej zielonej krainy, pamiętasz? To miasto i tak jest skończone, a ja nie mam zamiaru ginąć razem z nim! – Odwrócił się i rzucił przez ramię: – Muszę lecieć. Jeszcze raz przepraszam. Pa!

Tom zaczął się czołgać, zdecydowany za wszelką cenę odnaleźć Hester. Ale po przepełnieniu niecałych dwóch metrów zapomniał, co chciał jej powiedzieć. Leżał tylko, słysząc warkot śmigieł, który ucichł, gdy Pennyroyal wyleciał z labiryntu miejskich uliczek i wzbił się w niebo. Nie miało to jednak znaczenia. Nawet umieranie wydawało się nieważne, chociaż Tom pomyślał, że to dziwne, iż zdołał pokonać Lisie Duchy, uciekł ptakom cyborgom i przeżył nieprawdopodobne podwodne przygody, żeby skończyć w ten sposób.

Śnieg wciąż padał, ale nie był już zimny, tylko miękki i przyjemny.

Zasypywał miasto i cały świat, pogrążając je w ciszy i spokoju.

33. Cienki lód

Tuż po świcie w dzielnicy maszynowej podniósł się okrzyk radości. Koło napędowe zostało odcięte i miasto ruszyło znowu na południowy zachód. Jednak na samych gąsienicach Anchorage jechało znacznie wolniej niż zwykle, osiągając prędkość zaledwie dwudziestu kilometrów na godzinę. Tymczasem, gdy na chwilę przestawał padać śnieg, z pokładu widać już było wielkie ciemne cielsko Archangielska na wschodzie.

Freya stała z panem Scabiousem pod galerią na rufie. Inżynier miał na czole mały różowy plaster zakrywający draśnięcie po zabłąkanej kuli pirata. Okazał się jedyną ofiarą bitwy o maszynownię. Wojownicy Wilczego Stada szybko zdali sobie sprawę z przewagi liczebnej przeciwnika i uciekli na lód, żeby poczekać tam na przybycie Archangielska.

– Mamy tylko jedną szansę – mruknął Scabious, przyglądając się wraz z Freyą lśniącym w słońcu oknom drapieźnika. – Jeżeli uda nam się zajechać dostatecznie daleko na południe, lód robi się zbyt cienki i Archangielsk będzie musiał przerwać pościg.

– A lód nie załamie się pod nami?

Scabious pokiwał głową.

– Zawsze istnieje takie niebezpieczeństwo. Szczególnie że jeśli chcemy utrzymać prędkość, musimy zrezygnować ze zwiadów. Musimy jechać jak najszybciej przed siebie i liczyć na szczęście. Ameryka albo śmierć...

– Tak – odparła Freya, ale zdała sobie sprawę, że nie ma sensu dłużej kłamać, i powiedziała: – Nie. To wszystko nieprawda. Pennyroyal nigdy nie był w Ameryce. Wymyślił sobie całą tę historię. Dlatego postrzelił Toma i zabrał „Jenny Haniver”.

– Ach, tak? – zauważył Scabious, spoglądając na margrabinę.

Freya czekała na coś więcej, ale na próżno.

– Jak to? To wszystko? – zapytała. – Zwyczajne „ach, tak”? Nie zamierza mi pan powiedzieć, jaka byłam głupia, że uwierzyłam Pennyroyalowi?

Scabious uśmiechnął się lekko.

– Prawdę mówiąc, Freyu, od początku miałem co do niego wątpliwości.

– To dlaczego nic pan nie powiedział?

– Ponieważ Ameryka dała nam nadzieję – odparł inżynier. – Pamiętaj, czym było nasze miasto, nim ruszyliśmy na zachód? Ruchomą mogiłą. Jedyni mieszkańcy, którzy zostali, to ci, którzy za bardzo użalali się nad sobą, żeby wiedzieć, dokąd się udać. Byliśmy bardziej jak duchy niż jak ludzie. A spójrz na nas teraz. Podróż otrząsnęła nas i wyrwała z letargu. Znowu żyjemy.

– Pewnie nie na długo.

Scabious wzruszył ramionami.

– Może i tak. Ale nigdy nic nie wiadomo. Może znajdziemy jakieś rozwiązanie. Jeśli tylko uda nam się uciec przed szczękami tego wielkiego potwora.

Zamilkli na moment, wpatrując się w ścigającego ich olbrzymia. Zdawał się ciemnieć i rosnać z każdą chwilą.

– Muszę wyznać – odezwał się Scabious – że nie przypuszczałem, iż Pennyroyal kiedykolwiek odważyłby się strzelić do człowieka. Jak się czuje biedny Tom?

Tom leżał na łóżku jak marmurowy posąg, blizny i rany po walce z mechanicznymi ptakami kontrastowały z jego kredową twarzą. Dłoń miał zimną i tylko lekko pulsująca tętnica na jego szyi świadczyła o tym, że jeszcze żyje.

– Przykro mi, Hester. – Windolene Pye mówiła szeptem, jakby bała się, że odzywając się głośniej, zwróci uwagę Bogini Śmierci na zorganizowane naprędce ambulatorium w Pałacu Zimowym. Całą noc i cały dzień pani nawigator opiekowała się rannymi, a zwłaszcza Tomem, którego stan był najgorszy. – Zrobiłam, co mogłam, ale kula utkwiała przy samym sercu. Boję się ją wyciągnąć, kiedy miastem tak trzęsie.

Hester pokiwała głową, patrząc na ramię chłopca. Nie potrafiła zdobyć się na to, żeby spojrzeć na jego twarz. Panna Pye okryła resztę ciała prześcieradłem, spod którego wystawał tylko jeden bark – blady, kanciasty i lekko piegowaty, ale Hester wydał się najpiękniejszy na świecie. Pogładziła go, a potem zsunęła rękę w dół ramienia, czując pod palcami miękkie włoski, mięśnie i ścięgna pod skórą oraz słabo bijący puls przy nadgarstku.

Tom poruszył się pod jej dotykiem, otwierając z wysiłkiem oczy.

– Hester? – wymamrotał. – Zabrał „Jenny”. Przepraszam.

– W porządku, Tom. Nie przejmuj się. Nie zależy mi na statku, tylko na tobie – powiedziała, tuląc jego dłoń do policzka.

Kiedy po bitwie znaleźli ją na lotnisku i oznajmili, że Tom został postrzelony i grozi mu śmierć, pomyślała, że musiała zająć pomyłkę. Teraz zrozumiała, że mówili prawdę. Tak właśnie wyglądała kara za to, że wydała Anchorage na pożarcie. Musi siedzieć w tym pokoju i patrzeć, jak Tom umiera.

– Tom – szepnęła.

– Znowu stracił przytomność, biedaczyna – zauważyła jedna z kobiet pomagających pannie Pye. Pochyliła się, żeby otrzeć Tomowi czoło wilgotną szmatką, a ktoś inny przyniósł Hester krzesło.

– Może dobrze na tym wyszedł – powiedziała jedna pielęgniarka do drugiej.

Za oknami zapadała już noc. Światła Archangielska błyszczą na horyzoncie.

Kiedy słońce znowu wzeszło, drapieżne miasto znajdowało się dużo bliżej. Gdy przestawał padać śnieg, z pokładu Anchorage widać było jego poszczególne budynki: fabryki, złomowiska, baraki dla niewolników i strzeliste wieże wielkiej świątyni wilczego boga na górnym pokładzie. Kiedy cień drapieżcy kładł się na lodzie, podkradając się w stronę ofiary, nad Anchorage nadleciał statek zwiadowczy, lecz pokrążywszy trochę nad wypalonym wrakiem „Powietrznej Turbulencji”, zawrócił do domu. Tego dnia żaden inny sterowiec nie zbliżył się do Anchorage. Burmistrz Archangielska opłakiwał stratę syna, a jego rada uznała, że nie ma sensu narażać następnych statków, skoro na pewno uda się schwytać ofiarę przed zapadnięciem zmroku.

– Powinniśmy połączyć się z nimi przez radio i przypomnieć, jaki los spotkał ich Wilcze Stado! – oświadczył Smew na nadzwyczajnym

spotkaniu Rady Nawigacyjnej, które odbyło się po południu. – Powiemy im, że to samo spotka cały Archangielsk, jeśli się nie wycofają.

Freya nie odpowiedziała. Starła się skupić uwagę na dyskusji, ale jej myśli wciąż krążyły wokół Toma. Zastanawiała się, czy jeszcze żyje. Chciała pójść do ambulatorium i posiedzieć przy jego łóżku, ale panna Pye poinformowała ją, że Hester cały czas przy nim czuwa, a Freya wciąż obawiała się szpetnej dziewczyny – zwłaszcza po tym, co zrobiła z ludźmi Masgarda. Dlaczego to nie Hester została postrzelona? Dlaczego musiało to spotkać akurat Toma?

– Myślę, że to pogorszyłoby tylko sprawę, Smew – powiedział Scabious, odczekawszy kilka sekund, aby margrabina miała szansę wyrażenia swojej opinii. – Lepiej ich nie rozwścieczać.

Wtem rozległ się straszliwy huk, aż szyby zadrżały w oknach. Wszyscy podnieśli głowy.

– Strzelają do nas! – wykrzyknęła panna Pye, łapiąc Scabiousa za rękę.

– Nie zrobiliby tego! – zawołała Freya. – Nawet tacy barbarzyńcy...

Okna były zbyt zaszronione, żeby cokolwiek przez nie zobaczyć. Freya narzuciła na plecy futro i wybiegła razem z innymi na balkon. Drapieżca doganiał już miasto, jego wielkie płozy szorowały lód, wypełniając powietrze głośnym jednostajnym szumem, i margrabina pomyślała, że pewnie po raz pierwszy ludzie zakłócili ciszę tej śnieżnej równiny. Wtedy rozległ się znowu ten sam huk i zdała sobie sprawę, że to nie strzały armatnie, tylko dźwięk, którego lękają się wszystkie miasta północy – trzask pękającego lodu.

– O bogowie! – wymamrotał Smew.

– Muszę wracać na mostek – powiedziała panna Pye.

– Muszę wracać do maszynowni – wyszeptał Scabious.

Jednak żadne z nich nie ruszyło się z miejsca. Było już za późno na działanie. Teraz mogli tylko stać i patrzeć.

– O nie! – jęknęła Freya. – Nie!

Kolejny huk rozdarł niebo niczym piorun. Spojrzała na dziób Archangielska, próbując dojrzeć, czy drapieżnik również usłyszał grzmot i wysunął hamulce. Ale nie, miasto zdawało się przyśpieszać, stawiając wszystko na jedną kartę w nadziei, że uda mu się umknąć na pewniejszy lód. Freya chwyciła się mocno balkonowej balustrady i zaczęła się modlić do Bogów Lodu. Nie była pewna, czy jeszcze w nich wierzy, ale kto inny mógł jej teraz pomóc?

– Ocalcie nas – błagała. – Nie dajcie nam zginąć pod lodem!

Następny huk był jeszcze głośniejszy i Freya zobaczyła przepaść otwierającą się w lodzie pół kilometra od prawej burty. Anchorage przechyliło się i odbiło w lewo. Freya wyobraziła sobie sternika, desperacko próbującego przeprowadzić miasto przez labirynt pękającej lodowej skorupy. Znowu skręt i gdzieś w pałacu szkło spadło na posadzkę, rozbijając się z trzaskiem. Teraz grzmoty i huki rozbrzmiewały jeden po drugim, dobiegając ze wszystkich stron.

Archangielsk, wyczuwszy, że wkrótce będzie musiał zmienić kurs, przyśpieszył jeszcze bardziej, zmuszając silniki do pracy na najwyższych obrotach. Jego olbrzymie szczęki rozwarły się szeroko, stalowe zębiska błysnęły w słońcu. Freya zobaczyła robotników zbiegających po schodach do Trzewi drapieżcy oraz ubranych w futra gapiów na najwyższych balkonach, obserwujących z zapartym tchem ostatnią fazę polowania. Lecz nim wielka paszcza zdążyła zatrzasnąć się na burcie Anchorage, drapieżca zatrząsł się i zwolnił. Biała ściana wody i pokruszonego lodu odgrodziła nagle oba miasta niczym

kurtyna szklanych koralików.

Archangielsk gorączkowo próbował zawrócić, ale lód pod jego podwoziem popękał tak bardzo, że zęby koła napędowego nie znajdowały oparcia. Powoli jak waląca się góra jego rufa podniosła się, a dziób i szczęki przechyliły się nad rozszerzającą się zygzakowatą szczeliną wypełniającą się wodą. Gejzery pary wodnej strzeliły w niebo, gdy fale zalały miejskie piece, i Archangielsk wydał z siebie ogłuszający jęk – niczym raniony drapieźnik pozbawiony zdobyczy.

Jednak Anchorage także znalazło się w niebezpieczeństwie i nikt na pokładzie nie miał czasu na świętowanie klęski wroga. Miasto przechyliło się na lewą burzę, gąsienice zachrzęściły, z trudem czepiając się lodu. Freya jeszcze nigdy nie doświadczyła niczego podobnego, ale odgadła, co się dzieje. Chwyciła za rękę Smew i pannę Pye, która już ścisnęła dłoń pana Scabiousa, i wszyscy czworo uklękli, czekając, aż czarne spienione wody wedrą się na pokład i pochłoną miasto.

Czekali tak. I czekali. Słońce chowało się powoli za horyzontem. Zaczął prószyć śnieg.

– Lepiej pójde zobaczyć, co się dzieje w maszynowni – powiedział Scabious z lekkim zawstydzeniem, po czym wstał i wyszedł. Po chwili wyłączono silniki. Miasto zatrzymało się, jednak podłoga w pałacu wciąż była przechylona, a Freya miała dziwne wrażenie, że cały czas się poruszają.

Smew i panna Pye wrócili do środka, chroniąc się przed zimnem, ale Freya została na balkonie. Noc i śnieg okryły Archangielsk swoim welonem, lecz nadal widziała jego światła i słyszała wycie silników, gdy usiłował wycofać się na pewniejszy lód. Nie potrafiła jednak zrozumieć, co dzieje się z jej własnym miastem. Czowała pod stopami

dziwny falujący ruch i nawet mimo wyłączonych silników Anchorage zdawało się oddalać od uwiecznionego na spękanej łodzi drapieżnika.

Tęga postać wbiegła do ogrodu pałacowego i Freya wychyliła się przez balustradę, wołając:

– Pan Aakiuq?

Naczelnik lotniska podniósł głowę.

– Freya? Nic ci nie jest?

Pokręciła głową.

– Nie! Co się dzieje?

– Dryfujemy! – odkrzyknął Aakiuq. – Musieliśmy dotrzeć do krawędzi lodowca i kawałek, na którym się znaleźliśmy, oderwał się i wypłynął na morze.

Freya wyteżyła wzrok, wpatrując się w mrok za burtą. Niczego nie zobaczyła, ale przynajmniej zrozumiała dziwne ruchy pokładu. Anchorage balansowało na lodowej krze niczym otyły amator opalania, który wypuścił się w morze na gumowym materacu. I gdzie ten lodowiec, który miał się rozciągać w głąb samej Ameryki?!

– Pennyroyal! – wykrzyknęła w puste niebo. – Bogowie pokarają cię za to wszystko!

Jednak bogowie bynajmniej nie śpieszyli się z wymierzeniem profesorowi sprawiedliwości. Wykorzystał on część ukradzionego złota na zakup paliwa od tankowca, który uciekł z Archangielska i odleciał na wschód, podążając wzdłuż szerokiej szramy, jaką wielkie drapieżne miasto pozostawiło na lodzie. Nie był co prawda dobrym lotnikiem, ale szczęście mu sprzyjała, a i pogoda obesza się z nim dość łagodnie. Kiedy minął Grenlandię, napotkał nieduże lodowe miasto, gdzie przemalował „Jenny Haniver” i zmienił jej nazwę,

a następnie wynajął ładną młodą lotniczkę Kewpie Quinterval, żeby odwiozła go na południe. Po paru tygodniach był już z powrotem w Paryżu i zasypywał przyjaciół opowieściami o przygodach, jakie przeżył na skutej lodem Północy.

Do tego czasu nawet burmistrz Masgard został zmuszony do przyznania, że Archangielska nie da się uratować. Bogatsi mieszkańcy już dawno czmychnęli z miasta, wsiadając na powietrzne jachty lub wykupując miejsca na pokładach statków czarterowych (pięć owdowiałych pań Blinkoe zarobiło na sprzedaży miejsc w „Tymczasowych Zawirowaniach” dość pieniędzy, żeby sprawić sobie uroczą willę na najwyższym piętrze pięknego miasta Jaegerstadt Ulm). Niewolnicy wszczęli bunt, przejęli władzę w biedniejszych dzielnicach i zaczęli uciekać z miasta kradzionymi frachtowcami albo skuterami. Wreszcie wydano rozkaz powszechnej ewakuacji i w środku zimy wielkie, puste cielsko Archangielska zaczęło ginąć pod coraz grubszymi warstwami śniegu.

Pod koniec zimy kilka śmiałych miasteczek zbieraczy złomu odwiedziło wrak, opróżniając zbiorniki z paliwem i przeczesując pokłady w poszukiwaniu drogocennych przedmiotów porzuconych przez uciekających w pośpiechu mieszkańców.

Na wiosnę zjawily się hordy padliniarzy, których sterowce nadlatywały ze wschodu niczym stada sępów, ale lód pod Archangielskiem stawał się coraz cieńszy. W środku lata, pewnego słonecznego dnia miasto znowu się poruszyło i wśród trzasku pękającego lodu wybrało się w swoją ostatnią podróż na dno morza.

Tego lata świat obiegła wiadomość o puczu w Shan Guo. Wysoka Rada Ligi Antymobilistów została obalona, a władzę przejęła organizacja o nazwie Zielona Burza, dowodzona przez Łowcę

o spiżowej twarzy zwanego generałem Fang. Nikt na Terenie Polowań nie przejął się tym faktem. Jakie znaczenie mogły mieć dla nich jakieś wewnętrzne spory antymobilistów? Na pokładach Paryża, Manchesteru, Pragi, Trakcjongradu, Gorkiego i Peripatetiapolis życie toczyło się normalnie. Wszyscy rozmawiali o upadku Archangielska i zaczytywali się nową zdumiewającą książką Nimroda B. Pennyroyala.

WYDAWNICTWO FEWMET & SPRAINT
PREZENTUJE
NAJNOWSZY MIĘDZYMIASTOWY BESTSELLER
AUTORA *PIĘKNEJ AMERYKI I MIAST ZIGGURATÓW*,
PROFESORA NIMRODA B. PENNYROYALA:

ZŁOTO DRAPIEŻCY

PRZECZYTAJCIE PRAWDZIwą HISTORIĘ
CZŁOWIEKA UWIĘZIONEGO
NA POKŁADZIE ANCHORAGE
PRZEZ PIĘKNĄ MŁODĄ MARGRABINĘ,
KTÓRĄ OWŁADNAŁ
SZALONY PLAN UCIECZKI DO AMERYKI!

ZADZIWCIE SIĘ OPISEM BITWY STOCZONEJ PRZEZ PROFESORA PENNYROYALA Z SZAJKĄ PASOŻYTÓW GRASUJĄCYCH NA LODOWYCH PUSTKOWIACH!

ZACHWYĆCIE SIĘ MALOWNICZYMI OPISAMI DZIKICH LODOWYCH PÓL NA ZACHÓD OD GRENLANDII I BARBARZYŃSKICH MIAST, KTÓRE TAM POLUJĄ!

ZAPŁACZCIE NAD LOSEM BIEDNEJ OSZPECONEJ LOTNICZKI, KTÓRA Z BEZNADZIEJNEJ MIŁOŚCI DO PROFESORA PENNYROYALA WYDAŁA ANCHORAGE NA ŻER OKRUTNEGO ARCHANGIELSKA!

RADUJCIE SIĘ Z PROFESOREM SPEKTAKULARNYM ZWYCIĘSTWEM, JAKIE ODNIÓSŁ W WALCE Z WILCZYM STADEM!

ZADRŻYJCIE, CZYTAJĄC HISTORIĘ OSTATNICH DNI NAJPIĘKNIEJSZEGO MIASTA PÓŁNOCY, ANCHORAGE, I OPIS MROŻĄCEJ KREW W ŻYŁACH BRAWUROWEJ UCIECZKI PROFESORA Z JEGO TONAĆCEGO POKŁADU!

34. We mgle

Wbrew temu, co napisał Pennyroyal, Anchorage nie zatoneło. Niesione silnym morskim prądem coraz dalej i dalej od Archangielska, wpłynęło w gęstą mleczną mgłę, stojąc na lodowej tratwie, która dryfowała na południe.

Kiedy nadszedł świt, większość mieszkańców wyległa na balkony na dziobie górnego pokładu. Silniki zostały wyłączone, więc nie było nic do zrobienia, a przyszłość wyglądała tak niepewnie, że trudno było o niej rozmawiać. Ludzie stali więc w milczeniu przy balustradach, wsłuchując się w szum fal i patrząc w morze, które widzieli pierwszy raz w życiu.

– Myślicie, że to może być tylko większe jezioro wśród lodu albo jakiś wąski przesmyk? – zapytała z nadzieją Freya, wychodząc na taras w towarzystwie Rady Nawigacyjnej. Nie była pewna, co szanująca się margrabina powinna na siebie włożyć, szykując się do spoczynku w morskich odmętach, więc ubrała się w starą haftowaną kurtkę z kapturem, buty z foczej skóry i czapkę z pomponami. Teraz żałowała tego wyboru, ponieważ pompony podskakiwały na wietrze, sprawiając, że wyglądała zbyt wesoło jak na tak ponurą okazję. – Może dopłyniemy na drugą stronę, gdzie czeka nas mocny, twardy

lód?

Windolene Pye, blada i zmęczona opieką nad rannymi, pokręciła głową.

– Obawiam się, że te wody zamarzają dopiero w środku zimy. Będziemy tak dryfować, aż wylądujemy na jakimś bezludnym brzegu, albo nasza kra pęknie i zatoniemy. Biedny Tom! Biedna Hester! Przelecieli taki kawał drogi, żeby nas ocalić, i wszystko na nic!

Pan Scabious objął ją ramieniem, a ona przytuliła się do niego z wdzięcznością. Freya odwróciła wstydliwie wzrok. Zastanawiała się, czy powiedzieć im, że Hester nasłała na nich Archangielsk, ale wydało jej się to niesprawiedliwe, skoro biedna dziewczyna wciąż czuwała przy umierającym Tomie. Poza tym Anchorage potrzebowało w tej chwili bohaterki. O wiele lepiej było obarczyć winą za atak Wilczego Stada tego oszusta Pennyroyala. W końcu to on był odpowiedzialny za wszystkie inne niepowodzenia.

Wciąż rozmyślała nad tym, co powiedzieć, gdy przy brzegu kry wyłonił się lśniący szarawy grzbiet.

Wyglądał jak wieloryb, który wypłynął spod wody, żeby nabrać powietrza, i wszystkim wydawało się, że tak właśnie jest, dopóki nie przyjrzeni mu się bliżej i nie rozpoznali metalowych klap, okrągłych okien i napisu na pancerzu.

– To znowu te cholerne pasożyty! – wykrzyknął Smew, biegnąc po strzelbę. – Wrócili, żeby jeszcze bardziej się obłowić!

Potężna maszyna wyciągnęła swoje pajęczce odnóża, chwytając się lodu i wypełzając z wody. Skutery z uzbrojonymi zwiadowcami już mknęły jej na spotkanie. Smew uniósł strzelbę, celując prosto w klapkę, która odskoczyła do góry.

Freya odsunęła lufę i powiedziała:

– Nie, Smew. Jest sam.

Przecież pojedynczy stateczek, który wynurzył się z morza, nie próbując ukryć swojej obecności, nie może stanowić większego zagrożenia, prawda? Zmrużyła powieki, przyglądając się sztywnej chudej postaci, która wygramoliła się z włazu i natychmiast została schwytana przez zwiadowców. Słyszała podniesione głosy, ale nie rozumiała, o czym mówią. Ze Smew, Scabiousem i panną Pye przy boku zeszła po schodach na skraj miasta, czekając niecierpliwie, aż przyprowadzą jeńca. Tymczasem im bardziej więzień się zbliżał, tym bardziej groteskowo wyglądał. Jego zniekształcona twarz była fioletowo-żółto-zielona. Freya wiedziała, że właściciele pojazdów pasożytów to złodzieje, ale nie zdawała sobie sprawy, że są do tego potworami!

Jednak kiedy jeniec stanął przed jej obliczem, okazało się, że to nie potwór, tylko chłopak w jej wieku, którego dotkliwie pobito. Brakowało mu kilku zębów i miał okropną purpurową pręgę na szyi, ale jego oczy, patrzące na nią z opuchniętej, posiniaczonej twarzy, były czarne, błyszczące i całkiem urocze.

Freya zmobilizowała wszystkie siły, próbując zachować się jak szacowna margrabina.

– Witam w Anchorage, przybyszu. Co pana do nas sprowadza? – zapytała.

Caul otworzył usta, ale nie wiedział, co powiedzieć. Zupełnie go zatkało. Przez całą drogę z Grimsby przygotowywał się na to spotkanie, ale tyle lat spędził, próbując ukryć się przed wzrokiem jeleni, że czuł się nienaturalnie, stojąc przed nimi w biały dzień. Freya też trochę go zaskoczyła. Nie tylko miała chłopięcą fryzurę, ale wydała mu się również wyższa i starsza niż przedtem. Nie była już tą bladą,

rozmarzoną dziewczyną, którą tak często obserwował na ekranie monitora. Za jej plecami Scabious, Smew, Windolene Pye oraz inni mieszkańcy patrzyli na niego surowo. Zaczął się zastanawiać, czy nie wolałby jednak umrzeć w Grimsby.

– Odezwij się, chłopcze! – rozkazał karzeł, grożąc mu strzelbą. – Jej Promienistość zadała ci pytanie!

– Miał to przy sobie – powiedział jeden ze zwiadowców, podając Freyi poobijaną blaszaną puszkę. Ludzie cofnęli się, wstrzymując oddech, ale dziewczyna zorientowała się, że to tylko staromodny pojemnik na dokumenty. Wzięła go do ręki, odkręciła wieczko i wyciągnęła zwój gęsto zapisanych kartek. Spojrzała na Caula z uśmiechem.

– Co to takiego?

Pożółkłe kartki zatrzepotały na wietrze, o mało nie wypadając margrabinie z dłoni. Caul wyciągnął rękę i złapał je.

– Ostrożnie! Będziecie tego potrzebować!

– Dlaczego? – zapytała Freya, spoglądając na jego ręce poznaczone szkarłatnymi smugami w miejscach, gdzie otarły je więzy. Rzuciła też okiem na papiery. Były zapisane przyblakłym atramentem, a na jednym z nich widniała mapka z poszarpaną linią wybrzeża. W rogu widniał stempel: „Zbiory Biblioteki Rejkiawiku”.

– To mapa Snøriego Ulvaeussona – powiedział Caul. – Wujek musiał ją wykraść z Rejkiawiku wiele lat temu i od tego czasu leżała w jego archiwum. Są także notatki. Dzięki nim traficie do Ameryki.

Freya uśmiechnęła się, dziękując chłopcu za dobre chęci, ale pokręciła głową.

– Po co? Ameryka jest martwa.

– Nie! – powiedział Caul, chwytając ją za rękę. – Przeczytałem

wszystko, kiedy tu płynąłem. Snøri nie był oszustem. Naprawdę odnalazł zieloną krainę. Nie knieje, jakie wymyślił sobie profesor Pennyroyal. Bez niedźwiedzi. Bez ludzi. Ale miejsce, gdzie rośnie trawa i drzewa, i... – Nigdy w życiu nie widział trawy, o drzewach w ogóle nie wspominając, więc jego wyobrażenia nie nadażęła za słowami. – Nie wiem. Ale są tam zwierzęta i ptaki, i ryby w wodzie. Może będziecie musieli założyć statyczną osadę, ale nie zginiecie z głodu.

– Nigdy nie uda nam się tam dotrzeć – zauważyła Freya. – Nawet jeśli ta kraina naprawdę istnieje.

– Niekoniecznie... – powiedział pan Scabious, który patrzył jej przez ramię na mapę. – Może nam się udać! Jeżeli ustabilizujemy krę i zamontujemy odpowiedni napęd...

– To niedaleko – oznajmiła panna Pye, pokazując palcem niewielki cypel opisany jako Kraina Winorośli. W pobliżu jego krańca znajdowało się kilka wysepek, które były tak małe, że na mapie wyglądałyby jak nic nieznaczące kropeczki, gdyby stary Snøri Ulvaeusson nie zaznaczył każdej z nich dziecinnym rysunkiem przedstawiającym drzewo. – Jakies siedemset kilometrów stąd. To nic w porównaniu z dystansem, jaki już pokonaliśmy!

– Ale jak my się zachowujemy! – Scabious zwrócił się do Caula, który zrobił kilka kroków w tył, przypominając sobie, jak o mały włos nie przywiódł starego inżyniera do szaleństwa, krążąc po mieście niczym widmo. Zdawało się, że Scabious pomyślał o tym samym, bo nagle spochmurniał, patrząc gdzieś w przestrzeń, i przez dłuższą chwilę słyhać było tylko ciche pomruki tłumu mieszkańców i szelest pożółkłych kartek w dłoni Freyi.

– Masz jakieś imię, chłopcze? – zapytał Scabious.

– Caul, proszę pana.

Scabious podał mu rękę i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Cóż, Caul, wyglądasz na zziębniętego i głodnego. Nie powinniśmy tak tutaj stać. Możemy przedyskutować to wszystko w pałacu.

– Oczywiście! – podchwyciła Freya, przypominając sobie o dobrych manierach. – Zapraszam do Pałacu Zimowego, panie Caul. Poproszę Smew, żeby przygotował gorącą czekoladę. Smew, gdzie się podziewasz? Ach, nieważne, sama zrobię panu czekoladę...

Tak oto margrabina poprowadziła wszystkich aleją Rasmussenów do pałacu. Scabious i panna Pye szli tuż za jej plecami, trzymając Caula za rękę, a za nimi tłum mieszkańców rósł, w miarę jak wiadomość o przybyciu chłopca, który przywiózł Anchorage nową nadzieję, obiegała miasto. Aakiuqowie, Umniakowie, pan Quaanic i Smew podbiegli do Freyi, która wymachiwała starym pojemnikiem z mapą, śmiała się i żartowała. Co prawda, zdawała sobie sprawę, że mama, tata, guwernantka i cały fraucymer potępiliby takie zachowanie jako niegodne, ale nie przejmowała się tym. Ich czas dawno minął, teraz ona była margrabiną.

35. Lodowa arka

Jakiż ruch zapanował w Anchorage w następnych dniach! Wszędzie rozbrzmiewało bicie młotów i radosne okrzyki robotników! W nocy paliły się lampy i spod pił pryskały deszcze iskier, gdy pod nadzorem pana Scabiousa z zapasowych płyt pokładowych wycinano śruby mające napędzać miasto podczas morskiej podróży. Wkrótce cały mechanizm był już gotowy. Caul użył „Śrubodźdzownicy” do wycięcia odpowiednich dziur na nowe stery i po tygodniu silniki znowu zaczęły pracować.

Stopniowo dni stawały się coraz dłuższe, a góry lodowe coraz mniejsze i rzadziej spotykane. Przebijające przez mgłę promienie słoneczne przynosiły więcej ciepła – nieomylny znak, że Anchorage wpłynęło w strefę klimatyczną, gdzie wciąż panowała późna jesień.

Hester nie brała udziału w hucznych zabawach, spotkaniach towarzyskich i tańcach, które pochłonęły mieszkańców miasta w ostatnich tygodniach. Nie poszła nawet na ślub Sorena Scabiousa i Windolene Pye. Większość czasu spędzała w Pałacu Zimowym przy boku Toma. Później, gdy miała wspominać tamte dni, nie myślała o kamienistych wyspach mijanych w czasie rejsu ani o widoku gór na

horyzoncie, tylko o wydarzeniach związanych z jego powrotem do zdrowia.

Wspominała dzień, w którym panna Pye po przeczytaniu wszystkich książek o chirurgii dostępnych w bibliotece zebrała w sobie odwagę i rozcięła Tomowi klatkę piersiową, zanurzając długie szczypce w jego krwistym pulsującym ciele, aż... Cóż, Hester zemdlą w tym momencie, ale kiedy ją ocucili, panna Pye wręczyła jej kulę – niewielki szarobłękitny kawałek metalu, który wyglądał tak niewinnie, iż trudno było uwierzyć, że mógłby kogokolwiek skrzywdzić.

Potem nadszedł dzień, kiedy Tom wreszcie otworzył oczy i wypowiedział pierwsze słowa – jakieś brednie o Londynie, Pennyroyalu i Freyi, ale Hester tak się wzruszyła, że obcałowywała jego czoło tak długo, aż zapadł znowu w niespokojny, gorączkowy sen.

Teraz, gdy już nie groziła mu śmierć, Freya odwiedzała go od czasu do czasu i Hester pozwalała jej nawet siedzieć z nią na zmianę przy jego łóżku, ponieważ sama zaczęła źle się czuć, jakby kołyszący ruch płynącego miasta przyprawiał ją o chorobę. Na początku stosunki między obu dziewczynami nie układały się najlepiej, ale po kilku wizytach Hester przygotowała się na najgorsze i zapytała:

– Powiesz im?

– Komu? O czym?

– Czy powiesz wszystkim, że to ja sprzedałam was Archangielskowi?

Freya sama się nad tym zastanawiała.

– A co by było, gdybym to zrobiła?

Hester spuściła wzrok, wygładzając butem dywan.

– Nie mogłabym tu zostać. Odeszłabym, a ty miałabyś Toma dla siebie.

Freya uśmiechnęła się lekko.

– Jestem margrabiną Anchorage – powiedziała. – Jeżeli wyjdę za mąż, będzie to mariaż polityczny. Muszę wybrać kogoś z dolnego pokładu albo... może... – zawahała się i pomyślała o Caulu, takim uroczym i nieporadnym. – W każdym razie – podjęła, czując, że zaczyna się rumienić – chcę, żebyś została. Moje miasto potrzebuje kogoś takiego jak ty.

Hester skinęła głową. Wyobrażała sobie, że podobną rozmowę przeprowadził przed laty jej ojciec w gabinecie Magnusa Crome'a.

– Bo kiedy nadejdą kłopoty, na przykład Wujek i jego Zaginieni Chłopcy znajdą Anchorage, zaatakują was podniebni piraci albo trzeba będzie po cichu zlikwidować takiego zdrajcę jak Pennyroyal, poprosisz, żebym wykonała brudną robotę?

– Cóż, wydajesz się w tym całkiem niezła – powiedziała Freya.

– A jeśli się nie zgodzę?

– To powiem wszystkim o Archangielsku – odparła Freya. – Ale w przeciwnym razie będzie to nasza wspólna tajemnica.

– To szantaż – zauważyła Hester.

– Tak? Na bogów! – Freya wyglądała na zadowoloną z siebie, jakby poczuła, że wreszcie zaczyna rozumieć, na czym polega prawdziwe rządzenie miastem.

Hester przyglądała jej się przez moment z uwagą, a potem uśmiechnęła się swoim krzywym uśmiechem.

Wreszcie pod koniec podróży nadeszła noc, kiedy obudziła się z niespokojnego snu przy łóżku Toma, słysząc znajomy głos:

– Hester?

Otrząsnęła się i pochyliła się nad nim, głaszcząc go po bladym czole

i uśmiechając się radośnie.

– Tom, wracasz do zdrowia!

– Myślałem, że umrę – powiedział.

– Niewiele brakowało.

– A Wilcze Stado?

– Pokonane. Archangielsk utknął w zdradliwym lodzie, a my płyniemy na południe do Ameryki. No, może do Kanady – nie wiadomo, gdzie przebiegała dawna granica.

Tom zmarszczył brwi.

– Czyli profesor Pennyroyal jednak nie kłamał? Martwy kontynent rzeczywiście jest znowu zielony?

Hester poskrobała się po głowie.

– Cóż, to dosyć skomplikowane. Znalazła się mapa Snøriego Ulvaeussona. Na początku myślałam, że nie można ufać staremu lotnikowi bardziej niż Pennyroyalowi, ale rzeczywiście zaczęła pojawiać się zieleń. Kiedy mgła trochę się unosi, widać małe powyginane drzewka, które uczepiły się górskich zboczy. Pewnie to dało początek tym wszystkim legendom. Ale to nie to, co obiecywał Pennyroyal. Nie ma tu żadnego terenu polowań, tylko parę wysepek, więc Anchorage przekształci się pewnie w statyczną osadę.

Tom wyglądał na zaleknionego. Hester ścisnęła jego dłoń, przeklinając siebie w duchu, że go przestraszyła. Zapomniała, jak bardzo mieszcuchy takie jak on boją się życia na gołej ziemi.

– Sama urodziłam się na wyspie, pamiętasz? Będzie dobrze, zobaczysz.

Tom pokiwał głową i uśmiechnął się słabo, przyglądając się Hester. Dobrze wyglądała. Była dość blada i wciąż nie mogła uchodzić za wzór piękna, ale w nowym czarnym ubraniu, które – jak wyznała –

wzięła ze sklepu przy alei Rasmussenów, prezentowała się bardzo elegancko. Poza tym umyła włosy, które spięła srebrną spinką, i po raz pierwszy, odkąd pamiętał, nie próbowała ukryć twarzy, gdy na nią patrzył. Wyciągnął rękę i pogładził ją po policzku.

– A ty jak się czujesz? Jesteś trochę blada.

Roześmiała się.

– Jesteś jedyną osobą, która zwraca uwagę na mój wygląd. To znaczy, poza tym, co oczywiste. U mnie wszystko dobrze, chociaż ostatnio miewam lekkie mdłości – wołała mu jeszcze nie mówić o tym, czego dowiedziała się od Windolene, kiedy przyszła do niej, narzekając na chorobę morską. Szok mógłby znowu pogorszyć jego stan zdrowia.

– Wiem, że to straszne uczucie wiedzieć, że zabiło się człowieka – powiedział Tom. – Ja do tej pory mam wyrzuty sumienia, że zabiłem Shrike’a, Pewseya i Gencha. Ale to nie twoja wina. Musiałś to zrobić.

– Tak – wyszeptała i uśmiechnęła się na myśl o tym, jak bardzo się od siebie różnią. Ona wcale nie czuła wyrzutów sumienia z powodu śmierci Masgarda i jego ludzi, raczej satysfakcję i coś w rodzaju zdziwienia, że uszło jej to płazem. Położyła się na łóżku obok Toma i objęła go, zastanawiając się nad tym, co wydarzyło się, odkąd po raz pierwszy przylecieli do Anchorage.

– Jestem córką Valentine’a – powiedziała cicho, kiedy była pewna, że zasnął. To wcale nie jest takie złe, pomyślała, leżąc w objęciach Toma. Była pewna, że nosi w sobie jego dziecko.

Freyę obudził promień szarego światła wdzierający się przez szparę między zasłonami. Ktoś wykrzykiwał na ulicy koło pałacu:

– Ziemia! Ziemia!

Nie była to żadna nowina, bo Anchorage już od kilku dni płynęło wzdłuż cypla, kierując się do miejsca, które Snøri Ulvaeusson nazwał Krainą Winorośli. Jednak wołanie nie ustawało. Freya wstała z łóżka, narzuciła na siebie szlafrok, odsłoniła kotary i wyszła na balkon. Świtało, powietrze było czyste jak arktyczny lód. Po obu stronach miasta czarne góry przeglądały się w swoich odbiciach, a na ich zboczach rosły tu i ówdzie karłowate sosenki. A dalej...

Chwyciła się mocno balustrady, ciesząc się, że zimny metal mrozi jej palce, bo dzięki temu wiedziała, że nie śni. Na wprost niej z rzednącej mgły wyłaniał się zarys wyspy. Zobaczyła świerki i brzozy, z których nie opadły jeszcze wszystkie złote liście, zbocza gór zielone od wrzosów i rdzawe od paproci, pokryte śniegiem gałęzie jarzębin i dębów. Nieco dalej spostrzegła drugą wyspę, i jeszcze jedną. Roześmiała się na głos, gdy miasto zadrżało pod jej stopami po raz ostatni, zwalniając i przybijając bezpiecznie do tajemniczego brzegu na zachodnim krańcu świata.

Podziękowania

Chciałbym podziękować wszystkim w wydawnictwie Scholastic, a szczególnie Kirsten Skidmore i Holly Skeet za ich pomoc i rady podczas pisania tej książki.

Philip Reeve

Dartmoor